



Arthur Conan Doyle

ŚWIAT ZAGINIONY

*Mój plan wykonam – każdy mi to przyzna
Jeżeli chwilę radości wesołej
Dam chłopcu, co jest na poty mężczyzną
Albo mężczyźnie, co chłopcem na poły*

*Pan E. D. Malone niniejszym oświadcza,
że profesor G. E. Challenger – przekonawszy się,
iż autor w swych uwagach i krytyce nie miał obraźliwych intencji
– zrezygnował z zakazu ogłoszenia drukiem tej książki
i wycofał zastrzeżenia prawne oraz zapewnił,
że nie będzie się sprzeciwiał jej drukowi i rozpowszechnieniu*

ROZDZIAŁ I KAŻDY MOŻE BYĆ BOHATEREM

Pan Hungerton, ojciec mojej ukochanej, był chyba najbardziej antypatycznym człowiekiem na świecie. Opasty, nadęty, gadatliwy jak papuga, usposobienie miał wprawdzie

dobrotliwe, ale interesował się jedynie samym sobą — własnym idiotycznym „ja”. Jeśli coś w ogóle mogłoby mnie odstraszyć od Gladys, to myśl o takim teściu. W głębi duszy uważał na pewno, że przyjeżdżam trzy razy na tydzień do Chestnuts tylko po to, by spędzić czas w jego towarzystwie, a przede wszystkim, by wysłuchiwać jego poglądów na bi-metalizm, w której to dziedzinie uchodził za specjalistę.

Tego wieczoru już od godziny słuchałem monotonnego gładzenia o tym, jak zła moneta wypiera dobrą, o nominalnej wartości srebra, jego dewaluacji i racjonalnym poziomie wymiany.

— Przypuśćmy — wołał z entuzjazmem, na jaki było go stać — że wszystkie długi na świecie staną się od razu wymagalne i że trzeba je będzie z miejsca płacić. Cóż się wtedy wydarzy w obecnych warunkach?

Odpowiedziałem, że ja będę oczywiście zrujnowany. Zerwał się z miejsca, zarzucił mi wrodzoną lekkomyślność, która uniemożliwia poważną dyskusję, i pobiegł przebrać się na zebranie łoża masońskiej.

Nareszcie zostałem sam na sam z Gladys. Nadszedł decydujący moment w mym życiu! Przez cały wieczór czułem się jak żołnierz targany to nadzieją zwycięstwa, to obawą porażki, i czekający tylko rozkazu, by zaatakować niezdobytą niemal twierdzę.

Dumny, delikatny profil Gladys odbijał się wyraźnie na tle czerwonej kotary. Jakże była piękna! I jaka daleka! Byliśmy przyjaciółmi, nawet dobrymi przyjaciółmi, lecz nasza przyjaźń, mimo moich wysiłków, nie wychodziła poza ramy uczucia, które mogło na przykład łączyć mnie z którymś z współreporterów „Gazety”. Była prawdziwie szczerą, prawdziwie serdeczną i prawdziwie bezpłciową. Zawsze bolało mnie, gdy kobiety były wobec mnie zbyt szczerą i swobodną. To nie przynosi zaszczytu mężczyźnie. Bo prawdziwej miłości towarzyszy od początku nieufność i skromność — dziedzictwo tych okropnych czasów, kiedy miłość i gniew szły w parze. Silne uczucie 'bynajmniej nie wyraża się szczerą odpowiedzią i śmiałym spojrzeniem, lecz lekkim drżeniem ciała, pochyleniem głowy, spuszczonego wzrokiem i łamiącym się głosem. Przekonałem się o tym nawet w tak krótkim życiu jak moje, a może zresztą odziedziczyłem już po przodkach to, co zwiemy instynktem.

Gladys była kobietą w całym tego słowa znaczeniu. Niektórzy uważali, że jest zimna i nieczuła, ale to niecne kłamstwo. Wszystko w niej zdradzało gorący temperament — smagła płeć o niemal orientalnym odcieniu, krucze włosy, wielkie, lśniące oczy i pełne, cudnie wykrojone usta. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jak dotąd nie udało mi się rozbudzić w niej namiętności. Tak czy owak — niech się dzieje co chce — postanowiłem skończyć z niepewnością i oświadczyć się dziś wieczór. Może oni tylko odmówić, ale lepiej być odrzuconym kochankiem niż uznanym bratem.

Tak sobie myślałem i właśnie chciałem przerwać długie, niezręczne milczenie, kiedy Gladys spojrzała na mnie krytycznie swymi czarnymi oczami i z łagodnym wyrzutem potrząsnęła dumną główką.

— Przeczuwam, że zamierza mi się pan oświadczyć, ale proszę tego nie robić, bo tak jak teraz jest lepiej.

Przysunąłem się nieco bliżej.

— Skąd pani wie, że chciałem się oświadczyć? — zapytałem ze szczerym zdziwieniem.

— Czyż kobiety tego nie wiedzą? Myśli pan, że bywały 'kiedy naprawdę zaskoczone wyznaniem mężczyzny? Och, nie! Nasza przyjaźń jest taka ładna i miła. Po cóż ją psuć? Czy nie myśli pan, że to piękne, gdy młody mężczyzna i młoda kobieta rozmawiają ze sobą tak otwarcie?

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że rozmawiać otwarcie mógłbym z... z naczelnikiem stacji.

— Nie pojmuję, skąd przyszedł mi na myśl akurat kolejarz, ale wzmianka o nim pobudziła nas do śmiechu. — Gladys, to mi nie wystarcza, chciałbym objąć panią, przytulić pani główkę do piersi i... i...

Zerwała się z krzesła widząc, że próbuję urzeczywistnić swoje marzenia.

— Zepsuł pan wszystko — powiedziała. — Tak nam było dobrze ze sobą, póki do tego nie doszło. Jaka szkoda! Czy naprawdę nie może się pan opanować?

— To nie mój wynalazek — usprawiedliwiałem się. — To natura. Miłość.

— Może inaczej wygląda, gdy jest odwzajemniona. Ale ja nigdy jeszcze nie kochałam.

— Ale kiedyś pani pokocha; z pani urodą i z pani duszą! Pani jest stworzona do miłości! Pani musi kochać!

— Na miłość trzeba czekać.

— Czemu nie miałyby pani mnie pokochać? O co chodzi, czy jestem za brzydki?

Rozchmurzyła się nieco. Wyciągnęła rękę i wdzięcznym, łagodnym ruchem odchyliła mi głowę. A potem spojrzała mi prosto w oczy z tęsknym uśmiechem.

— Nie, to nie to — powiedziała po chwili. — Pan nie jest próżny. Mogę więc powiedzieć, że to nie to. Chodzi o coś głębszego.

— O mój charakter? Skinęła głową poważnie.

Co mam zrobić, by go poprawić? Niech pani

siądzie, to pomówimy. Nie, nie, przyrzekam, że to się już nie powtórzy, tylko niech pani siądzie.

Spojrzała z wahaniem, co bardziej mnie ucieszyło niż jej dotychczasowe zupełne zaufanie. Jakże prymitywnie i brutalnie wyglądają te słowa, napisane bez żadnych ogródek! A może to mnie się tylko tak wydaje. W każdym razie Gladys usiadła.

— Teraz proszę powiedzieć, co mi pani zarzuca.

— Kocham innego — odparła.

Z kolei ja zerwałem się z miejsca.

— Tu nie chodzi o konkretną osobę — tłumaczyła śmiejąc się z mej przerażonej miny — tylko o ideał. Nigdy jeszcze nie spotkałam takiego mężczyzny, o jakim myślę.

— Niech mi go pani opisz. Jak wygląda?

— Och, może być nawet podoimy do pana.

— Jaka pani uprzejma! Dobrze. Czym ten ideał różni się ode mnie? Tylko jedno słówko: jest abstynentem, wegetarianinem, aeronautą, teozofem czy może nadczłowiekiem — zrobię wszystko, czego pani zażąda.

Roześmiała się z mego zapału.

— A więc po pierwsze mój ideał nigdy by tego nie powiedział — odparła. — Musi to być ktoś twardszy, poważniejszy, wcale nie skory do ulegania niemądrym dziewczęcym zachciankom, a przede wszystkim powinien być człowiekiem czynu, który nie bałby się spojrzeć śmierci w oczy... człowiekiem stworzonym do wielkich rzeczy, do niezwykłych przeżyć. Nie pokocham mężczyzny, tylko jego sławę, która spadnie i na mnie. Niech pan pomyśli o Ryszardzie Burtonie ! Kiedy czytam wspomnienia jego żony, rozumiem jej miłość. A lady Stanley! Czytał pan może piękny ostatni rozdział jej książki poświęconej mężowi? To są mężczyźni, których kobieta może uwielbiać całą duszą. A z racji swej miłości wznieść się nawet ponad nich i cieszyć się podziwem świata, że potrafiła ich natchnąć do wielkich czynów.

Porwana zapałem, wyglądała tak ponętnie, że o mały włos znów nie zepsułem wszystkiego. Wziąłem się jednak w karby i śmiało natarłem:

— Wszyscy nie możemy być Stanleyami i Burtonami — zacząłem. — Poza tym... nie mamy okazji... przynajmniej ja jej nie miałem. Gdyby mi się nadarzyła, skorzystałbym bez namysłu.

— Okazje czekają na każdym kroku. Człowiek, jakiego mam na myśli, potrafi je stworzyć. I nie da się niczym powstrzymać. Nie spotkałem go jeszcze, ale doskonale go sobie wyobrażam. Każdy może być bohaterem. Rzeczą mężczyzny jest wykorzystać szansę, a rzeczą kobiety — wynagrodzić mu to miłością. Pamięta pan tego młodego Francuza, który w ubiegłym tygodniu wzniósł się balonem? Mimo burzy nie odwołał startu, bo już go zapowiedział. Balon pędzony silnym wiatrem przeleciał tysiąc pięćset mil w ciągu dwudziestu czterech godzin i wylądował gdzieś w środku Rosji. Ten Francuz to mój ideał. Niech pan pomyśli, co musiała czuć kobieta, którą kochał, i jak inne jej zazdrościły. Tego właśnie pragnę — by zazdroszczono mi męża. — Zrobiłbym to samo dla pani.

— Wcale nie chodzi o to, żeby pan tylko dla mnie to zrobił. Bohaterski czyn musi wypływać z wewnętrznych pobudek, stąd, że mężczyzna nie może postąpić inaczej. Na przykład kiedy w ubiegłym miesiącu opisał pan wybuch w kopalni węgla w Wigan, czy nie mógł pan zjechać na dół i ratować ludzi pomimo duszących gazów?

— Zjechałem.

— Nic mi pan o tym nie mówił.

— Bo nie było się czym chwalić.

— Nie wiedziałam — spojrzała na mnie nieco żywiej. — Postąpił pan odważnie.

— Musiałem. Żeby napisać dobry reportaż, trzeba być na miejscu wypadku.

— Cóż za prozaiczna pobudka! Odziera czyn z wszelkiego romantyzmu. Ale jednak rada jestem, że się pan na to zdobył. — Podąła mi rękę gestem tak uroczym i z taką powagą, że mogłem tylko złożyć na niej pocałunek, schylając głowę w ukłonie. — Może zresztą jestem zwariowaną kobietą z dziewczęcymi kapryсами. Są one jednak częścią mojej natury i nie mogę się ich wyrzec. Jeśli wyjdę kiedy za mąż, to tylko za sławnego mężczyznę.

— Oczywiście! — zawołałem. — Takie kobiety jak pani są natchnieniem mężczyzn. Niech mi się tylko nadarzy sposobność! Zresztą, jak pani powiedziała, mężczyzna sam ją sobie stwarza, a nie czeka bezczynnie. Taki Clive — zwykły urzędnik, a podbił Indie. Na Boga!

Pokażę, co umiem!

Roześmiała się z nagłego wybuchu mego irlandzkiego temperamentu.

— Nie wątpię — odparła. — Ma pan wszystkie dane. Jest pan młody, zdrowy, silny, wykształcony i energiczny. Martwiłam się, że pan zaczął tę rozmowę, ale teraz jestem rada... tak, rada... że rozbudzałam w panu podobne chęci.

— Ale jeśli rzeczywiście czegoś dokonam?... Ciepłą, miękką jak aksamit dłonią zamknęła mi usta.

— Sza, mój panie. Już od pół godziny powinien pan siedzieć w redakcji przy wieczornej pracy, ale nie miałam serca przypomnieć panu o tym. Może kiedyś, kiedy stanie się pan sławny, powrócimy do tego tematu.

Tak oto mglistego listopadowego wieczoru znalazłem się w tramwaju w drodze do Camberwell, z sercem pałającym miłością i silnym postanowieniem niezwłocznego dokonania jakiegoś czynu, który sprawi, że stanę się godny ukochanej dziewczyny. Któż jednak mógł przypuszczać, jak niewiarygodny będzie ten czyn i jak dziwnymi drogami go spełnię.

Czytelnicy pomyślą zapewne, że ten pierwszy rozdział nie ma nic wspólnego z tym opowiadaniem.

A jednak, bez niego tnie byłoby opowiadania. Bo tylko wtedy, gdy człowiek zrozumie, że bohaterem może być każdy, byle ożywiła go gorąca chęć wykorzystania sprzyjającej okazji — tylko wtedy zdoła zerwać z dotychczasowym życiem i ruszyć w czarowny, osnuty mgłą tajemniczy świat przygód i wielkiej nagrody. Wyobraźcie więc sobie mnie, małego pionka „Gazety Codziennej” w redakcji, zdecydowanego dziś jeszcze stanąć w szranki o moją Gladys. Czemu dla własnej chwały narażała moje życie? Przez egoizm czy przez zatwardziałość serca? Nad tym mógł się zastanawiać mężczyzna dojrzały, lecz nigdy zapalny, dwudziestotrzyletni młodzieniec w gorączce swej pierwszej miłości.

ROZDZIAŁ II

NIECH PAN SPRÓBUJE SZCZĘŚCIA Z PROFESOREM CHALLENGEREM

Lubiłem McArdle'a, starego zrzędę, przygarbionego, rudego sekretarza redakcji, i miałem wrażenie, że on mnie też lubi. Prawdziwym naszym szefem był pan Beaumont; żył jednak gdzieś na wyżynach Olimpu i nie dostrzegał mniejszych wydarzeń niż międzynarodowy kryzys lub upadek gabinetu. Czasem widywaliśmy go, jak w wyniosłym osamotnieniu podążał do swego sanktuarium z błędnym okiem i myślą bujającą gdzieś na Bałkanach czy nad Zatoką Perską. Był ponad nami i poza nami. Przede wszystkim mieliśmy bowiem do czynienia z McArdle'em, jego pierwszym zastępcą i prawą ręką.

Gdy wszedłem do jego gabinetu, staruszek skinął mi głową i podsunął okulary wysoko na tyse czoło.

— A, pan Malone. Z tego, co słyszę, spisuje się pan wcale dobrze — powiedział siwym miłym szkockim akcentem.

Podziękowałem mu za te słowa.

- *Reportaż o wybuchu w kopalni bardzo się panu udał. Tę samo jak i o pożarze w Southwark. Ma pan prawdziwą reporterską żytkę. Z czym pan przychodzi?!*
- *Z wielką prośbą.*
Zaniepokoił się i opuścił wzrok.
- *Hm, hm, o cóż chodzi?*
- *Czy nie mógłby mi pan powierzyć jakiegoś poważnego zadania dla naszego pisma? Dołożę starań, żeby się jak najlepiej wywiązać i napisać dobry reportaż.*
- *O jakim zadaniu pan myśli?*
- *O jakimś niebezpiecznym i awanturnicznym. Może pan być pewien, że dobrze się spiszę. Im będzie trudniejsze, tym lepiej.*
- *Szuka pan śmierci?*
- *Celu w życiu, proszę pana.*
- *Drogi panie, bardzo... bardzo wzniosłe chęci. Ale sądzę, że to już należy do przeszłości. Takie „specjalne zadania” nie opłaca się, a poza tym można je zlecić tylko ludziom doświadczonym, ze znanym nazwiskiem, cieszącym się zaufaniem publiczności. Białe plamy na mapach znikają, a czasy romantycznych przygód minęły. Ale, chwileczkę! — dodał z nagłym uśmiechem. — Zdanie o białych plamach podsunęło mi pewną myśl. Co by pan powiedział o zdemaskowaniu oszusta — nowoczesnego barona Munchhausena — o ośmieszeniu go? Mógłby pan udowodnić mu kłamstwo, bo jest kłamcą! Człowieku, wspaniały pomysł. Odpowiada panu?*
- *Odpowiada mi wszystko i wszędzie. McArdle rozmyślał chwilę.*
- *Nie wiem, czy potrafi pan nawiązać z nim przyjazne stosunki lub przynajmniej jakoś się dogadać — odezwał się wreszcie. — Pan daje się lubić. Licho wie, czemu to przypisać: jakiemuś czarowi, magnetycznej sile, młodzieńczej żywotności czy czemuś innemu, ale zdaję sobie sprawę, że tak jest.*
- *Pan jest bardzo uprzejmy.*
- *Więc czemu nie miałby pan spróbować szczęścia z profesorem Challengerem z Enmore Park?*
- Nie mogłem ukryć zdziwienia.*
- *Challenger? — wykrzyknąłem. — Profesor Challenger, słynny zoolog! Ten co rozbił głowę Blundellowi z „Telegrafu”?*
- Redaktor uśmiechnął się ponuro.*
- *Przestraszył się pan? A niedawno szukał pan przygody.*
- *Należy ona do naszego zawodu — odparłem.*
- *Ano tak. Nie sądzę, aby profesor zawsze był taki gwałtowny. Blundell albo trafił na zły moment, albo nie umiał do niego podejść. Pan może mieć więcej szczęścia lub taktu. Ma więc pan coś, o co panu chodziło, a nasza gazeta może na tym skorzystać.*
- *Mc o nim nie wiem — powiedziałem. — Przypominam sobie tylko jego nazwisko ze sprawy sądowej o pobicie Blundella.*

— Mam tu jakieś notatki, które mogą się panu przydać. Przez pewien czas, zresztą niedługo, interesowałem się osobą profesora — wyciągnął arkusz papieru z szuflady. — Oto krótki rejestr jego osiągnięć. Podam go panu w paru słowach:

Challenger George Edward. Urodzony w Largs w północnej Anglii w 1863 roku, kształcił się w akademii w Largs i na uniwersytecie w Edynburgu. W 1892 roku został asystentem w Muzeum Brytyjskim. W 1893 starszym asystentem wydziału antropologii porównawczej. Tegoż roku zrezygnował z tego stanowiska wskutek jakichś uwłaczających listów. Nagrodzony medalem Ciayston za osiągnięcia w dziedzinie zoologii. Członek następujących towarzystw zagranicznych: — Tak... całe dwa wiersze drobnego druku różnych nazw — „Towarzystwo Belgijskie”, „Amerykańska Akademia Nauk”, „La Pląta” itd., itd. Były prezes Towarzystwa Paleontologicznego, sekcji H. Stowarzyszenia Brytyjskiego — itd., itd. — Ogłosił drukiem: Parą uwag o budowie czaszek Kałmuków, Studia nad ewolucją kręgowców oraz wiele drobnych publikacji łącznie z Podstawowymi błędami weismanizmu. Ta broszura wywołała burzliwą dyskusję na kongresie zoologów w Wiedniu. Uprawia alpinizm i turystykę pieszą. Adres: Enmore Park, West Kensington.

Proszę, niech pan to weźmie, Na dziś nie mam już żadnych, dalszych poleceń.

Wsunąłem kartkę do kieszeni.

— Jeszcze chwilę, proszę pana — powiedziałem widząc przed sobą już tylko różową łysinę zamiast rumianego oblicza. — Nie bardzo wiem, o czym mam rozmawiać z profesorem. O co właściwie chodzi?

Rumiana twarz znów ukazała się znad papierów.

— Wyruszył samotnie do Ameryki Południowej dwa lata temu. Wrócił w ubiegłym roku. Niewątpliwie był tam, ale nie chce dokładnie określić gdzie. Zaczął mętnie opowiadać swoje przygody. Ktoś go na czymś przyłapał, więc zamknął się jak ostryga., Albo przydarzyło mu się coś niezwykłego, albo jest niesamowitym łgarzem. To ostatnie jest znacznie prawdopodobniejsze. Miał parę uszkodzonych zdjęć, podobno podrobionych. Tak się rozwścieczył, że atakuje każdego, kto go o coś zapyta, a reporterów zrzuca ze schodów. Moim zdaniem jest natógowym megalomanem o zacięciu naukowym. To coś dla pana. Niech pan ucieka i zabierze się do dzieła. Nie jest pan dzieckiem i sam pan sobie poradzi. Prawo stoi po pańskiej stronie, wie pan, ustawa o ochronie osób spełniających czynności zagrodowe.

Raz jeszcze zobaczyłem przed sobą różowy owal łysiną obramowanej rudym puchem włosów. Nasza rozmowa dobiegła 'końca.

Przebiegłem ulicę w drodze do „Klubu Dzikich”, lecz zamiast wejść do środka oparłem się o balustradę Adelphi Terrace i zadumany patrzyłem w ciemną, oleistą rzekę. Najlepiej mi się myśli na świeżym powietrzu. Wyciągnąłem otrzymaną kartkę z kieszeni i raz jeszcze odczytałem ją w świetle elektrycznej latarki. I wtedy doznałem olśnienia. Jako dziennikarz, nie mogłem oczywiście dostać się do kłótliwego profesora. Ale z dwóch wzmianek o jego bezkompromisowej postawie wynikało, że był fanatykiem nauki. Czy tu nie dałoby się go

podejść? Spróbuję.

Wszedłem do klubu. Było parę minut po jedenastej i w sali zastałem dość ludzi, choć prawdziwy ruch jeszcze się nie zaczął. W fotelu przy kominku dojrzałem wysokiego, szczupłego mężczyznę. Odwrócił się, gdy przysunąłem swe krzesło. Był to człowiek, którego szukałem — Henry Tarp z redakcji „Naturę”. Osobnik żyłasty i chudy, nadzwyczaj uczynny dla znajomych. Od razu przystąpiłem do rzeczy.

— Co pan wie o profesorze Challengerze?

— Challenger? — zmarszczył brwi z pogardliwą dezaprobatą naukowca. — Challenger opowiada niestworzone bajdy o swej podróży do Ameryki Południowej.

— Co za bajdy?

— Istne bzdury o jakichś dziwnych zwierzętach, które odkrył. Zdaje się, że już to wszystko odwołał. W każdym razie ucichł. Udzielił wywiadu agencji Reutera, ale z wrzasku, jaki się podniósł, wywnioskował, że nic z tego nie wyjdzie. Istny skandal. Paru ludzi nawet brało go na serio, ale i ich zraził.

— Czym?

— Chamstwem i brutalnością. Na przykład tego biedaka, starego Wadleya z Instytutu Zoologii, który posłał mu takie zaproszenie: „Prezes Instytutu Zoologii przesyła wyrazy szacunku profesorowi Challengerowi i uprzejmie go prosi, żeby zechciał łaskawie przybyć na posiedzenie Instytutu”. Odpowiedział w sposób nie nadający się do druku.

— Jak?

— W złagodzonej wersji umiej więcej tak: „Profesor Challenger przesyła wyrazy szacunku prezesowi Instytutu Zoologii i uprzejmie go prosi, żeby się kazał łaskawie wypchać”.

— Święty Boże! Zdaje się, że to samo! — wykrzyknął Wadley. — Przypominam sobie jego płaczące zagajenie: „W ciągu pięćdziesięciu lat naukowej współpracy...” Biedak, był całkiem złamany.

— I co panu jeszcze wiadomo o profesorze Challengerze?

— Cóż, jestem bakteriologiem. Żyję w świecie mikrobów. Nie mogę nic powiedzieć o rzeczach dostrzegalnych gołym okiem. Jestem jak żołnierz straży pogranicznej na wysuniętych czatach Znanego i źle się czuję poza moim laboratorium, w otoczeniu istot wielkich, szorstkich i niezdarnych. Stoję ma uboczu wszystkich plotek, ale w naukowych rozmowach wspominano mi coś niecoś o profesorze, bo ostatecznie trudno go ignorować. Podobno ma pewien zasób wiedzy i jest naładowany energią jak akumulator elektrycznością, lecz przy byle okazji kłóci się zęb za zęb. Źle wychowany dziwak, który w swych dziwactwach nie przebiera w środkach. Nie powstrzymał się nawet od sfalszowania kilku fotografii ze swej wyprawy do Ameryki Południowej.

— Powiedział pan, że jest dziwakiem.. Na czym polegają jego dziwactwa?

— Ma ich tysiące, ale ostatnie dotyczy jakiejś kwestii weismanizmu i ewolucji. Wywołał w Wiedniu wielką awanturę na ten temat.

— A o co właściwie poszło?

— Nie pamiętam. Ale mam tłumaczenie protokołów tego zebrania. Są w redakcji w segregatorach. Może pan przyjdzie je obejrzyć?

— O to mi właśnie chodziło. Muszę zrobić wywiad z tym jegomościem i chciałbym wiedzieć, od czego zacząć. Dziękuję za ten punkt zaczepienia. Jeśli nie jest za późno, pójdę zaraz z panem.

W pół godziny potem siedziałem w redakcji „Naturę” z grubym tomiskiem przed sobą, otwartym na artykule:

Weismann versus Darwin, którego podtytuł brzmiał: Gorący protest w Wiedniu. Burzliwe zebranie.

Moje nieco zaniedbane wykształcenie nie pozwoliło mi dokładnie zrozumieć przebiegu dyskusji, jasne było jednak, że Challenger poczynił sobie bardzo agresywnie i mocno dał się we znaki swym europejskim kolegom. Trzy nawiasy ze słowami „Protesty”, „Hałasy” i „Apel do przewodniczącego” przede wszystkim wpadły mi w oko. Reszta równie dobrze mogła być pisana po chińsku, bo i tak nic nie rozumiałem.

— Czy nie mógłby mi pan tego przetłumaczyć na angielski? — zapytałem żałośnie mego uczynnego towarzysza.

— To już jest tłumaczenie.

— Więc może lepiej pójdzie mi z oryginałem.

— Dla laika będzie on trudny.

— Gdyby mi się tylko udało znaleźć choć jedno jedyne zdanie do rzeczy, które coś by mi mówiło, już bym sobie poradził. Jest! To mi się przyda. Prawie pojmuje, o co w nim chodzi. Zaraz je przepiszę. Posłuży mi do nawiązania rozmowy z tym strasznym profesorem.

— Czy mogę się jeszcze na coś panu przydać?

— O tak! Chcę napisać do Challengeera. List wystany stąd z pańskim adresem przychylnie go usposobi.

— Przyleci do nas z awanturą i zdemoluje redakcję.

— Nie, nie ma obawy. Pokażę panu list... nie będzie w nim nic obraźliwego. Zobaczy pan.

— Dobrze. Miech pan siada przy moim biurku. Papier znajdzie pan tu. Ale chciałbym ocenzurować list przed wystaniem.

Namęczyłem się trochę nad listem, ale mogę się pochwalić, że wypadł dobrze. Dumny ze swego dzieła, przeczytałem je krytycznie usposobionemu bakteriologowi.

Szanowny Panie Profesorze

— zacząłem.

Jako skromny student zawsze żywo interesowałem się Pańskimi poglądami na różnice między teorią Darwina a Weismanna. Niedawno miałem okazję znów odświeżyć je sobie w pamięci, czytając...

— *A to łgarz! — mruknął Tarp.*

...czytając Pański wspaniały referat wygłoszony w Wiedniu. To jasne i przekonywające stwierdzenie stawia chyba kropkę nad i. Jednakże zaskoczyła mnie pewna wypowiedź, a mianowicie: jak najgoręcej protestuję przeciw nieuzasadnionemu i całkowicie dogmatycznemu twierdzeniu, jakoby każde oddzielne „id” miało być mikrokosmosem o historycznej budowie, ukształtowanej w powolnym rozwoju pokoleń. Czy wobec nowych osiągnięć nauki nie uważałby Pan za wskazane zmodyfikować tego twierdzenia? Czy Pan nie uważa, że jest ono nieco przesadzone? Gdyby Pan pozwolił, chętnie pomówiłbym z Panem na ten temat, bo to zagadnienie bardzo mnie interesuje. Mam też na nie swój własny pogląd, który pragnąłbym przedstawić Panu w prywatnej rozmowie. A więc jeśli Pan nie ma nic przeciwko temu, będę miał zaszczyt odwiedzić Pana pojutrze (w środę) o jedenastej.

Łączę wyrazy szczerego poważania i głębokiego szacunku

Edward D. Malone

— *No i jak się to panu podoba? — zapytałem z triumfem.*

— *Dobre. Jeśli sumienie panu pozwala,..*

— *Dotychczas zawsze mi pozwalało.*

— *Co pan chce zrobić?*

— *Dostać się do Challengeera. Gdy już raz u niego będę, o coś zahaczę. Kto wie, czy nie zaryzykuję szczerego wyznania. Jeśli ma żyłkę sportową, może to chwyci.*

— *Chwyci! Dobre sobie! Niech się pan strzeże, żeby nie chwycił pana za kark i nie wylał za drzwi. Kolczuga albo strój rugbisty bardzo by się panu przydały. No, do widzenia. W środę rano niech pan wstąpi po odpowiedź — jeśli w ogóle Challengeer raczy odpisać. To człowiek gwałtowny, niebezpieczny i kłótlivy. Nie lubiany przez wszystkich i wyśmiewany przez studentów, gdy sobie mogą na to bezkarnie pozwolić. Kto wie, 'może byłoby lepiej dla pana, gdyby w ogóle się nie odezwał.*

ROZDZIAŁ III

ON JEST NAPRAWDĘ NIEMOŻLIWY

Obawy ani nadzieje mego przyjaciela nie miały się spełnić. W środę, kiedy przyszedłem po odpowiedź, zastałem list z pieczętką urzędu w West Kensington. Na kopercie widniało moje nazwisko naskrobane na całą długość piśmem przypominającym zasieki z drutu kolczastego. List brzmiał:

Otrzymałem Pański list z zawiadomieniem, że popiera Pan moje poglądy. Nie zdaje mi się jednak, by potrzebowały one czyjegokolwiek poparcia. Odważył się Pan używać słowa „wypowiedź” w odniesieniu do mego Stwierdzenia dotyczącego darwinizmu. Zwracam panu uwagę, że takie określenie w tym zestawieniu jest do pewnego stopnia obelżywe. Z treści zdania wynika jednak, że zgrzeszył Pan przez nieświadomość i brak taktu, a nie przez

złośliwość. Dlatego przechodzą nad tym do porządku. Cytuje Pan oderwane zdanie z mego referatu i najwidoczniej trudno je Panu zrozumieć. Tylko zupełny analfabeta umysłowy może nie pojąć, o co chodzi. Skoro jednak sformułowanie wymaga rozwinięcia, gotów jestem przyjąć Pana o wskazanej przez Pana godzinie, choć nie znoszą wizyt i wszelkiego rodzaju gości. W sprawie Pańskiego pytania, czy nie zmodyfikowałbym moich poglądów, niech pan pamięta, że nigdy nie cofam tego, co powiedziałem po trzeźwym, i długim namyśle. Zechce Pan pokazać kopertę tego listu memu służącemu Austinowi, by Pana wpuścił. Musi on bowiem uciekać się do najrozmaitszych środków ostrożności, broniąc mnie przed natrętnymi łajdakami, którzy pretendują do miana dziennikarzy.

Z poważaniem

George Edward Challenger

Przeczytałem list głośno Tarpowi. Zajrzał on rano do redakcji specjalnie po to, by się dowiedzieć o wyniku mego ryzykownego przedsięwzięcia, a teraz zauważył tylko: — Podobno jest jakiś nowy środek na stłuczenie, cuticura czy coś takiego, lepszy jakoby od arniki. — Niektórzy ludzie mają dziwny sposób żartowania.

List odebrałem tuż przed wpół do jedenastej, ale taksówką zdążyłem na umówione spotkanie. Zajechałem przed portyk jakiegoś imponującego domu. Ciężkie kotary w oknach świadczyły o zamożności groźnego profesora. Drzwi otworzył mi dziwny, smagły, wysuszony mężczyzna W nieokreślonym wieku, ubrany w czarną marynarską kurtkę z grubego sukna i brązowe skórzane sztylpy. Później dowiedziałem się, że był to szofer, którym łatano dziury po odejściu kolejnego lokaja. Badawczym spojrzeniem niebieskich oczu zmierzył mnie od stóp do głów.

— Spotkanie umówione? — zapytał. — Proszę o list.

— Tak — odparłem pokazując kopertę.

— W porządku! — widocznie był małomówny W korytarzu zatrzymała nas nagle jakaś drobna kobietka, która niespodzianie wyszła zza drzwi pokoju, jak się później okazało — jadalni. Była to pogodna, żywa, czarnooka pani, przypominająca raczej Francuzkę niż Angielkę.

— Zaraz — powiedziała. — Proszę poczekać, Austin. Może pan wejdzie — zwróciła się do mnie. — Wolno zapytać, czy pan zna mego męża?

— Nie mam zaszczytu.

— A więc z góry pana za niego przepraszam. Muszą przyznać, że jest naprawdę niemożliwy... zupełnie niemożliwy. Wolę pana uprzedzić, by pan to miał na uwadze.

— To bardzo uprzejmie z pani strony.

— Gdyby się rozzłościł, niech pan zaraz wyjdzie z pokoju. Najlepiej nie wdawać się z nim w dyskusję. Już wielu ludzi pokaleczył. A potem, wynika skandal, co odbija się na mnie i na nas wszystkich. Chyba nie chce pan z nim mówić o Ameryce Południowej?

Nie mogłem skłamać kobiecie.

— Mój Boże! Toż to najniebezpieczniejszy temat I Każde słowo męża wyda się panu

kłamstwem... jestem tego pewna i nawet się nie dziwię. Ale Mech pan nie zdradza nieufności, bo to go doprowadzi do białej gorączki. Proszę udawać, że pan wierzy, a wszystko dobrze się skończy. Niech pan pamięta, że on sam rzeczywiście w to wierzy. Zapewniam pana. To najuczciwszy człowiek pod słońcem. Ale już dosyć, bo gotów powziąć jakieś podejrzenie. Gdyby się stał groźny... naprawdę groźny, niech pan zadzwoni i stara się go jakoś pohamować, dopóki nie przybiegnę. Nawet w najgorętszym wybuchu wściekłości udaje mi się go poskromić.

Z tymi pocieszającymi słowami mała pani oddała mnie w ręce milczącego Austina, który niby spiżowy posąg, dyskretnie czekał na uboczu, by zaprowadzić mnie w sam koniec korytarza.

Na pukanie odpowiedział jakby głuchy ryk bawołu i za chwilę stanąłem oko w oko z profesorem.

Siedział w ruchomym fotelu za wielkim biurkiem założonym książkami, mapami i jakimiś wykresami. Gdy wszedłem, okręcił się z fotelem i spojrzał na mnie. Na jego widok zdębiałem. Spodziewałem się ujrzeć człowieka niezwykłego, ale nie podejrzewałem, że wygląd profesora wywrze na mnie aż tak szalone wrażenie. Przede wszystkim zadziwiła mnie jego kolosalna budowa — budowa i imponująca powierzchowność. Głowę miał olbrzymią, wprost (niespotykaną u ludzi. Jestem pewien, że jego cylinder, gdybym się kiedyś odważył go włożyć, oparłby md się na ramionach. Z twarzy i brody przypominał asyryjskiego byka; policzki miał rumiane, a brodę tak czarną, że niemal granatową, szeroką jak łopata, kędzierzawą, opadającą na piersi. Włosy też miał dziwaczne: przyklapnięte z przodu i przechodzące na potężnym czole w długie, kręte kosmyki. Stalowe oczy rzuciły spod czarnych, krzaczastych brwi spojrzenie jasne, krytyczne i władcze. Znad biurka prócz dwóch olbrzymich rąk porośniętych czarnym, długim włosiem wyglądała jeszcze „potężniej sklepiona pierś i wielkie bary. To i grzmiący, donośny głos złożyły się na moje pierwsze wrażenie o słynnym profesorze Challengerze.

— No i co? — przyjrzał mi się arogancko. Musiałem przynajmniej jakiś czas grać przybraną rolę, by mój wywiad nie skończył się od razu.

— Pan zgodził się łaskawie udzielić mi paru minut rozmowy — powiedziałem pokornie, pokazując kopertę.

Wziął mój list z biurka i położył przed sobą.

— To pan jest tym młodym człowiekiem, który nie rozumie po angielsku? Uprzejmie godzi się pan, o ile pojmuję, z moim zasadniczym wnioskiem. Tak?

— Całkowicie, proszę pana, całkowicie! — starałem się mówić przekonująco.

— Co pan powie! To bardzo wzmacnia moją pozycję. Wiek i wygląd dodają podwójnej wagi pańskiemu poparciu. Ostatecznie jest pan lepszy od tej gromady świń z Wiednia, których stadne chrząkanie nie ubliża mi Więcej niż odosobnione napaści angielskich wieprzów — spojrzał na mnie jak na przedstawiciela tych zwierząt.

— Zachowali się okropnie — zapewniłem.

— Potrafię się bronić bez niczyjej pomocy i nie szukam pańskiego współczucia. Sam, przyparty do muru, czuję się najlepiej. No, a teraz postarajmy się skrócić tę wizytę, dla

pana zapewne nieprzyjemną, a dla mnie nadzwyczaj nużącą. Podobno ma pan jakieś uwagi w związku z moją teorią?

To pytanie rzucone tak prosto z mostu utrudniało mi dalsze kluczenie. Musiałem jednak kontynuować zaczęłą grę i czekać sprzyjającej okazji. Z daleka wydawało się to o wiele łatwiejsze. Czyż mój irlandzki spryt nie pomóż mi w takich opatach? Challenger przeszył mnie ostrym spojrzeniem stalowych oczu.

— Proszę, proszę — mruknął.

— Oczywiście jestem tylko studentem — powiedziałem uśmiechając się głupkowato. — Najwyżej szczerym zapaleńcem. Wydaje mi się jednak, że pan trochę za ostro rozprawił się z Weismannem. Czy od tego czasu ogólne dowody nie... tak... nie potwierdziły słuszności jego tez?

— Jakie dowody? — zapytał z groźnym spokojem.

— No tak, zdaję sobie sprawę, że nie ma nic takiego co można by nazwać dowodem konkretnym. Musiałem tylko o nowych kierunkach i jeśli można tak się wyrazić, tendencjach naukowych." Pochylił się ku mnie z wielką powagą.

— Pan chyba wie — zaczął zaginając kolejno palce u ręki — że wskaźnik czaszkowy jest czynnikiem stałym?

— Naturalnie — odparłem.

— I że telegonia ciągle jest sub judice?

— Bez wątplenia.

— I że plazma zarodkowa różni się od jaja partenogenetycznego?

— No tak! — wykrzyknąłem wniebowzięty własnym zuchwalstwem.

— Ale czego to dowodzi? — pytał dalej uprzejmie Challenger.

— Rzeczywiście, czego to dowodzi? — mruknąłem.

— Mam panu powiedzieć? — zagadnął tonem łagodnej perswazji.

— Bardzo proszę.

— To dowodzi — ryknął w przystępie nagłej furii — że pan jest najwstrętniejszym oszustem, w Londynie... podłą, dziennikarską żmiją. Człowiekiem bez wykształcenia i krzty przyzwoitości!

Zerwał się na nogi, a w oczach błysnęło mu szaleństwo. Nawet w tej pełnej napięcia chwila zdążyłem ze zdumieniem zauważyć, że był bardzo niski, głową sięgał mi zaledwie do ramienia. Zahamowany w rozwoju Herkules, którego straszna siła skupiła się w ramionach, klatce piersiowej i mózgu.

— Bzdury! — krzyczał pochylony ku mnie, palcami obu rąk wsparty o biurko, z głową podaną naprzód. — Plotłem panu bzdury... naukowe bzdury! Próbował pan dorównać mi przebiegłością... pan, z tym kurzym mózgiem! Uważacie się za wszechmocnych, przekłęci pismacy, tak? Sądzicie, że wasze pochwały zrobią człowieka wielkim, a nagany małym? Musimy klękać przed wami i błagać o przychylnie słowo, co? Temu każecie służyć na tylnych łapkach, a temu leżeć spokojnie. Znam was, żmije! Przewróciło wam się w głowie. A był czas,

kiedy wam utarto nosa. Wielkość uderzyła wam do głowy. Nadęte pęcherze! Pokażę wam wasze miejsce. Tak, mój panie, nie dorówna pan Challengerowi. Jest jeszcze ktoś, kto się was nie boi. Ostrzegłem pana, ale na Boga, skoro pan tu przyszedł, zapłaci pan za to. To było najście, oskarżam pana o najście, panie Malone! Wdał się pan w niebezpieczną grę i przegrał ją pan.

— Proszę pana — powiedziałem cofając się i otwierając drzwi. Może mnie pan znieważać, ale do pewnych granic. Nie pozwolę się tknąć palcem.

— Nie pozwoli się pan tknąć? — szedł do mnie w groźnej postawie, ale teraz przystanął i wsunął ogromne ręce w kieszenie krótkiej, niemal chłopięcej kurtki. — Paru dziennikarzy wyrzuciłem już z domu. Pan będzie czwartym czy piątym. Trzy funty piętnaście szylingów za każdego — tyle przeciętnie wypadło. Kosztowne, ale konieczne. Czemuż to, mój panie, nie miałyby pan pójść w ślady swych poprzedników? I pójdzie pan! — znów Tuszył ku mnie przykrymi, cichymi krokami, stąpając na czubkach palców jak baletmistrz.

Mogłem uciec na korytarz, ale duma mi na to nie pozwoliła. Poza tym zapalałem słusznym gniewem. Oczywiście przedtem nie miałem racji, ale teraz groźby tego człowieka rozgrzeszyły mnie ze wszystkiego.

— Zechce pan trzymać ręce przy sobie. Bo tego nie zniosę.

— Nie zniesie pan, co.? — jego czarne wąsy uniosły się, a białe kły błysnęły w pogardliwym uśmiechu.

— Nieco się pan opamięta, profesorze! — krzyknąłem. — Na co pan liczy? Ważę dwieście dziesięć funtów, mam stalowe mięśnie i co sobota grywam na środku obrony „Londyńskich Irlandczyków”. Nie należę do ludzi, którzy...

W tym momencie skoczył na mnie. Na szczęście otworzyłem już drzwi, bo bylibyśmy je wywalili. Przekoziołkowaliśmy przez cały korytarz, zawadziliśmy o krzesło i razem z nim potoczyliśmy się ku wyjściu. Usta miałem pełne brody profesora, spleśliśmy się ramionami, zwarli w jeden kłęb, z którego sterczały nogi przeklętego krzesła. Przezorny Austin na czas otworzył drzwi wejściowe. Tyłem fiknęliśmy przez schody na bruk. Widziałem kiedyś, jak dwóch kłownów w cyrku dokazało takiej sztuki. Wymaga ona jednak nieco wprawy, jeśli ma się z niej wyjść cało. Krzesło rozleciało się, a my, każdy z osobna, wpadliśmy do rynsztoka. Profesor zerwał się pierwszy, wywijając pięściami i łapiąc oddech jak astmatyk.

— Ma pan dosyć? — spytał.

— Przeklęty zabijako! — wołałem wstając z ziemi. Rzucilibyśmy się znów na siebie, bo pałał chęcią walki, ale na szczęście policjant wybawił mnie z przykłej sytuacji. Stanął przy nas z notesem w ręku.

— Co to znaczy? Jak panom nie wstyd? — powiedział i były to najtrzeźwiejsze słowa, jakie usłyszałem na tej ulicy. — No — zwrócił się do mnie — o cóż poszło?

— Ten człowiek mnie napadł — odparłem.

— Czy to prawda? — zapytał policjant. Profesor milczał zasapany.

— To nie pierwszy wypadek — surowo ciągnął policjant i potrząsnął głową. — W zeszłym miesiącu miał pan sprawę w sądzie. Podbił pan oko temu młodemu człowiekowi. Czy pan wnosi

skargę?

Zdołałem już ochłonąć z gniewu.

— Nie — rzekłem. — Nie wnoszę.

— Jak to?

— To moja wina. Wdarłem się do tego domu nieproszony, mimo lojalnej przestrogi.

Policjant zamknął notes.

— Żeby mi to było po raz ostatni — powiedział. — Proszę się rozejść, rozejść się! — krzyknął na chłopca od rzeźnika, służącą i paru gapiów. Ruszał ciężko w dół ulicy pędząc tę czeredkę przed sobą. Profesor spojrzął na mnie, a w jego oczach tliła się iskierka humoru.

— Niech pan wejdzie — powiedział. — Jeszcze z panem nie skończyłem.

Zabrzmiało to ponuro, lecz, mimo to usłuchałem. Austin, jak automat, zatrzaskał drzwi za nami.

ROZDZIAŁ IV

TO RZECZ NIEBYWAŁA

Ledwie drzwi się zamknęły, pani Challenger wybiegła z jadalni. Ta mała kobietka szalała z gniewu. Zastąpiła drogę mężowi, jak rozwścieczona kwoka buldogowi. Musiała widzieć, że wylatywałem z domu, ale nie wiedziała, że wróciłem.

— Jakież z ciebie brutal — krzyczała piskliwie. — Zranieś tego małego młodzieńca!

Profesor wskazał na mnie przez ramię wielkim palcem.

— Idzie zdrów i cały. Zmieszła się, ale nie bardzo.

— Nie zauważyłam pana.

— Nic mi się nie stało, proszę pani.

— Podbił panu oko. Och, George, jaki z ciebie brutal. Przez cały tydzień same skandale. Wszyscy cię nienawidzą i śmieją się z ciebie. Już mam tego powyżej uszu. Ta awantura przebrała miarę.

— Brudy pierze się w domu, nie przy obcych. — huknął.

— To żaden sekret — wybuchnęła — Myślisz, że cała ulica... cały Londyn o tym nie wie... Austin, nie będziecie nam teraz potrzebni. Myślisz, że o tobie nie mówią? Nie masz poczucia własnej godności!

Ty, który powinienesz być profesorem na jakimś wielkim uniwersytecie z tysiącem, uwielbiających cię studentów... Gdzie się podziła twoja ambicja?

— Tam gdzie i twoja!

— Ja już nie mam sił. Rozbójnik... zwykły rozbójnik... nic więcej.

— Jessie, na miłość boską!

— Wściekły pies!

— Przebrałaś miarę. Na ośłą ławkę! — krzyknął. Ku memu zdziwieniu uniósł ją w górę jak

piórko i posadził na stojącym w rogu wysokim, czarnym marmurowym postumencie, który miał ze siedem stóp wysokości i był tak wąski, że pani Challenger ledwie mogła utrzymać równowagę. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej zabawnego od widoku tej małej kobietki siedzącej w górze z twarzą wykrzywioną gniewem, z nogami dyndającymi w powietrzu, zmartwiałą ze strachu, że zleci.

— Zsadź mnie! — wołała płaczliwie.

— Powiedz „proszę”.

— Ty brutalu! Zsadź mnie zaraz!

— Panie Malone, proszę za mną do gabinetu.

— Proszę pana, doprawdy... — zacząłem patrząc na panią Challenger.

— Jessie, pan Malone wstawia się za tobą. Powiedz „proszę”, a zaraz cię zsadzę.

— Ocli, brutalu! Proszę, proszę! Zdjął ją, jakby była kanarkiem.

— Nie wolno ci się zapominać, moja droga. Pan Malone jest dziennikarzem. Opíše to wszystko jutro w swej szmacie i rozprzeda kilkanaście egzemplarzy ekstra między naszych sąsiadów. „Skandal w wyższych sferach”. Czująś się naprawdę w wyższych sferach na tym postumencie, co? I podtytuł: „Za kulisami dziwnego małżeństwa”. Pan Malone żyje z brudów, żeruje na padlinie jak i jego towarzysze. Porcus ex grege diaboli — proszę z diabelskiego stada. Oto czym jest pan Malone.

— Pan jest naprawdę niemożliwy — powiedziałem unosząc się gniewem.

Ryknął śmiechem.

— Niebawem będę musiał stawiać czoła koalicji — rzekł swym donośnym głosem, patrząc to na mnie, to na żonę i wypinając potężną pierś. A potem nagle zmienił ton. — Zechce pan wybaczyć nam te rodzinne figle i spory. Poprosiłem pana w poważniejszym celu, a nie po to, by pan wziął udział w naszych domowych psotach. Zmykaj, mała kobietko, i nie trap się niczym. — Położył swe wielkie ręce na jej ramionach. — Masz zupełną rację. Byłbym lepszym człowiekiem, gdybym cię słuchał, ale wówczas nie byłbym sobą. Na świecie znajdzie się wielu ludzi lepszych ode mnie, ale George Edward Challenger jest tylko jeden. Musisz się więc z nim pogodzić. — Niespodzianie pocałował ją głośno, co stropiło mnie więcej niż jego poprzednia gwałtowność. — A teraz, panie Malone — ciągnął w nagłym przystępie godności — proszę za mną.

Weszliśmy do pokoju, który przed dziesięcioma minutami opuściliśmy z takim rumorem. Profesor starannie zamknął drzwi, wskazał mi fotel i podsunął pod nos pudełko cygar.

— Prawdziwe San Juan Colorado — powiedział. — Ludzie pobudliwi jak pan są największymi narkomanami. Na Boga, niech pan nie odgryza koniuszka. Niech pan utnie... utnie z należyтым szacunkiem! Teraz proszę się oprzeć wygodnie i uważnie wysłuchać tego, co zechcę powiedzieć. Z uwagami niech pan poczeka na sprzyjającą chwilę.

Przede wszystkim ustalmy, dlaczego najprzód wyrzuciłem pana za drzwi, i to nie bez racji, a potem znów zaprosiłem, do siebie. — Wysunął brodę jak człowiek, który ciska wyzwanie i czeka sprzeciwu. — Więc powtarzam, dlaczego zrobiłem to po dobrze zasłużonym wyrzuceniu pana za drzwi? Otóż przyczyna leży w odpowiedzi, której pan

udzielił temu natrętnemu policjantowi. Dopatrzyłem się w niej pewnej dozy szlachetności... większej w każdym razie niż normalnie spotyka się w pańskim zawodzie.

Przyznając się do winy dał pan dowód pewnej niezależności i szerszych, horyzontów myślowych, co przychylnie nastroiło mnie do pana. Ten gatunek „podludzi”, do których pan niestety należy, jest poniżej mego poziomu umysłowego, ale pańskie słowa dobrze o panu świadczą. Zaciekawiał mnie pan. Poprosiłem więc, żeby pan wrócił, bo chcę pana bliżej poznać. Popiół niech pan strząśnie na japońską tackę na bambusowym stolyczku przy pańskim lewym łokciu.

Tę całą tyradę wypowiedział głośno, jak profesor zwracający się do uczniów. Okręcił się na fotelu i siedział twarzą do mnie, nadęty jak olbrzymia ropucha. Głowę odchylił w tył i patrzył na mnie spod pogardliwie opuszczonych powiek. Nagle obrócił się w bok, tak, że widziałem tylko jego zmierzwioną czuprynę i czerwone odstające ucho. Szukał czegoś w stosach papierów na biurku. Wreszcie wyciągnął coś przypominającego mocno wystrzępiony notes.

— Opowiem panu o Ameryce Południowej — zaczął. — Uwagi proszę zachować dla siebie. Przede wszystkim proszę zapamiętać, że nic z tego, co powiem, nie może przedostać się do prasy bez mego wyraźnego zezwolenia. A tego prawdopodobnie nigdy panu nie udzielę. Zrozumiał pan?

— To ciężki warunek — odparłem. — Jakieś obiektywne sprawozdanie...

Odłożył notes na biurko.

— Nie ma o czym mówić. Do widzenia.

— Nie, nie! — zawołałem. — Zgadzam się na wszystko. Zresztą nie mam wyboru.

— Żadnego.

— A więc przyrzekam.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

Jego zuchwałe oczy patrzyły podejrzliwie.

— A co ja wiem o pańskim honorze?

— Doprawdy — zawołałem gniewnie. — Pan sobie za dużo pozwala! Nikt jeszcze tak mnie nie obraził.

Ten wybuch więcej go zaciekawiał, niż oburzył.

— Krótkogłowiec — mruknął. — Brachycefalia, szarooki, czarnowłosa, z lekka negroidalny. Jest pan celtyckiego pochodzenia?

— Jestem Irlandczykiem.

— Stuprocentowym?

— Tak.

— Sprawa jest jasna. Zastanówmy się: przyrzeka pan dotrzymać tajemnicy? Oczywiście nie zdradzę panu wszystkiego. Ale powiem parę ciekawych rzeczy. Pewnie pan wie, że dwa lata temu odbyłem podróż do Ameryki Południowej... Przejdzie ona do historii naukowych

odkryć. Chodziło mi o sprawdzenie wniosków Wallace'a i Batesa, a tego mogłem dokonać tylko obserwując zanotowane przez nich zjawiska w takich samych jak oni warunkach. Gdyby nawet moja wyprawa nie przyniosła innych rezultatów, i tak byłaby bardzo owocna, ale przydarzył mi się tam wypadek, który skierował moje badania na inne tory. Pewnie pan wie — a raczej w tym wieku ignorancji, w jakim żyjemy, pewnie pan nie wie — że dorzecze Amazonki wciąż jeszcze nie jest dokładnie zbadane i że wiele jej dopływów nawet nie figuruje na mapach. Miałem poznać ten tajemniczy kraj i jego faunę, by zdobyć materiał dla tej wielkiej i monumentalnej pracy z zoologii, która będzie dziełem mego życia. Uporałem się z tym i wracałem do kraju, kiedy niespodziewanie wypadło mi zanoć w małej indiańskiej wiosce u ujścia dopływu Amazonki, którego nazwę i położenie zachowam w tajemnicy. Osadę zamieszkiwali Indianie z plemienia Cucarna, rasa miła, lecz zdegenerowana, o umysłowości ledwie przerastającej przeciętnego londyńczyka. Po drodze w górę rzeki udało mi się uzdrowić paru z nich, co wywarło kolosalne wrażenie. Nie zdziwiłem się więc, że wyczekiwali niecierpliwie mego powrotu. Z ich gestów wywnioskowałem, że moje doświadczenie lekarskie, jest komuś na gwałt potrzebne i ruszyłem za ich wodzem w kierunku jednej z chat. Gdy wszedłem do środka, przekonałem się, że biedak, do którego mnie sprowadzono, już nie żyje. Ku memu wielkiemu zdziwieniu okazał się białym, nie czerwonoskórym; właściwie bardzo nawet białym, bo włosy miał koloru lnu i zdradzał cechy albinosa. Okryty łachmanami, chudy jak szkielet, musiał długo znosić ciężkie trudy. Z gestu Indian zrozumiałem, że był zupełnie obcy i sam, u kresu sił, przywłókł się do wioski poprzez lasy.

Przejrzałem plecak, który leżał przy nim. Na wewnętrznej stronie klapki widniało nazwisko: *Mapie White, Lakę Avenue, Detroit, Michigan*. Przed tym nazwiskiem zawsze schylę głowę. Wystarczy, jeśli powiem, że znajdzie się ono obok mego, gdy dojdzie do podziału zasług tego odkrycia.

Z zawartości plecaka wynikało, że biedak był artystą i poetą szukającym wrażeń. Znalazłem urywki wierszy. Nie uważani się za znawcę w tej dziedzinie, ale moim zdaniem były bardzo liche. Znalazłem też parę banalnych nadržecznych krajobrazów, pudło z farbami, kredki, pędzle, tę zakrzywioną kość, która leży na moim kałamarzu, tomik Baxtera *Ćmy i motyle* i tani rewolwer z kilkoma nabojami. Zmarły nie miał żadnego osobistego ekwipunku, a może zresztą utracił go w drodze. Tyle zostało po tym dziwnym amerykańskim niebieskim ptaku.

Zabierałem się już do wyjścia, gdy zauważyłem, że nieboszczykowi wystaje coś ze strzępów kurtki na piersiach. Był to ten notes w takim opłakanym stanie, w jakim go pan teraz widzi. Zaręczam panu, że pierwsze wydanie dzieł Szekspira nie cieszyło się większą czcią niż ten podarty notes, od chwili gdy wziętem go do rąk. Daję go panu i niech go pan przejrzy strona po stronie.

Wziął nowe cygaro, odchylił się w fotelu i patrzył na mnie badawczo, ciekaw, jakie wrażenie wywrze na mnie ten dokument.

Otwartem notes spodziewając się jakichś rewelacji, choć nie wiedziałem właściwie jakich. Pierwsza strona zupełnie mnie rozczerowała. Była to podobizna grubasa w marynarskiej kurtce z podpisem: *Jimmy Colver* na pocztowym parostatku. Potem przerzuciłem kilka stron

z rodzajowymi obrazkami z życia Indian. Następny szkic przedstawiał dobrodusznego i korpulentnego księdza w kapeluszu z wielkim rondem, siedzącego naprzeciw chudego Europejczyka i był zatytułowany: *Śniadanie z bratem Cristoiero w Rosario*; dalsze przedstawiały jakieś kobiety i dzieci oraz całą serię zwierząt z takimi wyjaśnieniami: *Krowa morska na piasku, Żółwie i ich jaja, Czarny aguti pod palmą* (to ostatnie zwierzę przypominało zwykłą świnie) i wreszcie na podwójnej stronie wstrętne jaszczury z długimi paszczami, *W tym wszystkim nie mogłem się dopatrzeć żadnych osobliwości.*

— *To chyba tylko krokodyle?*

— *Aligatory! Aligatory! W Ameryce Południowej nie ma krokodyli. Różnica między nimi polega na tym, że...*

— *Nie widzę tu nic szczególnego... nic, co usprawiedliwiłoby pańskie słowa.*

Uśmiechnął się spokojnie.

— *Niech pan odwróci kartkę.*

I znów nie znalazłem nic ciekawego, tylko całostronicowy pejzaż w surowych kolorach, albo raczej studium, jakie robią artyści, zanim przystąpią do malowania obrazu. Na pierwszym planie widać było bladozieloną bujną roślinność. Porastała wznoszący się teren, zamknięty na horyzoncie murem ciemnoczerwonych skał pociętych jak bazaltowe formacje, które już widywałem. Ich pasmo stanowiło tło rysunku, z boku zaś, jakby odłupana od głównego łańcucha, wznosiła się samotna stożkowa skała z jednym jedynym olbrzymim drzewem na szczycie. A nad tym — błękitne, tropikalne niebo. Na skałach zielenił się cienki pas roślinności. Na następnej stronie ujrzałem ten sam krajobraz, wykonany akwarelą, ale w zbliżeniu i dlatego wyraźniejszy.

— *No i co? — zapytał Challenger.*

— *Bardzo ciekawa formacja — powiedziałem. — Ale nie jestem tak mocny w geologii, żeby ją uważać za nadzwyczajną.*

— *Nadzwyczajną! — powtórzył. — Jedyną. Wprost niewiarygodną! Nikomu na świecie nawet się o niej nie śniło. Niech pan jedzie dalej!*

Postuchałem i aż krzyknąłem ze zdziwienia. Był to również całostronicowy rysunek najdziwniejszego stworzenia, jakie kiedykolwiek widziałem. Majaczenie palacza opium, człowieka w delirium. Stwór miał głowę ptasia, tułów rozdętej jaszczurki i długi, powłóczysty ogon z ostrymi, sterczącymi kolcami. Szczytem wygiętego grzbietu biegło pasmo wysokich, zębatych, jakby kogucich grzebieni. Przed tym potworem, stał wpatrzony w niego mały człowieczek — karzeł w ludzkiej postaci.

— *No i co pan o tym myśli? — krzyknął profesor zacierając ręce z triumfem.*

— *Monstrualne... groteskowe.*

— *Co go skłoniło do narysowania takiego zwierzęcia?*

— *Pewnie nadmiar wypitego alkoholu.*

— *Nie ma pan lepszego wytłumaczenia?*

— *A jak pan to tłumaczy?*

— *W jeden jedyny sposób: że takie zwierzę naprawdę istnieje. To rysunek z natury.*

Roześmiałbym się, gdybym sobie nagle nie przypomniał, jakiego kozła już raz wywinąłem spadając ze schodów.

— Bez wątpienia — powiedziałem. — Bez wątpienia — powtórzyłem wyrozumiale, jakbym mówił z wariatem. — Przyznaję jednak, że dziwi mnie ten mały człowieczek. Gdyby to był Indianin, mielibyśmy dowód istnienia jakiejś rasy Pigmejów w Ameryce. Jednakże wygląda na Europejczyka w dużym słomkowym kapeluszu.

Profesor sapnął jak rozwścieczony buhaj.

— To już naprawdę przekracza wszelkie granice. Nie przypuszczałem, że taka rzecz w ogóle jest możliwa. Niedowład mózgu? Zanik jego działalności! Zadziwiająca!

Wszystko to było tak absurdalne, że nawet nie mogłem się rozgniewać. Zresztą, gdyby się miało gniewać na profesora, trzeba by się gniewać bezustannie. Uśmiechnąłem się więc znudzony.

— Uderzyło mnie, że ten człowiek jest taki mały — powiedziałem.

— Niech pan posłucha — zawołał profesor pochylając się w przód i owłosionym, grubym jak serdelek palcem szturchając w rysunek. — Widzi pan to drzewo za zwierzęciem? Pewnie pan myśli, że to mniszek lub brukselka, co? A to palma, tak zwana „słoniorośl”. Sięgają one pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stóp. Czy pan nie rozumie, że tego człowieczka umieszczono tu celowo? Gdyby naprawdę stał przed takim potworem, już by go nie narysował, może pan być pewien. Chyba z tamtego świata. Umieścił tu siebie dla skali porównawczej. Amerykanin miał ponad pięć stóp. Drzewo jest dziesięć razy większe, czego się można było spodziewać.

— Wielkie nieba! — wykrzyknąłem. — Więc pan sądzi, że to zwierzę było... Ho, ho, stacja Charing Cross ledwie by mu starczyła za norę!

— No, bez przesady, potężny okaz — z zadowoleniem stwierdził profesor.

— Jednakże — mówiłem podniecony — trudno na podstawie tego rysunku przekreślić cały dorobek ludzkiej wiedzy. — Odwróciłem kartkę i przekonałem się, że była ostatnią w notatniku. — Opierając się na jakimś szkicu amerykańskiego wędrownego artysty, który zresztą mógł być pod wpływem haszyszu, może gorączki lub po prostu chorobliwej fantazji, pan, człowiek uczony, nie może bronić podobnego stanowiska.

Zamiast odpowiedzi Challenger. zdjął z półki jakąś książkę.

— To wspaniała monografia mego utalentowanego przyjaciela, Raya Lankešlera — powiedział. — Znajdzie pan tu ilustrację, która pana zainteresuje. O, jest! Czytamy pod nią: Tak pewnie wyglądał Dinosaurus Stegosaurus z okresu jurajskiego. Tylna łapa jest dwukrotnie większa od dorosłego mężczyzny. No i co pan powie?

Podał mi otwartą książkę. Z coraz większym zdumieniem patrzyłem na rycinę. W tym rysunku, który miał odtwarzać podobiznę zwierzęcia z wymarłego już świata, znajdowałem wiele wspólnych cech ze szkicem nieznanego artysty.

— To naprawdę zadziwiająca — przyznałem.

— A nie uważa pan tego za dowód?

— Może to być tylko zbieg okoliczności. Albo może Amerykanin widział i zapamiętał

podobny rysunek. W gorączce mógł go sobie podświadomie przypomnieć.

— Doskonale — łaskawie zgodził się profesor. — Zostańmy przy tym. A teraz niech pan spojrzy na tę kość.

Podał mi kość, o której wspominał już, że należała do zmarłego Amerykanina. Miała ze sześć cali długości, była grubsza od mego wielkiego palca, a kończyła się jakąś uschniętą chrząstką.

— Z jakiego znanego panu zwierzęcia może ona pochodzić? — zapytał.

Uważnie patrzyłem na kość usiłując odgrzebać w pamięci na pół zapomniane wiadomości.

— Może to być bardzo gruby ludzki obojczyk — powiedziałem w końcu.

Mój rozmówca machnął pogardliwie ręką.

— Ludzki obojczyk jest zakrzywiony. Ta kość jest prosta. Ma też na sobie rowek, co wskazuje, że biegło przez nią wielkie ścięgno. Wyklucza to myśl o obojczyku.

— Przyznaję więc, że nie wiem.

— Nie potrzebuje się pan tego wstydzić, bo w całym Instytucie Kensingtonskim nie znajdzie pan nikogo, kto by mógł odpowiedzieć na to pytanie. — Wyjął z małego pudełeczka jakąś kostkę wielkości strączka fasoli. — Jak sądzę, ta kość ludzka jest odpowiednikiem, tej którą pan trzyma w ręku. To da panu pojęcie o rozmiarach zwierzęcia. Po chrząstce pozna pan, że nie jest skamieniałością, lecz świeżym okazem. Jak pan to wytłumaczy?

— Pewnie słoń... Skrzywił się boleśnie.

— Nie, nie. Niech pan zapomni o słońcach w Ameryce Południowej. Nawet teraz, przy naszym nauczaniu...

— A więc dobrze — przerwałem. — Któreś z wielkich południowo-amerykańskich zwierząt... tapir na przykład.

— Młodzińcze, może pan być pewien, że w tej dziedzinie znam się na rzeczy. To nie jest ani kość tapira, ani żadnego innego stworzenia. Należy ona do bardzo wielkiego, bardzo silnego i prawdopodobnie bardzo dzikiego zwierzęcia, które żyje na ziemi, ale nie jest znane nauce. Jeszcze się pan nie przekonał?

— W każdym razie bardzo mnie to zaintrygowało.

— A zatem nic straconego. Czuję, że gdzieś w panu drzemie zdrowy rozsądek. Postaramy się do niego dotrzeć. Zapomnijmy o zmarłym Amerykaninie i niech pan posłucha dalszego opowiadania. Rozumie pan, że nie mogłem wrócić z Amazonki nie postarawszy się zgłębić tajemnicy. Istniały pewne poszlaki wskazujące, skąd zmarły nadszedł. Legendy Indian również mogły mi dać wskazówkę. We wszystkich plemionach nadrzecznych żyją jakieś baśnie o dziwnej krainie. Słyszał pan pewnie o Curupuri.

— Nigdy.

— Curupuri to duch lasów. Coś strasznego, okrutnego, czego należy unikać za wszelką cenę. Nikt nie wie, jak wygląda, czym jest, ale jego imię sieje postrach wzdłuż całej Amazonki. Wszystkie plemiona jednak zgadzają się co do miejsca, w którym żyje. Amerykanin stamtąd właśnie nadszedł. Tam czaiło się coś groźnego. Postanowiłem zbadać, co by to być mogło.

— Co pan zrobił? — zapomniałem o swym niedowiarstwie. Ten niezwykły człowiek zdobył całą moją uwagę i szacunek.

— Przełamałem zaciekły opór Indian — opór, nawet gdy szło o rozmowy na ten temat — i udało mi się rozsądną perswazją oraz darami, choć muszę przyznać, że nie bez gróźb, skłonić dwóch z nich, by mi służyli za przewodników. Po wielu przygodach, które pomnę milczeniem, po przejściu odległości, której nie podam, w kierunku, którego nie zdradzę, dotarliśmy wreszcie w okolice, gdzie dotąd nikt nie był prócz mego nieszczęsnego poprzednika. Może pan spojrzeć na to.

Podał mi jakieś zdjęcia.

— Jest takie niewyraźne — powiedział — bo gdy płynąłem w dół rzeki, łódź się wywróciła i kasetę z niewywołanymi kliszami rozleciała się. Prawie wszystkie uległy zniszczeniu — niepowetowana strata. To zdjęcie jest jednym z paru, które częściowo się uratowały. Teraz chyba pan rozumie, czemu jest takie zamazane i niewyraźne. Posądzono mnie o fałszerstwo. Teraz nie chce mi się o tym mówić.

Trzeba przyznać, że zdjęcie było bardzo zatarte. Oczy nieprzychylnego krytyka istotnie mogły dopatrzeć się w nim pewnych niedokładności. Przedstawiało wyblakły krajobraz, a gdy mu się baczniej przyjrzałem, dostrzegłem długą linię potężnych, skał, podobną do olbrzymiej katarakty widzianej z daleka, i rozciągającą się u ich podnóża, porośniętą drzewami równinę.

— To ma być chyba to samo miejsce co na rysunku — powiedziałem.

— To jest. to samo miejsce — rzekł profesor. — Znalazłem tu ślady po obozowisku tamtego biedaka. A teraz niech pan spojrzeć. — Pokazał mi zrobioną z bliska fotografię tej samej okolicy, ale i tej dużo brakowało. Zdołałem jednak rozpoznać samotną skałę z drzewem na szczycie, odłupaną od głównego łańcucha.

— Teraz nie wątpię — przyznałem.

— No, to już coś. Posuwamy się naprzód. Proszę, niech pan się przyjrzy wierzchołkowi tej spiczastej skały. Czy pan coś widzi?

— Olbrzymie drzewo.

— A na nim?

— Wielkiego ptaka.

Podał mi szkło powiększające.

— Tak — powiedziałem patrząc przez nie. — Na wierzchołku siedzi olbrzymi ptak z potężnym dziobem. Pelikan czy co?

— Nie zazdroszczę panu wzroku — zauważył profesor. — To ani pelikan, ani ptak. Może pana zainteresuje wiadomość, że udało rai się go zestrzelić. Zdobyłem w ten sposób niezaprzeczone potwierdzenie mych słów.

— Więc ma go pan? — nareszcie nasza rozmowa zaczęła przybierać konkretny obrót.

— Miałem. Ale niefortunnie straciłem wraz z wieloma innymi dowodami, kiedy czółno się wywróciło i kiedy moje fotografie uległy zniszczeniu. Tę zdobycz schwyciłem, gdy już ginęła w wirach, lecz w ręku pozostała mi tylko część skrzydła. Woda wyrzuciła mnie

nieprzytomnego na brzeg, ale resztki tego niezwykłego okazu ocalały. Oto one.

Wyjął z szuflady coś, co przypominało mi górną część skrzydła wielkiego nietoperza. Była to zakrzywiona kość długości dwu stóp, z błoną u dołu.

— Olbrzymi nietoperz — zdobyłem się na uwagę.

— Nic podobnego — poważnie odparł profesor. — Żyjąc w świecie nauki nigdy bym nie przypuścił, że można być aż takim ignorantem w podstawowych zagadnieniach zoologii. Czyżby nawet tego nie wiedział pan z anatomii porównawczej, że skrzydło ptaka w istocie jest przedramieniem, zaś skrzydło nietoperza trzema wydłużonymi palcami połączonymi błoną! Ta kość na pewno nie jest przedramieniem. Może pan sam się przekonać, że nie należy do nietoperza, bo błona wisi na samotnej kości. Czymże więc był ten stwór, skoro nie był ani ptakiem, ani nietoperzem?

Mój mały zasób wiadomości był doszczętnie wyczerpany.

— Doprawdy nie wiem — odpowiedziałem. Profesor raz jeszcze otworzył dzieło, które mi przedtem pokazał.

— Tu — powiedział wskazując na podobiznę jakiegoś niezwykłego fruującego potwora — widzi pan doskonałą reprodukcję dymorfodona, czyli pterodaktyla, latającego gada z okresu jurajskiego. Na następnej stronie znajdzie pan rysunek jego skrzydeł. Proszę, niech pan go łaskawie porówna z tym, co pan trzyma w ręku.

Spojrzałem uważnie i aż drgnąłem ze zdziwienia. Zostałem przekonany. Jakże tu wątpić? Prawda była oczywista. Szkic, zdjęcia, opowiadanie i teraz ta kość składały się na nieodparty dowód. Przyznałem to... przyznałem ze szczerym uniesieniem, bo czułem, że profesora skrzywdzono. A on odchylił się w fotelu, zamknął oczy i uśmiechał się wyrozumiale, jakby się sycił tym pierwszym promykiem uznania.

— To rzecz, niebywała — mówiłem z zapałem, choć był to zapamiętany dziennikarza, nie naukowca. — To coś kolosalnego. Pan jest Kolumbem nauki, który odkrył świat zaginiony. Strasznie mi przykro, że nie wierzyłem panu, ale to było takie nieprawdopodobne. Nie mogę jednak zaprzeczyć oczywistym faktom i nie sądzę, by ktokolwiek zaprzeczył.

Profesor mruczał z zadowoleniem.

— I co pan potem zrobił? — zapytałem.

— To była pora deszczowa, panie Malone, i moje zapasy już się kończyły. Zbadałem część urwiska, ale nie zdołałem się wdrapać na górę. Samotna skała, na której ujrzałem i zastrzeliłem pterodaktyla, była bardziej dostępna. Jestem po trosze alpinistą, dotarłem więc na pół drogi do szczytu. Stąd mogłem jako tako obejrzeć wyżynę. To potężny szmat ziemi. Na zachód i na wschód jak okiem sięgnąć rozpościera się na skałach olbrzymia zalesiona przestrzeń. Pod nimi bagnista, malaryczna dżungla, pełna węży i owadów, broni dostępu do tej niezwykłej krainy.

— Czy widział pan jeszcze jakieś ślady życia?

— Nie. Nie widziałem. Ale obozując tam przez tydzień słyszeliśmy dziwne dźwięki dolatujące z góry.

— A ten potwór, którego narysował Amerykanin?... Jak pan to sobie tłumaczy?

— Należy przypuszczać, że Amerykanin znalazł jakąś drogę na wyżynę i tam go widział, Stąd wniosek, że taka droga istnieje. Musi też być bardzo trudna, skoro zwierzęta nie zeszły na dół i nie opanowały okolicy. Chyba jasne, co?

— Ale skąd tam się wzięły?

— To łatwo wytłumaczyć. Istnieje tylko jedna możliwość. Ameryka Południowa, jak pan pewno słyszał, jest granitowej formacji. Przed wieloma wiekami musiał w tamtej okolicy nastąpić silny i niespodziewany wstrząs tektoniczny. Pozwolę sobie zauważyć, że skały, o których mowa, są bazaltowe, a więc plutonicznego pochodzenia. Pewien obszar, może tak wielki jak hrabstwo Sussex, ze wszystkim, co na nim żyło, został jak taca wyniesiony w górę i odcięty od reszty świata prostym urwiskiem, tak twardym, że nie poddało się działaniu erozji. Cóż z tego wynikło? Zawieszenie ziemskich praw natury. Najrozmaitsze przyczyny, które tu kształtują walkę o byt, tam albo nie istniały, albo uległy zmianie. W owym świecie przetrwały istoty, które w innym zginęły. Niech pan zauważy, że pterodaktyl i stegozaur pochodzą z okresu jurajskiego, bardzo nam odległego. Dziwny wypadek, o którym wspominałem, pozostawił je przy życiu.

— To bardzo przekonujące! Wystarczy przedstawić pański pogląd uczonym.

— Tak też w prostocie ducha sądziłem — gorzko zauważył profesor. — Ale muszę przyznać się do omyłki. Na każdym kroku spotykało mnie niedowiarstwo zrodzone częściowo z głupoty, częściowo — z zawiści. Nie potrafię giąć karku przed ludźmi, mój panie, ani przekonywać ich o prawdzie mych słów. Po pierwszym rozczarowaniu duma nie pozwoliła mi powoływać się na niezbite dowody, które przecież posiadam. Zbrzydła mi ta cała sprawa i odechciało mi się o niej mówić. A kiedy osoby pańskiego zawodu, szukając sensacji dla tłumów, zakłócały mi spokój, nie umiałem się opanować. Z natury jestem impetykiem i gdy mnie ktoś sprowokuje, wybucham. Boję się, że pan się o tym przekonał na własnej skórze.

Potałem podbite oko i siedziałem spokojnie.

— Żona nieraz prawiała mi kazanie na ten temat, ale myślę, że każdy ambitny człowiek postąpiłby tak samo. Dziś wieczór postaram się jednak zachować zimną krew? wola musi wziąć górę nad uczuciem. Zapraszani pana na tę próbę. — Przy tych słowach podał mi jakąś kartkę.

Dziś wieczór, o ósmej trzydzięci, w Instytucie Zoologii, p. Percival Waldron, znany przyrodnik, wygłosi odczyt pt. „Dzieje stuleci” — przeczytałem.

— Mam zasiąść w prezydium i w imienia zebranych podziękować prelegentowi — powiedział profesor. — Postanowiłem przy tej okazji wtrącić jak najtaktowniej parę uwag, by rozbudzić zainteresowanie słuchaczy i wywołać gorętszą dyskusję. Rozumie pan, nic zadrażniającego, tylko wzmianka, że należy rzec? potraktować głębiej. Będę trzymał się w ryzach i zobaczę, czy opanowaniem i spokojem nie uda mi się osiągnąć pomyślnych rezultatów.

— A ja mogę przyjść? — zapytałem żywo.

— Oczywiście — odparł szczerze. Potrafił się zdobyć na niekłamaną serdeczność, której równie trudno było się oprzeć jak jego gwałtowności. Uśmiechał się czarująco, a wtedy jego policzki przypominały dwa czerwone jabłka między na pół przymkniętymi oczami i wielką,

czarną brodą. — Niech pan przyjdzie koniecznie. Będę się lepiej czuł wiedząc, że w tym wielkim tłumie mam sojusznika, choćby nawet całkowitego nieuka. A sądzę, że powinny ściągnąć tłumy, bo Waldron, choć zupełny szarlatan, ma wielu zwolenników. No, panie Malone, poświęcę panu więcej czasu, niż zamierzałem. Jednostka nie ma prawa monopolizować tego, co należy do ogółu. Z radością ujrzę pana dziś wieczorem. A tymczasem niech, pan pamięta, że ani jedno słowo z naszej rozmowy nie może dostać się do wiadomości publicznej.

— Ale McArdle... mój redaktor, pan wie... będzie mnie pytał, czego się dowiedziałem.

— Niech mu pan powie, co się panu żywnie podoba. Niech mu pan też powie, że jeśli mi jeszcze kogo naśle, przyjdę do niego ze szpicrutą. Obliguję pana, żeby nic z tego, co mówiliśmy, nie ukazało się drukiem. No tak. A więc w Instytucie Zoologii o ósmej trzydzieści.

Skinął mi ręką, a ja po raz ostatni spojrzałem na jego rumiane policzki, czarną, kędzierzawą brodę i zuchwałe oczy.

ROZDZIAŁ V

TO JESZCZE PYTANIE

Wstrząs fizyczny po pierwszej i duchowy po drugiej części wizyty u profesora Challengera był tak silny, że gdy znów znalazłem się na ulicy, czułem się zupełnie wytrącony z mej dziennikarskiej równowagi. Jedna jedyna myśl świdrowała w mojej obolałej głowie: ten człowiek mówił prawdą, prawdę, która będzie miała niestychane konsekwencje i która mogłaby być cudownym tematem do artykułu w „Gazecie”, gdyby mi zezwolił z niej skorzystać. Skoczyłem do taksówki i kazałem się zawieźć do redakcji. McArdle jak zawsze trwał na posterunku.

— No! — zawołał niecierpliwie. — Jakże się udało? Wygląda pan, jakby pan wracał z bitwy. Napadł pana?

— Poróżniliśmy się trochę na samym początku

— Co za człowiek!... I czego pan dokonał?

— Potem, kiedy ochłonał, ucieliśmy sobie pogawędkę. Ale nic od niego nie wyciągnąłem... nic dla prasy.

— Nie zdaje mi się. Oko ma pan podbite, a z tego można już coś zrobić. Dość tego terroru. Musimy go nauczyć rozumu. Na jutro przygotuję wzmiankę która rozpęta burzę. Niech mi pan tylko da materiał, a raz na zawsze usadzę gościa. Profesor Munchhausen... dobry tytuł, co? John Mandeville zmartwychwstały... Cagliostro ... historyczni oszuści i awanturnicy. Zdemaskuję jego cygaństwa.

— Nie chciałym tego, proszę pana. — Czemu?

— Bo on nie jest oszustem.

— Jak? — huknął McArdle. — Pan naprawdę uwierzył w te bajki o mamutach, mastodontach i węzach morskich?!

— Nie znam się na tym i zdaje mi się, że chodzi mu o co innego. Ale moim zdaniem chowa w zanadrzu jakąś rewelację.

— Człowieku! Napisz pan o tym!

— Chciałbym, ale zastrzegł sobie tajemnicę. — i w krótkich słowach opowiedziałem, co mi mówił profesor. — Oto jak się sprawa przedstawia — zakończyłem.

McArdle patrzył na mnie z głęboką nieufnością.

— Panie Malone — odezwał się w końcu. — Jeśli chodzi o ten odczyt dziś wieczór, to nie może on być tajemnicą. Chyba żadna gazeta nie wyśle nań reportera, bo o Waldronie pisano już setki razy, a nikt nie wie, że Challenger zabierze głos. Przy odrobinie szczęścia możemy mieć szlagier. Musi pan tam pójść i napisać piękne sprawozdanie. Aż do północy rezerwuję miejsce.

Ten dzień spędziłem pracowicie. Wcześniej zjadłem obiad w „Klubie Dzikich” w towarzystwie Tarpa, któremu opowiedziałem coś niecoś o rannych przeżyciach. Słuchał ze sceptycznym uśmiechem na szczupłej twarzy, a gdy się dowiedział, że profesor mnie przekonał, nie mógł pohamować wybuchu wesołości.

— Mój drogi, takie rzeczy w życiu się nie zdarzają. Człowiek robi nadzwyczajne odkrycie i gubi wszystkie dowody! To temat dla pisarza. Challenger ma tyleż fantastycznych pomysłów w głowie, co iluzjonista królików w cylindrze. Wszystko to bujdy!

— No, a amerykański poeta? — Nie egzystował.

— Widziałem jego szkicowali.

— Szkicownik Challengeera.

— Myśli pan, że to on narysował to zwierzę?

— Któż by inny?

— Dobrze, a zdjęcia?

— Nic na nich nie ma. Sam pan przyznaje, że widział pan tylko ptaka.

— Pterodaktyla.

— To on tak twierdzi. Wmówił panu tego pterodaktyla.

— A kości?

— Pierwsza z gulaszu. Druga — podrobiona. Gdy się ktoś zna na rzeczy i ma dość sprytu, może równie łatwo spreparować kości jak fotografie.

Począłem się wahać. Może mimo wszystko byłem zbyt łatwowierny. Aż nagle wspaniała myśl przysyła mi do głowy.

— Nie poszedłby pan ze mną na odczyt? — zapytałem.

Tarp zamyślił się.

— Ten genialny Challenger nie jest popularny — powiedział. — Kupa ludzi ma go na zębie. Powiedziałbym, że jest najbardziej nienawidzonym człowiekiem w Londynie. Jeśli studenci medycyny się zwiedzą, będzie ładna chryja. Nie chciałbym się pchać w burdę.

— Mógłby pan przynajmniej wystuchać, co ma na swoją obronę.

— Może to i racja. Dobrze. Pójdę.

Na miejscu ujrzeliśmy większe tłumy, niż się spodziewałem. Z powozów wysiadali jeden za drugim siwobrodzi profesorowie, a nieprzerwany strumień śmiertelników napływał pieszko i tłoczył się pod sklepieniem wejściem, co wróżyło zebraniu charakter naukowy i popularny zarazem. Istotnie, wkrótce przekonaliśmy się, że na sali panuje nastrój młodzieńczej, a nawet dziecięcej wesołości, tak na galerii, jak i w tylnych rzędach foteli. Obejrzawszy się zobaczyłem całe szeregi twarzy, tak typowych dla studentów medycyny. Najwidoczniej napłynęła tu młodzież ze wszystkich wielkich szpitali Londynu. Publiczność zachowywała się wesoło, choć nieco złośliwie. Z zapatem, który stanowił dziwny wstęp do naukowego zebrania, śpiewano chórem urywki popularnych piosenek. Padały nawet uszczypliwe żarciki zapowiadające wesoły wieczór dla jednych, ale przykry dla tych, którzy byli ich przedmiotem.

Na przykład gdy na podium wszedł doktor Meldomm w swym dobrze znanym szapoklaku, poczęto tak wrzeszczeć: „Skąd pan wziął ten komin?”, że co prędzej zdjął go z głowy i wstydliwie ukrył pod krzesłem. Kiedy cierpiący na podagrę profesor Wadley dokuśtykał do swego miejsca, ze wszystkich kątów sali sypnęły się przesadnie życzliwe pytania, jak się ma jego chory palec, co wprawiło profesora w wyraźne zakłopotanie. Lecz największy rwetes zerwał się wtedy, kiedy mój nowy znajomy, profesor Challenger, zaczął się przepychać ku swemu miejscu na końcu pierwszego rzędu na podium. Ledwie jego czarna broda wynurzyła się zza rogu, podniosły się takie krzyki, że przyznałem w duchu rację Tarpowi: musiano się dowiedzieć, że Challenger przyjdzie, i zebrano się tak licznie nie tyle dla odczytu, co w nadziei, iż zabierze on głos w dyskusji.

W pierwszych rzędach wytworniejszej publiczności powitano ten wybuch aprobującym śmiechem. Wrzask wywołany zjawieniem się Challengeera przypominał poryk dzikich zwierząt, które z daleka już słyszą kroki dozorca niosącego pożywienie. Może brzmiała w tym wrzasku zaczepna nuta, ale mnie uderzył on nie tylko jako zwykły wybryk, ale również jako szumne powitanie kogoś, kto w gruncie rzeczy nie budzi pogardy czy niechęci, lecz sympatię i ciekawość. Challenger odpowiedział znużonym, wyrozumiałym uśmiechem, jak dorosły człowiek odpowiada na warczenie sfory szczeniaków. Z powagą siadł na miejsce, wypiął pierś, pieszczotliwie pogłaskał się po brodzie i spod zmrużonych powiek dumnie spojrzął na tłum przed sobą. Krzyki nie zdążyły jeszcze ścichnąć, gdy profesor Ronald Murray, przewodniczący, i pan Waldron, prelegent, wystąpili naprzód i zebranie się rozpoczęło.

Profesor Murray nie weźmie roi chyba za złe, gdy powiem, że jako mówca ma wadę wspólną większości Anglików; wcale go nie słychać. Doprawdy, dziwną tajemnicą naszego wieku jest, że ludzie, którzy mają coś do powiedzenia, nie chcą dołożyć starań, by ich słyszano. Postępują jak ktoś, kto chciałby napętnić zbiornik cennym płynem ze strumienia i posługiwał się zatkaną rurą, którą bardzo łatwo przepchać. Profesor Murray skierował parę głębokich uwag do swego białego krawata i do karafki z wodą na stole, po czym porozumiewawczo mrugnął okiem do srebrnego i wśród gromkiego szmeru i hucznych braw wstał z kolei pan Waldron, słynny i lubiany prelegent. Surowy z wyglądu, szczupły, o szorstkim głose, energicznych ruchach, miał on wielką umiejętność przyswajania sobie cudzych idei i przekazywania ich innym w sposób zrozumiały i nawet zajmujący. Umiął przy

tym przedstawić z humorem nawet najbardziej zawile zagadnienia, tak że zrównanie dnia z nocą czy rozwój kręgowców nabierały w jego ustach komizmu.. Teraz szeroko rozwinął przed nami naukowy pogląd na powstanie ziemi, a mówił jasno i nawet obraz owo. Opowiadał o olbrzymiej kuli, potężnej masie rozżarzonych gazów pędzącej w przestworzach. Potem odmalował proces jej tężenia, stygnięcia i marszczenia się w łańcuchy górskie; przechodzenie pary w wodę i powolne powstawanie sceny, na której miał odegrać się niepojęty dramat życia. O początkach życia tylko niejasno napomknął. Uważał za wątpliwe, aby zarodki mogły przetrzymać początkową wysoką temperaturę ziemi. A więc musiały zjawić się później. Czy powstały z ochłodzonych nieorganicznych elementów naszego globu? Bardzo możliwe. A może spadły z jakimś meteorem? Trudno w to uwierzyć. Co do tego nawet najwybitniejsi uczeni nie potrafili wydać decydującego sądu. Nie mogliśmy albo przynajmniej nie udało nam się dotąd stworzyć w laboratoriach życia z nieorganicznych składników. Chemia wciąż jeszcze nie umie przetrzymać mostu nad przepaścią między życiem a śmiercią. Istnieje jednakże wyższa i subtelniejsza chemia, potężna chemia przyrody, która działając przez długie okresy mogła osiągnąć rezultaty dla nas niedostępne. Na tym musimy poprzestać.

Teraz prelegent przystąpił do opisu długiego łańcucha zwierząt, zaczynającego się od mięczaków i pierwszych wątłych zwierzeń morskich i ogniwa za ogniwem, poprzez gady i ryby, doszedł wreszcie do dydelfa, zwierzęcia żyworodnego, bezpośredniego przodka wszystkich ssaków, a więc zapewne i każdego z tu obecnych. (— Nie, nie! — zawołał jakiś student-niedowiarek w tylnych rzędach). — Jeżeli ten młodzieniec w czerwonym krawacie, który krzyknął „nie, nie”, przypuszcza, iż wyklął się z jaja, proszę, niech zaczeka na mnie po odczycie, bo rad bym zobaczyć takiego ptaszka. (Śmiechy). Dziwnie byłoby sądzić, że w tym długim procesie chodziło tylko o stworzenie owego młodzieńca w czerwonym krawacie. Czyż więc ten proces się zatrzymał? Czy mamy wspomnianego młodzieńca uważać za okaz najdoskonalszy, za ukoronowanie całego rozwoju? Nie obrażę chyba uczuć dżentelmena w czerwonym krawacie stwierdzeniem, że mimo jego niewątpliwych przymiotów osobistych wielkie procesy rozwoju świata nie byłyby w pełni usprawiedliwione, gdyby on miał być ich jedynym celem. Ewolucja się nie skończyła, trwa dalej, a w zanadrzu chowa większe jeszcze osiągnięcia.

Rozprawiwszy się w ten sposób wśród ogólnego śmiechu ze swym przeciwnikiem, prelegent wrócił do obrazów przeszłości, do wysychania mórz, wyłaniania się łąw, do leniwego, niemrawego życia na ich brzegach, do przepelnionych lagun i tendencji morskich stworzeń do chronienia się w przybrzeżnym mule, do obfitości czekającego je tam pożywienia i w konsekwencji do ich niestęchanego wprost rozwoju. — Stąd, panowie i panie — dorzucił — to okropne plemię jaszczurów, które nas straszy z naukowych tablic, lecz które na szczęście wymarło wiele lat przed pojawieniem się człowieka na naszym globie...

— To jeszcze pytanie! — zahuczał czyjś głos na podium.

Waldron był człowiekiem opanowanym, ale zjadliwym, czego dowiódł na młodzieńcu w czerwonym krawacie. Niebezpiecznie więc było mu przerywać. Jednakże ten okrzyk wydał mu się tak absurdalny, że stracił kontenans. Wyglądał jak zwolennik Szekspira, który stanął oko w oko z zagorzałym Baconistą, albo jak astronom, któremu powiedziano, że ziemia jest

łaska. Zamilkł na chwilę, a potem, podnosząc głos, wolno powtórzył: — Które wymarło przed
zjawieniem się człowieka.

— To jeszcze pytanie! — znów zahuczał ten sam głos.

Zbity z tropu Waldron powiódł zdumionym okiem po profesorach na podium. Wreszcie
wzrok jego spoczął na Challengerze, który wygodnie rozparty siedział w fotelu, z oczami
zamkniętymi i twarzą rozradowaną, jakby uśmiechał się we śnie.

— Aha! — powiedział na ten widok Waldron i wzruszył ramionami. — To mój przyjaciel,
profesor Challenger. — Wśród ogólnego śmiechu podjął temat, jakby tą uwagą wyjaśnił
wszystko.

Ale na tym się nie skończyło. Każda wycieczka prelegenta w zamierzczłą przeszłość wiodła
do stwierdzenia, że życie prehistoryczne dawno wymarło, na co Challenger reagował znanym
już nam głuchym pomrukiem. Publiczność zaś zawczasu witała te wystąpienia głośnymi
wybuchami radości. Tłum studentów wziął żywy udział w zabawie i za każdym razem, gdy
Challenger otwierał usta, setki gardzieli ryczały: „To jeszcze pytanie!”. Niemniej liczne były
wołania: „Cisza!” i „Wstyd!”. Waldron, choć wytrawny mówca i doświadczony człowiek,
mieszał się coraz bardziej. Zacinął się, plątał, powtarzał, gubił wątek w długich, zdaniach, aż
wreszcie gniewnie zwrócił się do sprawcy swych niepowodzeń

— To już przechodzi wszelkie granice! — krzyknął patrząc na podium. — Profesorze
Challenger, proszę pana, by mi pan nie przerywaj w tak niemądry i niewłaściwy sposób.

Na widok skłóconych bogów Olimpu studenci oszaleli z radości. Wrzask doszedł do zenitu
A Challenger, masywny i krzepki, wolno wstał z fotela.

— Ja zaś z kolei proszę pana, panie Waldron — powiedział — o poniechanie uwag
niezgodnych z naukowymi faktami.

Te słowa wywołały burzę: „Wstyd! wstyd!”, „Pozwólcie mu mówić!”, „Wyrzucić go!”, „Za
drzwi Za nim!”, „Równe prawa dla każdego!” — słychać było w ogólnym tumultie wesole lub
oburzone głosy.

Przewodniczący zerwał się na nogi, klaskał w dłonie i w podnieceniu beczał jak baran —
Profesor Challenger... osobiste... poglądy... na potem — Tyle tylko udało mi się wyłapać z
mglistego mamrotania.

Challenger skłonił się, uśmiechnął, przesunął dłonią po brodzie i usiadł. Waldron, czerwony
jak burak i bardzo wojowniczy, powrócił do przerwanej prelekcji. Przy każdym nowym
stwierdzeniu rzucał jadowite spojrzenie na swego przeciwnika który zdawał się drzemać z
szerokim, szczęśliwym uśmiechem na ustach.

Wreszcie odczyt się skończył. Sądzę że prędzej niż prelegent zamierzał, bo
podsumowanie wypadło jakoś chaotycznie i nagle. Wywody urwały się raptownie, a słuchacz
niespokojnie jeszcze na coś czekali. Waldron usiadł, przewodniczący coś zaszczebotał, a
profesor Challenger wstał na front estrady. Dla mej gazety zapisałem dokładnie co mówił:

— Panowie i panie — zaczął wśród stłumionych okrzyków z tyłu sali. — Przepraszam, panie,
panowie i dzieci... proszę mi wybaczyć, że przez roztargnienie zapomniałem o większości
słuchaczy (hałasy, w czasie których profesor stał z jedną ręką uniesioną w górę, kiwając
pobłaźliwie wielką głową, jakby błogostawił tłumowi). Przypadło mi w udziale podziękować

panu Waldronowi za ten nadzwyczaj obrazowy i pełen fantazji odczyt. Nie we wszystkim zgadzam się z prelegentem, uważałem więc za swój obowiązek dać temu wyraz, niemniej jednak pan Waldron dobrze wywiązał się z zadania, przedstawiając w sposób prosty i ciekawy to, co uważa za historię naszego globu. Popularnych wykładów słucha się łatwo jednakże pan Waldron (tu z uśmiechem spojrzał spod zmrużonych powiek na mówcę) zechce mi wybaczyć, gdy powiem, że z konieczności są one i powierzchowne, i nieściśle, bo prelegent musi się liczyć z nieuctwem słuchaczy (ironiczne okrzyki). Z natury rzeczy popularyzatorzy wiedzy są pasożytami (gniewny gest sprzeciwu ze strony Waldrona), bo dla sławy czy pieniędzy wykorzystują prace swych ubogich i nieznanymi braci. Najmniejsze odkrycie dokonane w laboratorium, najskromniejsza cegielka wmurowana w świątynię nauki, ma o wiele większą wartość od drugorzędного odczytu wygłoszonego dla zabicia wolnej godziny i nie pozostawiającego po sobie trwałego śladu. Mówię o tym nie dlatego, bym chciał pomniejszyć zasługę właśnie pana Waldrona, lecz po to, by wykazać państwu różnicę między ministrantem a najwyższym kapłanem.

(W tym miejscu Waldron szepnął parę słów przewodniczącemu, który uniósł się z fotela i coś poważnie powiedział do karafki).

Ale dość na ten temat (głośne i przeciągłe okrzyki). Przejdźmy do ważniejszych rzeczy. O cóż mi chodziło, kiedy ja jako badacz pozwoliłem sobie oponować prelegentowi? O dalsze istnienie niektórych zwierząt na naszej planecie. Powiem nie jak amator esy nawet popularyzator wiedzy, lecz jak uczony, którego sumienie zmusza do ściślejszego przedstawiania faktów, że twierdzenie pana Waldrona, jakoby niektóre gatunki prehistoryczne już nie żyły, gdyż on ich nigdy nie widział, jest fałszywe. Są one, jak to słusznie określił, naszymi przodkami, ale używając tegoż terminu dodam — przodkami współczesnymi — i można je ujrzeć w całej ich odrażającej i okropnej postaci. Trzeba tylko mieć dość energii i odwagi, by się wdrzeć do ich legowiska. Zwierzęta należące jakoby do okresu jurajskiego, potwory, które łatwo poradzą sobie z naszymi największymi, najbardziej dzikimi ssakami, wciąż egzystują. (Okrzyki: „Bujdy!”, „Dowód, dowód!”, „Skąd pan wie?!”, „To jeszcze pytanie!”). Zapytujecie państwa, skąd wiem? Wiem, bo byłem w ich kryjówe. Wiem, bo widziałem niektóre (brawa, hałasy i okrzyk: „Kłamca!”). Ja kłamca?! (ogólna wrzawa — potwierdzenie zarzutu). Zdaje się, że ktoś zarzucił mi 'kłamstwo? Może la osoba zechce wstać, bym ją poznał? (Głos: „Oto ona!” i w grupie studentów uniesiono w górę bezbronnego, rozpaczliwie szamoczącego się młokosa w okularach). To pan odważył się nazwać mnie kłamcą? — Nie, nie — wykrzyknął biedak i zapadł się jak pod ziemię. — Jeśli ktoś na sali nie wierzy w moją prawdomówność, z chęcią pogadam sobie z nim po zebraniu. („Kłamca!”). Kto to powiedział? (Znów nad, głowami studentów wynurzył się ten sam biedaczyna broniący się rozpaczliwie). Zejdę do panów i... (Chór głosów: „Pójdź, pójdź, dziewczę lube...” na parę chwil zakłócił bieg zebrania. Przewodniczący zerwał się i wymachiwał rozpaczliwie rękami jak kapelmistrz dyrygujący orkiestrą. Profesor z rozgorączkowaną twarzą, rozdętymi nozdrzami i zmierzwioną brodą przypominał prawdziwego Wikinga). Każde doniosłe odkrycie witano taką samą niewiarą... jawną oznaką głupoty pokolenia. Brak wam intuicji i wyobraźni, która by wam pozwoliła ocenić jego wielkość. Umiecie tylko obrzucać błotem ludzi narażających życie dla postępu wiedzy.

Prześladujecie proroków! Galileusz, Darwin i ja... (nie milknąca wrzawa).

Piszę to wszystko z mych pośpiesznych. notatek zrobionych, na miejscu. Dają one tylko słabe wyobrażenie o zamieszaniu, jakie po tym zajściu powstało. Doszło jednak do tego, że niektóre panie wolały co prędzej się wymknąć. Poważni, godni szacunku panowie zarazili się ogólnym nastrojem i zachowywali jak studenci. Widziałem siwobrodych starców wygrażających, pięściami upartemu Challengerowi. Na sali wrzało jak w ulu. Profesor postąpił krok naprzód i uniósł obie ręce. Z jego męskiej postaci biło coś tak rozkazującego, władczego i urzekającego, że gwar i hałas zaczęły powoli cichnąć. Czuto się, że profesor powie coś niezmiernie ważnego. Zebrani umilkli w oczekiwaniu.

— Nie będę państwa zatrzymywał — powiedział Challenger. — Nie warto. Prawda pozostanie prawdą. A krzyki zwariowanych młodzieńców — i niestety muszę dodać, równie zwariowanych dorosłych — na nią nie wpłyną. Twierdzę, że odkryłem nową gałąź wiedzy. Wy to kwestionujecie. (Wrzawa). Przeprowadźmy dowód. Czy zgadzacie się państwo wydelegować jedną albo parę osób, aby w waszym imieniu sprawdziły moje słowa?

Z widowni podniósł się pan Summerlee, zasłużony profesor anatomii porównawczej, mężczyzna wysoki, chudy, zgryźliwy, o twarzy ascetycznie suchej.

Zapytał profesora Challenge'a, czy jego słowa wiążą się z odbytą przed dwoma laty podróżą w dorzecze Amazonki.

Profesor przytaknął.

Summerlee chciał też wiedzieć, jak to się stało, że profesor Challenger mógł na tych terenach dokonać odkryć, które uszły uwagi Wallace'a, Batesa i innych słynnych badaczy.

Profesor Challenger odpowiedział, że pan Summerlee najwidoczniej nie odróżnia Amazonki od Tamizy i że Amazonka w rzeczywistości to rzeka trochę większa. Może pana Summerlee zainteresuje też fakt, że dorzecza jej i sąsiadującego z nią Orinoko obejmują teren około pięćdziesięciu tysięcy mil. Na tej rozległej przestrzeni jeden człowiek mógł odkryć to, co uszło uwagi drugiego.

Pan Summerlee odparł ze złośliwym uśmiechem, że całkowicie zdaje sobie sprawę z różnicy między Amazonką a Tamizą, polegającej przede wszystkim na tym, iż każde opowiadanie o Tamizie można sprawdzić, o Amazonce nie. Bardzo będzie zobowiązany, jeśli profesor Challenger zechce podać szerokość i długość geograficzną tego skrawka ziemi gdzie żyją zwierzęta prehistoryczne.

Profesor Challenger odrzekł, że tę wiadomość ze zrozumiałych względów rezerwuje dla siebie, ale gotów jest, z zachowaniem odpowiedniej ostrożności, wyjawić ją komitetowi wyłonionemu przez zebranych. Czy pan Summerlee zgadza się uczestniczyć w tym komitecie i osobiście przekonać się o prawdzie tego, co było mówione?

Pan Summerlee: — Tak, będę uczestniczył (Głośne okrzyki).

Profesor Challenger: — A więc oświadczam panom, że dam im wskazówki, które umożliwią odnalezienie owego miejsca. Skoro jednak pan Summerlee wątpi w moją prawdomówność, wolno i mnie nie ufać jemu. Dlatego chciałbym, aby ktoś jeszcze kontrolował i jego. Wyprawa będzie trudna i niebezpieczna, dobrze więc byłoby, gdyby panu Summerlee towarzyszył ktoś młodszy. Zapytuję zatem czy znajdują się jeszcze jacyś ochotnicy?

Była to jedna z przełomowych chwil, jakie się zdarzają w życiu człowieka. Czy przestępując próg tej sali mogłem przypuszczać, że rzucę się w awanturę, o której nie śniłem nawet w najśmielszych marzeniach? Gladys... czy nie o tym myślała? Gdyby tu była, kazałaby mi się zgłosić. Zerwałem się na nogi, mówiłem coś beztładnie. Tarp ciągnął mnie za ubranie; słyszałem, jak szeptał: „Siadaj pan, nie rób pan z siebie publicznie ośła”. Zauważyłem, że o parę rzędów bliżej podium jednocześnie ze mną wstał wysoki, szczupły, ciemnorudy mężczyzna. Obejrzał się i zmierzył mnie twardym, gniewnym spojrzeniem, ale nie ustąpiłem.

— Zgłaszam się na ochotnika, panie przewodniczący — powtarzałem bez ustanku.

— Nazwisko, podać nazwisko! — ryczał tłum.

— Nazywam się Edward Dunn Malone. Jestem reporterem „Gazety Codziennej”. Przysięgam zachować całkowitą bezstronność.

— A jak pan się nazywa? — zwrócił się przewodniczący do mego rywala.

— Lord John Roxton. Byłem już nad Amazonką i znam teren. Jestem doskonale przygotowany do takiej wyprawy.

— Lord John Roxton cieszy się zasłużoną, światową już sławą podróżnika i sportowca — oświadczył przewodniczący. — Ale dobrze byłoby, gdyby w takiej wyprawie wziął udział i przedstawiciel prasy.

— A więc wnoszę — odezwał się Challenger aby wybrać obu tych panów na towarzyszy profesora Summerlee w jego wyprawie, która dowiedzie śłuszności mych twierdzeń.

Tak więc rozstrzygnął się nasz los wśród wesółych okrzyków i wrzawy. Za chwilę potok ludzki wolno unosił mnie ku drzwiom. W głowie mi nią mąciło na myśl o czekającej mnie wielkiej przygodzie. Po wyjściu z sali usłyszałem, gdzieś w dole ulicy głośny śmiech studentów i ujrzałem czyjeś ramię i wielki parasol unoszący się i opadający w samym środku tłumni. Potem przy pomrukach dezaprobaty i hałaśliwych wiwatach, pojazd profesora Challengera płynnie oderwał się od krawężnika, a ja zdałem sobie sprawę, że idą w srebrnym świetle latam Regent Street, zajęty myślą o Gladys i czekającej mnie nagrodzie.

Nagle ktoś dotknął mego ramienia. Odwróciłem się i ujrzałem owego wysokiego, szczupłego mężczyznę, mego przyszłego towarzysza tej dziwnej wyprawy. Przeszył mnie władcym, ironicznym spojrzeniem.

— Pan Malone, prawda? — zapytał. — Wyruszamy razem, tak? Mieszkam niedaleko, na Albany. Może zgodzi się pan poświęcić mi pół godziny na rozmowę? Mam parę spraw, które chciałbym z panem omówić.

ROZDZIAŁ VI

BICZ BOŻY

Skreśliśmy w Vigo Street i razem przeszliśmy ciemnymi podsieniami słynnych arystokratycznych siedzib. Mój nowy znajomy otworzył jakieś drzwi na końcu ponurego korytarza i przekreślił kontakt. Stłumione światło licznych lampek zalało wielki pokój czerwonym blaskiem. Stanąwszy w progu, ciekawie rozejrzałem się wkoło. Pokój

urządzony był wygodnie i elegancko, ale i po męsku. Luksus i zbytek nie pozbawiony gustu szedł w parze z iście kawalerską niedbałością i nieporządkiem. Podłogę pokrywały wspaniałe skóry i mieniące się kolorami tęczy oryginalne dywany ze wschodnich bazarów. Na ścianach gęsto wisały obrazy i rotograwiury, w których nawet moje niedoświadczone oko rozpoznało dzieła rzadkie i wielkiej wartości. Rysunki bokserów, baletnic i koni wyścigowych sąsiadowały ze zmysłowymi płótnami Fragonarda, wojowniczymi Girardeta i nastrojowymi Turnera. Ale wśród tych różnorodnych ozdób dostrzegłem tu i tam trofea, które natychmiast przypomiwały mi, że lord John Roxton był atletą i wszechstronnym sportsmenem. Ciemnoniebieskie wiostło, skrzyżowane nad kominkiem z jasnowiśniowym, przywodziło na myśl starego zawodnika z oxfordzkiej osady i wybitnego pływaka, a szpady i bokserskie rękawice — szermierza i boksera, który zdobywał nimi mistrzostwa. Wokół ścian, niby boazeria, biegł rząd wspaniałych myśliwskich trofeów: głowy grubego zwierza ze wszystkich zakątków świata. Powyżej królował rzadki okaz: łeb białego nosorożca z Lado Anclave, z pogardliwie opuszczoną dolną wargą.

Pośrodku przepysznego czerwonego dywanu stał czarno złoty stoliczek w stylu Ludwika XV, cudny antyk, bluźnierczo zbezczeszczony śladami szklanek i dziurami po niedopałkach cygar. Dostrzegłem na nim srebrną tacę z przyborami do palenia i błyszczącą karafkę. Mój małomówny gospodarz wlał trochę wódki do dwóch wysokich szklanek i dolał wody ze stojącego obok syfonu. Potem wskazał mi fotel, postawił jedną ze szklanek obok i poczęstował mnie długim, gładkim hawańskim cygarem. Sam siadł naprzeciw i wbił we mnie badawcze spojrzenie swych dziwnych, błyszczących, śmiałych oczu, zimnych i jasnoniebieskich jak lodowiec.

Poprzez mgiełkę dymu przyglądałem się rysom znanym mi z wielu fotografii: orlemu nosowi, zapadłym, ściągłym policzkom, ciemnorudym włosom, przerzedzonym na czubku głowy, szpeciniastym męskim wąsom i małej, wyzywającej bródce na wydatnej szczęce. Miał w sobie coś z Napoleona III i don Kichota, a jednak czuło się w nim przede wszystkim typowego angielskiego ziemianina, energicznego, żywego, rozmiłowanego w ruchu, w psach i koniach. Cerę miał ogorzałą od słońca i wiatru. Krzaczaste nawisie brwi nadawały chłodnemu spojrzeniu niemal bezlitosny wyraz, a zmarszczone czoło potęgowało to wrażenie. Roxton, choć szczupły, był mocnej budowy. Dowiódł już nieraz, że mało kto w Anglii dorównałby mu wytrzymałością. Garbił się nieco i dlatego wydawał się niższy, chociaż miał ponad sześć stóp. Tak wyglądał słynny lord John Roxton, który siedział teraz naprzeciw mnie, gryzł cygaro i przyglądał mi się uważnie w kłopotliwym milczeniu.

— No tak — odezwał się wreszcie. — A więc postanowiliśmy i zrobiliśmy, mój młody paniczku (ten dziwny zwrot wypowiedział jednym tchem jakby to miało być jedno słowo „mójmłodypaniczku”). Puściliśmy się obaj na głęboką wodę. Idąc na zebranie pewnie pan nie miał pojęcia, czym to się skończy.

— Nie.

— I ja też nie. A teraz aż po uszy siedzimy w tym barszczu. Ledwie przed trzema tygodniami wróciłem z Ugandy. Upatrzyłem sobie przytulną siedzibę w Szkocji, podpisałem umowę, załatwiłem wszystko. Ładna historia, co? Pokrzyżowała panu plany?

— No... zgadza się po trochu z moim zawodem. Jestem dziennikarzem. Pracuję w

„Gazecie Codziennej”.

— Tak, mówił pan to już, zgłaszając swą kandydaturę. Ale, ale, mam małą robótkę dla pana, jeśli zechce mi pan pomóc.

— Z przyjemnością.

— Chce pan zaryzykować?

— Cóż to za ryzyko?

— Chodzi o Ballingera. To on jest tym ryzykiem. Słyszał pan o nim?

— Nigdy w życiu.

— Niemożliwe! Młody człowieku, gdzie pan się obracał? Jack Ballinger jest najlepszym dżokejem amatorem północnej Anglii. Dorównałbym mu w biegach płaskich, ale w skokach znacznie mnie przewyższa. Wszyscy dobrze wiedzą, że gdy nie trenuje, zagląda na potęgę do butelki — grubo ponad miarę, jak sam mówi. We wtorek wpadł w delirium i szaleje jak diabeł. Jego pokój znajduje się piętro wyżej. Lekarze twierdzą, że jeśli się go zmusi do jedzenia — nic mu nie będzie. Chłop leży w łóżku z rewolwerem na prześcieradle i przysięga, że każdemu, kto się doń zbliży, wpakuje sześć kul. Służba oczywiście się zląka. To twarda sztuka i wyśmienity strzelec, ale nie można pozwolić, by zwycięzca w Grand National umarł z głodu.

— Więc o co chodzi? — zapytałam.

— Myślę, że we dwóch obezwładnilibyśmy go nagłym atakiem. Pewnie drzemie i w najgorszym razie postrzeli tylko jednego z nas. Drugi da mu radę. Jeśli uda nam się omotać mu ręce kołdrą, zatelefonujemy po pogotowie i wpompują gościowi kolację, która go utrzyma przy życiu.

W mej codziennej, dość szarej egzystencji stanąłem nagle oko w oko z desperacką wprost awanturą. Nie uważam się za bardzo odważnego. Przy mej irlandzkiej wyobraźni każda rzecz niezwykła i nieznaną wydaje mi się straszniejsza, niż jest w istocie. Z drugiej strony wychowałem się w pogardzie dla tchórzostwa i w śmiertelnej obawie, by się z nim nie zdradzić. Mógłbym chyba skoczyć w przepaść jak ów Hun z historycznych czytanek, gdyby mnie posądzono, że brak mi do tego odwagi. Powodowałbym się ambicją, nie odwagą. Toteż choć trząsałem się wewnętrznie na myśl o walce z szaleńcem w pokoju nad nami, odpowiedziałem tonem tak niedbałym, na jaki mnie było stać, że gotów jestem pójść z lordem Roxtonem. Dalsze uwagi na temat czekającego nas niebezpieczeństwa tylko mnie rozzłościły.

— Szkoda czasu na gadanie — uciąłem — Chodźmy.

Wstaliśmy z miejsc. I nagle, chichocząc poufale, Roxton szturchnął mnie parę razy w pierś i pchnął z powrotem na fotel.

— W porządku, synku — powiedział. — Zdał pan.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

— Dziś rano sam sobie poradziłem z Jackiem Ballingerem. Przedziurawił mi brzeg szlafroka, tylko dlatego, że staremu drży ręka. Udało nam się wsadzić mu kaftan bezpieczeństwa i za tydzień będzie zdrow. Nie ma mi pan za złe tego żartu, prawda? Widzi

pan, między nami mówiąc, zapatruję się na tę wyprawę do Ameryki Południowej jak na wściekle poważną rzecz. Jeśli mam mieć w niej towarzysza, muszę na nim polegać. Wystawiłem więc pana na próbę i dobrze pan z niej wyszedł. Przecież wszystko spadnie na nasze barki, bo ten Summerlee od pierwszego dnia będzie potrzebował niańki. Ale, ale, czy przypadkiem nie jest pan tym samym Malone'em, któremu przepowiadają, że wejdzie do irlandzkiej drużyny rugby?

— Może jako gracz rezerwowi.

— Pańska twarz wydała mi się znajoma. No tak byłem przy tym, jak pan chwycił piłkę przed bramką w meczu z Richmond... to był najlepszy rzut w tym sezonie. Nie opuszczam żadnego meczu rugby bo to najbardziej męska gra na świecie. No, ale nie zaprosiłem pana na rozmowę o sporcie. Pomówmy o wyprawie. Na pierwszej stronie „Timesa” znajdziemy odjazdy statków. W najbliższą środę odchodzi pasażerski do Para. Jeśli panowie zdążycie, myślę, że moglibyśmy nim się zabrać. Ustalę to z profesorem. Co z pańskim ekwipunkiem?

— Moja gazeta mi to załatwi.

— Jak pan strzela?

— Jak każdy rezerwista.

— Mój Boże! Aż tak źle? Wy, młodzi, najmniej o tym myślicie. Jesteście jak pszczoły bez żądź strzegące wejścia do ula. Ładnie będziecie wyglądać, gdy któregoś pięknego dnia ktoś zechce wybrać miód. W Ameryce Południowej nie wolno panu będzie spuścić palca z cyngla, bo jeśli nasz przyjaciel nie jest wariatem czy łgarzem, ujrzymy ładne rzeczy. Jakiej strzelby pan używa?

Podszedł do dębowej szafy, a gdy ja otworzyłem, ujrzałem, rząd równoległych, błyszczących luf, jakby to były organowe piszczałki.

— Zobaczę, co mogę panu pożyczyć z mego arsenału — powiedział.

Sztuka po sztuce wyjmował piękne strzelby, otwierał i zamykał zamki z trzaskiem i szcękaniem, a zanim wstawił którąś na miejsce, poklepywał ją pieszczotliwie jak matka ukochane dziecko.

— To jest Bland 577 o dużej szybkości początkowej — objaśnił. — Z niej powaliłem tego olbrzyma. — Spojrzał! na łeb białego nosorożca. — Jeszcze tylko dziesięć jardów, a on byłby mnie włączył do swojej kolekcji.

W tej oto kuli cała jego szansa. — Otóż i słabych piękny zysk!

— Myślę, że pan zna poezje Gordona, piewcy koni, strzelb i ludzi rozkochanych w jednym i drugim. A tu też mamy piękną sztukę — 470 z lunetą, podwójnym wyrzutnikiem. Bije horyzontalnie na trzysta pięćdziesiąt jardów. Trzy lata temu służyła mi w Peru przeciw handlarzom niewolników. Powiem panu, że byłem dla nich prawdziwym biesem bożym, choć nie wydano o tym żadnej Niebieskiej Księgi, Mój młody paniczku, każdy z nas ma w życiu takie chwile, kiedy dla zgody z sumieniem musi się upomnieć o prawa bliźniego i o sprawiedliwość. Dlatego i ja na własną rękę wszcząłem wojnę. Sam ją wypowiedziałem, sam ją prowadziłem i sam zakończyłem. Każdy z tych karbów, to jeden zabity handlarz niewolników... piękny rzadek, co? A ten największy karb zrobiłem po zastrzeleniu Pedro Lopeza, ich króla. Położyłem go na zalewach rzeki Putumayo; ale oto coś, co panu będzie

najlepiej pasowało. — Wyjął śliczną srebrzysto-czarną broń. — Ma pięknie wypolerowane łożo, jest celna i mieści pięć ładunków w magazynku. Może jej pan zawierzyć życie. — Podał mi ją i zamknął szafę. — Co pan wie o profesorze Challengerze? — zapytał.

— Dziś widziałem go po raz pierwszy.

— Ja też. Zabawne: obaj mamy żeglować na ślepo pod zalakowanymi rozkazami nieznanego człowieka. Nadęty z niego ptaszek. Zdaje się, że bracia uczeni nie bardzo go kochają. Jakim cudem pan w to wlaź?

W krótkich słowach opowiedziałem o mojej rannej przygodzie, a on słuchał uważnie. Potem wyjął mapę Ameryki Południowej i rozłożył ją na stole.

— Wierzę w każde jego słowo — oznajmił poważnie. — A mogę coś o tym powiedzieć. Kocham Amerykę Południową. Obszar od Darien aż po Fuego to najbogatszy, największy i najdziwniejszy szmat ziemi na naszej planecie. Ludzie jeszcze go nie znają i nie wiedzą, czym się stać może. Zwiedziłem go od krańca do krańca. Dwie letnie pory spędziłem w tej części, o której wspomniałem panu mówiąc o wojnie z handlarzami niewolników. Tam słyszałem już podobne opowieści: jakieś podania indiańskie, za którymi bez wątpienia coś się kryje. Im więcej poznajemy ten kraj, paniczku, tym bardziej wszystko wydaje się możliwe... wszystko. Za wąskimi przesmykami wodnymi, po których poruszają się ludzie, leżą tajemnicze, niezbadane przestrzenie. Tu, w Mato Grosso — przesunął cygarem nad częścią mapy — lub w tym. kącie, gdzie zbiegają się granice trzech krajów, nic by mnie nie zadziwiło. Słusznie powiedział dziś wieczór ten profesor, że pięćdziesiąt tysięcy mil dróg wodnych przecina tam puszcę niemal tak wielką jak Europa. Pan i ja moglibyśmy być od siebie tak daleko jak Szkocja od Konstantynopola, a wciąż jeszcze błądzić po jednym brazylijskim lesie. W tym labiryncie człowiek zawadził o to, zahaczył o tamto i nic więcej. Rzeka przybiera czasem czterdzieści stóp ponad swój poziom, stąd połowa terenu to nieprzebyte trzęsawiska. Czemu w takim kraju nie miałyby się znaleźć rzeczy zadziwiających i nowych? I czemu to nie my mielibyśmy je odkryć? Poza tym — jego dziwna, szczupła twarz wypogodziła się w radosnym uśmiechu — na każdym kroku spotkamy się tu z niebezpieczeństwem. Jestem? jak stara golfowa piłka... od dawna zbito ze ranie białą polewą. Można dalej mnie tłuc i nie zostanie żadnego śladu. Niebezpieczeństwo, paniczku, to smak życia, tylko ono jest coś warte. Wszyscy staliśmy się trochę za wygodni, ospali i gnuśni. Dajcie mi wielkie, niezbadane pustynne przestrzenie, strzelbę w garść i jakiś cel warty zachodu! Próbowałem już wojny, wyścigów z przeszkodami, latałem samolotem, ale polowanie na bestie jakby z koszmarnych snów, to całkiem nowa sensacja. — Zachichotał wesóło.

Może zanadto rozpisalem się o moim nowym znajomym. Będzie mi jednak towarzyszył przez długi czas i dlatego pragnąłem pokazać go takim, jakim ujrzałem go po raz pierwszy, z jego dziwaczną postacią, ekscentrycznym sposobem wyrażania się i myślenia. Tylko umówione spotkanie w redakcji każało mi wreszcie pożegnać się z Roxtonem. Został, rozmarzony, uśmiechnięty na myśl o czekających nas przygodach, oliwiąc zamek swego sztucera. Z pewnością nie znalazłbym w całej Anglii człowieka tak opanowanego i męznego, z którym mógłbym dzielić przyszłe niebezpieczeństwa.

Tej nocy, choć zmęczony wrażeniami, do późna gadałem z panem McArdle. Uznał moje

opowiadanie za dość ważne, -by nazajutrz przedstawić je naczelnemu redaktorowi, sir George'owi Beaumontowi. Ustaliliśmy, że będę nadsyłał sprawozdania, w formie kolejnych listów do redaktora McArdle, który albo je ogłosi kolejno w „Gazecie”, albo zatrzyma w tece na później. Nie wiedzieliśmy bowiem, czego sobie życzy profesor Challenger i jakie warunki postawi dając nam wskazówki na drogę. Na telefoniczne zapytanie w tej sprawie, usłyszeliśmy tylko gwałtowny atak na prasę, zakończony jedyną konkretną uwagą: jeżeli zawiadomimy go, jakim statkiem odpływamy do Ameryki, udzieli nam przy odjeździe potrzebnych jego zdaniem informacji. Następnego telefonu odebrała jego żona, oznajmiając płacząco, że mąż szaleje już z wściekłości, i prosząc, byśmy go nie rozdrażniali jeszcze więcej. Trzecia próba zakończyła się niesamowitym trzaskiem w słuchawce, a centrala wyjaśniła, że telefon Challengeera został uszkodzony. Zaniechaliśmy więc dalszych wysiłków porozumienia się z profesorem.

A teraz, drodzy słuchacze, muszę zerwać bezpośredni kontakt z wami. Od tej chwili (jeśli w ogóle dojdzie was dalszy ciąg tego opowiadania) będziecie się dowiadywali o naszych losach jedynie z mojej gazety. W rękach jej redaktora pozostawiam opis wypadków, które doprowadziły nas do wzięcia udziału w najbardziej niezwykłej wyprawie w historii ludzkości. Jeśli więc nawet nie wrócę do Anglii, będziecie wiedzieć, jak się to wszystko stało. Piszę te ostatnie słowa w salonie statku «Francisca» i przez pilota odeślę je panu McArdle. Pozwólcie mi naszkicować jeszcze przed zamknięciem notatnika ostatni obraz kraju — taki, jaki uwożę ze sobą. Mamy wilgotny, mglisty ranek późnej wiosny. Pada drobny, zimny deszcz. Trzy postacie otulone w mokre, lśniące płaszcze zdyżają nabrzeżem w stronę trapu przerzuconego na wielki transatlantyk, na którym powiewa flaga odejścia. Przed nimi tragarz pcha wózek naładowany aż do wierzchu walizkami, tłumokami i strzelbami w futerałach. Profesor Summerlee, wysoki i posępny, idzie powłócząc nogami, z opuszczoną głową, jakby już optakiwał swój los. Lord Roxton stąpa rażno, a jego pociągła, energiczna twarz wyglądająca spod myśliwskiej czapki i ponad ciepłym szalikiem promienieje radością. Co do mnie, to rad jestem, że mam już za sobą dni gorączkowych przygotowań i Bolesne chwile rozstania i liczę, że widać to po moim zachowaniu. Nagłe, gdy już dochodzimy do statku, ktoś nas woła. To profesor Challenger, który obiecał, że nas odprowadzi. Biegnie zadyszany, czerwony jak piwonia i gniewny.

— Nie, dziękuję, nie wejdę na pokład — mówi. — Chcę panom powiedzieć tylko parę słów i mogę to doskonale zrobić tu, gdzie stoimy. Nie myślcie, panowie, że jestem wami wdzięczny za to, co robicie. Dla mnie jest to rzecz jak najbardziej obojętna i nie ma mowy, bym choć w najmniejszym stopniu czuł się wam zobowiązany. Prawda pozostanie prawdą i żadne wasze sprawozdania na nią nie wpłyną, choć mogą wywołać lub osłabić zainteresowanie wśród pewnej ilości nieuków. W tej zalakowanej kopercie znajdziecie, panowie, instrukcje i wskazówki. Otwórzcie ją dopiero po dotarciu do Manaos, miasta nad Amazonką, w dniu i o godzinie zaznaczonej na kopercie. Chyba wyraziłem się dość jasno? Wierzą, że honor nie pozwoli wam złamać tego warunku. Panie Malone, nie ograniczam pańskiej wolności słowa, bo przecież macie sprawdzić, czy nie kłamię, ale żądam, by pan zachował w tajemnicy szczegóły, które określają bliżej kierunek wyprawy. Nic też nie może być opublikowane przed panów powrotem. Do widzenia panu. Udało się panu osłabić moją niechęć do

wstrętnego zawodu, którym się pan, niestety, para. Do widzenia, lordzie Roxton. Nauka, jak wiem, stanowi dla pana zamkniętą księgę. Ale może pan sobie pogratulować czekających pana polowań. Na pewno będzie pan mógł opisać na łamach „Field”, jak pan powalił podrywającego się do lotu dymorfodona. Da widzenia i panu, profesorze Summerlee. Jeśli potrafi się pan jeszcze czegoś nauczyć, a trochę w to wątpię, wróci pan do Londynu mądrzejszy.

Obrócił się na pięcie i w parę chwil potem ujrzałem z pokładu jego niską, barczystą postać, rozkołysanym krokiem zdążającą do pociągu. Teraz jesteśmy już w kanale La Manche. Słychać ostatni dzwonek na oddanie listów i pożegnanie pilota. Odtąd tylko morze będziemy mieli przed sobą. Niech Bóg ma w swej pieczy tych, co pozostali w kraju, a nam niech pozwoli wrócić szczęśliwie.

ROZDZIAŁ VII

JUTRO WCHODZIMY W NIEZNANE

Nie chcę nudzić tych, którzy będą może kiedyś czytać tę opowieść, ani opisem naszej wygodnej podróży statkiem, ani relacją z tygodniowego pobytu w Para (muszę tylko podziękować Towarzystwu Pereira da Pinta za wyjątkową uprzejmość, dzięki której przetransportowaliśmy cały nasz ekwipunek). Krótco wspomnę też, że dalszą drogę w górę szerokiej, leniwej i mulistej rzeki odbyliśmy parowcem prawie równie wielkim jak ten, który nas przewiózł przez Atlantyk. Koniec końców znaleźliśmy się po drugiej stronie cieśniny Obidos i stanęliśmy w Manaos. Tu pan Sliortman, przedstawiciel Brytyjsko-Brazylijskiego Towarzystwa Handlowego, wybawił nas od wątpliwej przyjemności zamieszkania w miejscowej gospodzie. W jego gościnnej fazendzie doczekaliśmy dnia, kiedy wolno nam było otworzyć kopertę z instrukcjami profesora Challengeera. Zanim jednak zabiorę się do opisu zadziwiających, wypadków tego dnia, chciałbym nakreślić sylwetki mych towarzyszy i nowych uczestników wyprawy, zwerbowanych już w Ameryce Południowej. Jestem całkiem szczery, panie McArdle. a od pana zależy — bo tylko przez pana ten list dojść może do wiadomości ogółu — czy pan z niego skorzysta, czy nie.

Osiągnięcia profesora Summerlee są zbyt dobrze znane, bym miał się nad nimi rozwodzić. Lepiej też nadaje się on, do tak trudnej wyprawy, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Wysoki, szczupły, muskularny, jest wytrzymały na znoje, a jego oschłe, nieco sarkastyczne, często całkiem przykre dla towarzyszy usposobienie nie podlega wpływom zewnętrznym. Nigdy, mimo swoich, sześćdziesięciu pięciu lat, najmniejszym słowem nie żalił się na chwilowe niewygody. Początkowo bałem się, że będzie nam zawadą, ale teraz widzę, że podola wszystkiemu nie gorzej ode mnie. Jest zgryźliwy i sceptyczny. Nigdy nie krył się z tym, że uważa profesora Challengeera za skończonego oszusta, że daliśmy się wciągnąć w absurdalną aferę i że w Ameryce Południowej czekają nas tylko rozczarowania i niebezpieczeństwa, a w Anglii — śmieszność i kpiny. Takimi to poglądami, które wygłaszał z kwaśną miną, kiwając przy tym koźlą bródką, częstował nas przez całą drogę z Southampton do Manaos. Jednakże na lądzie pocieszyło go nieco piękno i oryginalność owadów i ptaków, bo jest zapalonym naukowcem. Całymi dniami ugania po lesie

z siatką na motyle i ze strzelbą, a wieczory spędza na preparowaniu licznej zdobyczy. Do jego drobnych wad zaliczam: niedbałość o swój wygląd, niechlujstwo w ubiorze, szalone roztargnienie i to, że nigdy nie wypuszcza z ust krótkiej głogowej fajeczki. Za młodu brał udział w wielu wyprawach naukowych (razem z Robertsonem był w Nowej Gwinei), toteż życie obozowe i czótno nie jest dla niego pierwszszą.

Lord John Roxton ma z nim wiele wspólnego, ale pod pewnymi względami różni się od niego całkowicie. O dwadzieścia lat młodszy, przypomina go jednak suchą, szczupłą budową ciała. O ile pamiętam, opisałem go w tej części sprawozdania, Morą pozostawiłem w Londynie. Jest zawsze na miejscu, manieri ma wytworne, ubiera się niezwykle starannie w białe drelichowe ubrania i wysokie brązowe buty, a goli się przynajmniej raz dziennie. Jak większość ludzi energicznych i czynnych, jest lakoniczny, często się zamyśla, ale zawsze ma gotową odpowiedź na ustach i chętnie przyłącza się do rozmowy. Wyraża się dziwnie, urywanymi, żartobliwymi zdaniami. Zdziwiająco zna świat, a zwłaszcza Amerykę Południową, szczerze wierzy w naszą wyprawę i nie daje się speszyć drwinom profesora Summerlee. Głos ma miły i jest spokojny, choć w jego błyszczących niebieskich oczach ta się niezłomna stanowczość i zaciętość, tym niebezpieczniejsza, że trzymana na wodzy. Mało mówi o swoich przygodach w Brazylii i Peru, jednakże ze zdziwieniem stwierdziłem, że krajowcy powitali go jak dobrego znajomego, obrońcę i protektora. Czyny Czerwonego Wodza — tak go nazywają — stały się po trochu legendą, ale prawdziwe fakty, o których się dowiedziałem, są wprost zdumiewające.

Okazuje się, że lord John kilka lat temu przebywał na bezpiecznej ziemi między pobieżnie tylko wytyczoną granicą dzielącą Brazylię, Peru i Kolumbię. Drzewa kauczukowe tego rozległego kraju stały się, jak w Kongo, prawdziwym przekleństwem ludności; przekleństwem, które można porównać tylko do niewolniczej pracy w kopalniach, srebra w Darien za panowania Hiszpanów. Garstka nikczemnych Metysów zagarnęła władzę i przy poparciu części oddanych sobie Indian ujarzmiła resztę ludności. Wyszukanymi torturami i przemocą zmusiła ją do zbierania i sptawiania kauczuku w dół rzeki Para. Lord Roxton ujął się za nieszczęsnymi ofiarami tego strasznego wyzysku, ale nic nie wskórał i naraził się tylko na obelgi i pogrożki. Wtedy wypowiedział formalną wojnę Pedro Lopezowi, przywódcy ciemniejszych. Zebrał i uzbroił grupę zbiegłych, niewolników, rozpoczął walkę i zakończył ją zwycięsko, zabijając własnoręcznie zbrodniczego Metysa i obalając jego rządy.

Nic więc dziwnego, że przybycie tego rudego człowieka o łagodnym, głosie, miłego i przystępnego, ogromnie poruszyło ludność po obu stronach Amazonki. Jednakże nienawiść niedawnych ciemniejszych była tak samo silna jak uwielbienie uciemnianych. Z jego dawnych przygód wynika jedna niezaprzeczalna korzyść: władza biegle dziwnym narzeczem Lingoa Geral, które w jednej trzeciej składa się ze słów portugalskich, a w dwóch trzecich z indiańskich, i którym mówią w całej Brazylii.

Wspomniałem już przedtem, że lord Jon Roxton jest maniakiem na punkcie Ameryki Południowej. Nie potrafi o niej mówić inaczej jak z zapalem, zresztą zaraźliwym, bo nawet we mnie — zupełnym pod tym względem ignorancie — potrafił wzbudzić szczere zainteresowanie. Niestety, nie umiem oddać całego uroku jego opowiadań — przedziwnej mieszaniny ścisłych wiadomości i niepohamowanej fantazji, które tak porywają słuchaczy,

że nawet profesor Summerlee stopniowo zapomina o swym cynicznym uśmiechu niedowiarka. Roxton godzinami opowiada nam historię tej potężnej rzeki, tak szybko poznanej (wszak pierwsi zdobywcy Peru po jej wodach przebyli cały kraj), lecz o wciąż tnie zbadanych i tajemniczych, wiecznie zmiennych brzegach.

— Co tam jest? — woła wskazując na północ. — Lasy, mokradła i dziewicza puszcza. Kto wie, co się w niej kryje. A na południe? Gęstwina bagnistych lasów, gdzie nie postąpiła noga białego człowieka. Zewsząd otacza nas tajemnica. Czy wiemy, co leży za wąskimi wstęgami rzek? W takim kraju wszystko jest możliwe. Czemuż stary Challenger nie mógłby mieć racji?

Na takie bezpośrednie wyzwanie profesor Summerlee znów uśmiecha się przekornie; siedzi i ironicznie kiwa głową milcząc niezycliwie, spowity kłębam dymu ze swojej głogowej fajeczki.

Na razie tyle o moich białych towarzyszach wyprawy. W toku dalszego opowiadania powrócę jeszcze do nich, do ich charakterów i właściwości, jak i do mej własnej osoby. Zwerbowałem już przecież kilkoro służby, która może odegrać niemałą rolę w oczekującej nas przygodzie. A więc przede wszystkim olbrzymiego Murzyna Zambo, czarnego Herkulesa, pracowitego jak koń i niemal równie inteligentnego. Zgodziliśmy go w Para z polecenia linii żeglugowej, na której statkach nauczył się nieco kulawej angielszczyzny. W Para zaangażowaliśmy też Gomeza i Manuela, dwóch Metysów, którzy właśnie przybyli z góry rzeki z ładunkiem sandaliny czerwonej. Są smagli, brodaci, okrutni z wyglądu, ruchliwi i zwinni jak pantery. Życie spędzili w górze Amazonka, w okolicy, którą mieliśmy badać, i to skłoniło lorda Johna do zaangażowania obu. W dodatku jeden z nich, Gomez, doskonale mówi po angielsku. Zgodzili się być naszymi osobistymi służącymi, a więc gotować, wiosłować i spełniać wszelkie postugi za piętnaście dolarów miesięcznie. Poza tym najęliśmy jeszcze trzech Indian z Boliwii, z plemienia Mojo, które słynie z najzręczniejszych rybaków i wiosłarzy. Ich wodza nazwaliśmy Mojo, od nazwy plemienia, a dwóch innych — Jose i Fernando. Nasza mała wyprawa cze kająca w Manaos na otwarcie koperty składa się zatem z trzech białych, dwóch Metysów, jednego Murzyna i trzech Indian.

Wreszcie po męczącym tygodniu nadszedł oznaczony dzień i godzina. Proszę sobie wyobrazić zaciemniony pokój w fazendzie Santo Ignacio o dwie mile od Manaos. Za oknami żar żółtego palącego słońca i cień palm, czarny i wyraźny jak same drzewa. W powietrzu spokój przesycony wiecznym brzęczeniem owadów, tropikalny, wielooktawowy chór — od niskiego, głębokiego brzęczenia pszczoły do wysokiego, przenikliwego bzykania moskita. Za werandą mały ogródek okolony żywopłotem z kaktusów i ozdobiony klombami kwitnących krzewów. Nad nimi w blasku promieni słońca błękitne motyle i małe kolibry. W domu siedzimy we trzech przy trzcinowym stoliku, na którym leży zapieczętowana koperta. Na niej skreślone ostrym charakterem pisma profesora Challengeera widnieją słowa:

Instrukcja dla lorda Johna Roxtona i jego towarzyszy. Otworzyć w Manaos 15 lipca, punktualnie o godzinie 12.

Lord John położył zegarek na stole tuż koło siebie.

— Brakuje jeszcze tylko siedmiu minut — powiedział. — Stary pocziwina dobrze chodzi.

Profesor Summerlee uśmiechnął się kwaśno i ujął kopertę w szczupłą rękę.

— Co za różnica, czy otworzymy ją zaraz, czy za siedem minut — powiedział. — Ten napis to tylko cząstka bzdur i szarlatanerii, z której, mówię to z żalem, słynie jego autor.

— O nie, grajmy uczciwie — odparł lord John. — Na tym benefisie starego Challengeera jesteśmy za jego łaskawym zezwoleniem, brzydko by więc było, gdybyśmy nie dopełnili postawionych nam warunków.

— Głupia historia! — gorzko zauważył profesor. — Jej nonsensowność uderzyła mnie już w Londynie, ale przy bliższym przyjrzeniu się widzę, że to zupełny absurd. Nie wiem, co zawiera koperta, ale jeśli nic rzeczowego, ulegnę chyba pokusie i zabiorę się najbliższym statkiem, by złapać «Boliwię» w Para. Mam ważniejsze zajęcia niż uganiać się po świecie dla obalenia jakichś bredni lunatyka. No, teraz pewnie już czas.

— Tak — rzekł Roxton. — Może pan zagwizdać, ruszamy.

Wziął kopertę ze stołu, przeciął scyzorykiem i wyjął ze środka złożoną kartkę papieru. Rozwinął ją starannie i rozpostartł na stole. Była czysta. Odwrócił ją. I z drugiej strony była czysta. Zdumieni patrzyliśmy na siebie w głuchoj ciszy, którą nagle przerwał skrzekliwy, ironiczny śmiech profesora Summerlee.

— Toż to szczerze przyznanie się do winy! — zawołał. — Czego chcecie więcej? Ten człowiek to chodząca blaga. Nic nam nie pozostaje, jak wrócić do domu i zedrzeć maskę z bezwstydnego łgarza.

— A może sympatyczny atrament — podpowiedziałem.

— Nie sądzę — rzekł lord Roxton biorąc papier pod światło. — No, panicyku, nie ma co się łudzić. Założę się, że na tym papierze nikt nigdy słowa nie napisał.

— Czy można? — zagrzmiął czyjś głos z werandy. Cień jakiejś przysadzistej postaci przesunął się przez słoneczną plamę na podłodze. Ten głos! Te potężne bary! Na widok Challengeera, który stąpając jak baletmistrz, z rękami w kieszeniach marynarki, płóciennych trzewikach i w chłopięcym, słomkowym kapeluszu z barwną wstążką, nagle stanął w otwartych drzwiach, zerwaliśmy się na równe nogi z lekkim okrzykiem zdziwienia. On zaś zadartszy głowę stał w złocistym blasku, w całym przepychu swej asyryjskiej brody i patrzył na nas z wrodzoną mu pogardliwą czupurnością i wyzwaniem w zmrużonych oczach.

— Obawiam się — powiedział wyjmując zegarek — że się spóźniłem o parę minut. Przyznaję, że wręczając panom tę kopertę, myślałem, iż jej nigdy nie otworzycie. Postanowiłem bowiem przyłączyć się do wyprawy przed wyznaczoną godziną. Niestety, spóźniłem się częściowo przez niezręczność sternika, częściowo z winy przekornej mielizny. Pewnie dało to memu koledze, profesorowi Summerlee, powód do obraźliwych uwag.

— A ja muszę przyznać — odparł lord John surowym, tonem — że ucieszyło nas pańskie przybycie, bo już uważaliśmy naszą wyprawę za przedwcześnie zakończoną. Doprawdy nie rozumiem, czemu postąpił pan tak dziwnie.

Profesor Challenger nie odpowiedział; wszedł do pokoju, zamienił uścisk dłoni ze mną i lordem Roxtonem, z chłodnym wyzwaniem skłonił się profesorowi Summerlee i opadł na trzciniowy fotel, który jęknął i zachwiał się pod jego ciężarem.

— Czy jesteście, panowie, gotowi do dalszej podróży? — zapytał.

— Możemy wyruszyć choćby jutro.

— A więc wyruszyacie. Teraz nie będziecie, panowie, potrzebowali ani map, ani wskazówek, bo znajdziecie się pod nieocenionym dla was, moim osobistym kierownictwem. Od pierwszej chwili bowiem postanowiłem stanąć na czele wyprawy. Sami, panowie, przyznacie, że najlepsze mapy nie zastąpią mego doświadczenia i wiedzy. Ta koperta — to mały wybieg, aby panowie nie żądali odbycia wspólnej podróży.

— Ja bym nie żądał! — gorąco zaprotestował profesor Summerlee. — Gdyby tylko był inny statek na Atlantyku.

Challenger powstrzymał go gestem swej wielkiej, owłosionej ręki.

— Nie odpowiem na to, bo sarn zdrowy rozsądek pozwoli panu pojąć, jakie korzyści wynikły z tego, iż zachowując swobodę ruchów mogłem przybyć dopiero w ostatniej chwili. Ta chwila właśnie nadeszła. Jesteście, panowie, w pewnych rękach. Teraz wasza wyprawa musi się powieść. Od tego momentu obejmuję kierownictwo i proszę panów zakończyć dziś wieczór wszystkie przygotowania, byśmy mogli wyruszyć jutro wczesnym rankiem. Mój czas jest drogi i to samo, choć w mniejszym stopniu, można powiedzieć o panach. Proponuję zatem pośpieszać, ile się da, dopóki nie pokażę panom tego, co was tu sprowadziło.

Lord Roxton wynajął już przedtem dużą łódź parową «Esmeraldę», która miała nas zawieźć w górę rzeki. Obojętne nam było, kiedy wyruszymy, gdyż temperatura czy zimą, czy latem waha się tu od siedemdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita, a tej różnicy prawie się nie odczuwa. Natomiast musieliśmy się liczyć z opadami: od grudnia do maja trwa pora deszczowa i rzeka powoli przybiera, aż wreszcie sięga czterdziestu stóp ponad normalny poziom. Zalewa wówczas brzegi, zamienia ogromną połać kraju w wielkie laguny, tworząc obszar zwany w miejscowym narzeczu Gapo, zbyt bagnisty, by przebyć go pieszo, i za płytki dla łodzi. Koło czerwca wody zaczynają opadać, a w październiku i listopadzie rzeka jest najpłytsza. Nasza wyprawa przypadła więc na suchą porę, kiedy poziom Amazonki i jej dopływów jest dość niski.

Rzeka płynie leniwie, bo spadek jej wynosi najwyżej osiem cali na milę. Trudno o żeglowniejszy nurt, tym bardziej że wiatr wieje przeważnie z południowego wschodu. Żaglowce mogą więc bez przeszkód posuwać się aż do granicy Peru, a z powrotem sphywać z prądem. W naszym wypadku wspańiałe maszyny «Esmeraldy» nic sobie nie robiły z ospałego prądu, toteż płynęliśmy jak po sadzawce. Trzy dni posuwaliśmy się na północny zachód w górę rzeki, nawet tu, o tysiąc mil od ujścia, tak szerokiej, że z jej środka oba brzegi ledwie majaczyły na horyzoncie. Czwartego dnia po wyruszeniu z Manaos skręciliśmy w jeden z dopływów, prawie tak szeroki przy ujściu jak główne koryto. Zwęzał się jednak szybko i po dalszej dwudniowej podróży dotarliśmy do indiańskiej wioski. Tu profesor kazał nam wylądować i odesłać «Esmeraldę» do Manaos. Mówił, że niebawem dotrzemy do progów, gdzie «Esmeralda» się nam nie przyda. Poufnie dorzucił, że stoimy już u wrót nieznanego kraju i im mniej będziemy mieli wtajemniczonych, tym lepiej. Kazał też nam dać słowo honoru, a służbie przysiąc, że nie opublikujemy ani nie powiemy niczego, co mogłoby zdradzić położenie miejsca, do którego się udajemy. Dlatego muszę być ogólnikowy w mych

sprawozdaniach i ostrzegam czytelników, że choć na mapach i szkicach, które podam, miejscowości mogą być prawidłowo położone względem siebie, strony świata będą błędne, by utrudnić orientację. Profesor Challenger może mieć albo nie mieć racji, musimy jednak przyjąć jego zastrzeżenia, bo raczej zrezygnuje z wyprawy, niż zgodzi się na zmianę postawionego warunku.

A więc drugiego sierpnia, żegnając «Esmeraldę», zerwaliśmy ostatnią nić wiążącą nas z cywilizowanym światem. W ciągu czterech dni, które minęły od tej chwili, wynajęliśmy od Indian dwa duże czółna, bardzo lekkie (skóry naciągnięte na szkielet z bambusu), tak że będziemy je mogli przenieść koło każdej przeszkody. Załadowaliśmy w nie nasz bagaż i zwerbowałiliśmy jeszcze dwóch Indian do pomocy w żegludze. Domyślałem się, że obaj — jeden zwie się Ataca, drugi Ipelu — już raz, towarzyszyli profesorowi Challengerowi. Są jawnie przerażeni tą ponowną wyprawą, ale wódz plemienia ma tu iście patriarchalną władzę i skoro uznał, że transakcja jest korzystna, nikt nie może mu się sprzeciwić.

Jutro zatem wyruszamy w nieznaną. Ten list przesyłam czółnem udającym się w dół rzeki. Być może są to nasze ostatnie słowa do życzliwych nam ludzi. Zgodnie z umową adresuję go do pana, drogi panie McArdle. Może pan z nim postąpić, jak się panu żywnie podoba: zniszczyć go lub zmienić. Mimo uporczywego sceptycyzmu profesora Summerlee pewność siebie Challengeera każe mi wierzyć, że dowiedzie on prawdy swych słów i że istotnie jesteśmy w przededniu rewelacyjnych odkryć.

ROZDZIAŁ VIII

NA PRZYCZÓŁKACH ZAGINIONEGO ŚWIATA

Nasi przyjaciele w kraju mogą się cieszyć razem z nami; dotarliśmy do celu i do pewnego stopnia przekonałiliśmy się p słuszności twierdzeń profesora Challengeera. Co prawda nie weszliśmy jeszcze aa wyżynę, ale już widzimy ją przed sobą i nawet profesor Summerlee trochę się utemperował. Oczywiście ani przez chwilę nie przyznaje racji swemu rywalowi, ale nie jest już takim zagorzałym oponentem i przeważnie zachowuje czujne milczenie. Muszę jednak cofnąć się z opowieścią do miejsca, w którym ją przerwałem. Odsyłamy jednego z naszych ostatnio zaangażowanych Indian — został ranny — i jemu powierzam ten list. Bardzo jednak wątpię, czy dojdzie on w ogóle do adresata.

Kiedy pisałem po raz ostatni, mieliśmy właśnie opuścić indiańską wioskę, do której dotarliśmy aa pokładzie «Esmeraldy». Niestety, zaczynam od złej nowiny: w wigilią wyjazdu miała miejsce pierwsza poważna scysja (pomijam bezustanne kłótnie i docinki profesorów) niemal tragiczna w skutkach. Wspominałem już o naszym Metysie znającym angielski, Gomezie — bardzo chętnym i pracowitym człowieku — Niestety grzeszącym nadmierną ciekawością, co u takich ludzi często się zdarza. A więc w wigilię naszego odjazdu podstuchiwał on w ukryciu tuż obok chatki, w której omawialiśmy dalsze plany. Zauważył to nasz olbrzymi Murzyn Zambo, wierny jak pies i jak wszyscy Murzyni nienawidzący Metysów. Wyciągnął go siłą i przywłókł do nas. Gomez wy dobył nóż i byłby dźgnął Zambę, ale ten dzięki niepospolitej sile jedną ręką obezwładnił napastnika. Sprawa skończyła się na ostrej reprimendzie, przeciwnicy podali sobie ręce i mamy nadzieję, że na tym się skończy.

Dwaj uczeni natomiast trwają w bezustannej i zaciętej wrogości. Trzeba przyznać, że stroną prowokującą jest Challenger, Summerlee jednak ma nadzwyczaj cięty język, a to pogarsza sprawę. Wczoraj wieczorem na przykład Challenger oświadczył, że nigdy nie przechadza się wybrzeżem Tamizy po Embankment, by patrzeć w górę rzeki, bo zawsze jest przykro oglądać miejsce swego ostatniego spoczynku. Jest oczywiście przekonany, że jego zwłoki zostaną kiedyś złożone w Westminster Abbey. Na to Summerlee odparł z miejsca z ironicznym uśmiechem, że więzienie Millbank już jest zburzone. Próżność Challengera jest tak wielka, że nawet się nie rozgniewał. Uśmiechnął się tylko w głębi swej brody i powiedział: „Czyżby! Czyżby!” tonem pobłażliwym, jakby mówił do dziecka. Obaj właściwie są jak dzieci — jeden zasuszony i swarliwy, drugi barczysty i władczy, ale mózgi stawiają ich w pierwszym szeregu uczonych naszego wieku. Umysły, charaktery, dusze — im dłużej człowiek żyje, tym wyraźniej widzi, jak się od siebie różni.

Nazajutrz wyruszyliśmy na naszą niezwykłą wyprawę. Cały bagaż pysznie się zmieścił w dwa czółna, a my podzieliliśmy się na dwie szóstki, dla świętego spokoju wsadzając każdego profesora w inną łódź. Ja znalazłem się w tej samej, co Challenger, który jest wprost wniebowzięty, chodzi jak w ekstazie i promienieje życzliwością. Pamiętam go jednak w innym humorze i dlatego nie zdziwię się wcale, gdy z pogodnego nieba zaczną walić pioruny. O ile w jego towarzystwie nie można czuć się zupełnie swobodnie, o tyle nie można też się nudzić, bo zawsze jest się podnieconym jak przed burzą wiszącą w powietrzu.

Dwa dni płynęliśmy wielką rzeką, szeroką na jakieś kilkaset jardów, ciemną, choć tak przezroczystą, że doskonale widzieliśmy dno. Przynajmniej połowa dopływów Amazonki ma taką wodę, druga zaś ma wodę białawą i mętną. Zależy to od dna. Gnijące rośliny zaciemniają wodę, ale w gliniastym łożysku jest ona przezroczysta. Dwukrotnie natknęliśmy się na skaliste progi i musieliśmy przenosić czółna nakładając za każdym razem co najmniej pół mili. Po obu brzegach rosły stare, zupełnie dziewicze lasy, dostępnejsze jednak od młodszych, łatwo więc przenieśliśmy łodzie. Nigdy nie zapomnę tajemniczej powagi tej puszczy! Grubość pni i wysokość drzew przekroczyła najśmielszą fantazję takiego mieszczucha jak ja. Strzelały one w niebo niby jakieś gigantyczne kolumny, by gdzieś hen nad naszymi głowami spleść gałęzie w ledwie widoczny, wielki, gotycki strop, matowozielony, przez który tu i tam w majestatyczny mrok wdzierały się wąskie, oślepiająco złote promienie słońca. Szliśmy cicho po grubym, miękkim dywanie butwiejącej roślinności, urzeczeni ciszą jakby mrocznej świątyni i nawet profesor Challenger zniżył swój stentorowy głos do zwykłego szeptu. Nie umiałbym wymienić wszystkich potężnych drzew, ale nasi uczeni wskazywali nam cedry, wielkie, lśniące drzewa bawetniane, sandalmy i całe bogactwo najrozmaitszych roślin, dzięki któremu Ameryka Południowa jest naszym głównym dostawcą tych darów natury, gdy pod względem produktów pochodzenia zwierzęcego pozostaje znacznie w tyle. Barwne storczyki i porosty żywymi kolorami mieniły się na czarnych pniach drzew. Żłociste allamandy, purpurowe plejady męczennic czy ciemnobłękitne powoje, skapane w smugach wędrującego światła, wydawały się, czarownymi kwiatami wysnionymi z baśni. W tej rozległej puszczy życie nienawidzące mroku dąży w górę, do słońca. Każda roślina, nawet najmniejsza, wydiera się ku niebu, oplata silniejszą i wyższą od siebie. Pnącza imponują przepychem, ale i inne rośliny, które nigdzie na świecie

nie są pnączami, tu uczą się ucieczki z mroku. Zwykła pokrzywa, jaśmin czy nawet palma jacytara wiję się wokół cedrów, uporczywie dążąc ku ich koronie. Przed nami pod sklepieniem, majestatycznej kolumnady nie ma śladu życia. Jedyne gdzieś wysoko nad naszymi głowami słychać nieustanny ruch — odgłosy zwierzęcego świata: niezliczonych węży, małp, ptaków i leniwców, które żyją w blasku słońca i ze zdziwieniem patrzą w dół na nasze niepokażne, ciemne figurki, kroczące naprzód w mrocznej głębinie pod nimi. O świcie i wieczór chórem odzywają się wyjce, skrzekliwie gadają papugi, ale w upalne południe słyszymy tylko monotony brzęk owadów niby odległy huk przyboju. Nic się wtedy nie rusza w uroczystych nawach wielkich drzew, a brzęk owadów zamiera gdzieś w dali, w obejmującej nas zewsząd ciemności. Czasem tylko mignie z daleka sylwetka krzywonożego zwierzęcia: mrówkojad lub niedźwiedź przemknie niezdarnie w pomroce lasu. Jest to jedyny ślad życia naziemnego, który dojrzałem w olbrzymiej puszczy nad Amazonką.

A jednak mieliśmy dowody, że w pobliżu nas, w tych tajemniczych ostępach kryją się nawet ludzie. Trzeciego dnia naszej podróży doszło nas głucho dudnienie. Rytmiczne i posępne, to cichsze, to głośniejsze, drgało w rannym powietrzu. Nasze czółna płynęły o parę jardów od siebie, gdyśmy je usłyszeli po raz pierwszy. Towarzyszący nam Indianie przysłuchując się uważnie tym dźwiękom zamarli w bezruchu niczym posągi z brązu, a na ich twarzach odmalowało się przerażenie.

— Co to jest? — zapytałem.

— Bębny — beztrąsco odparł lord John. — Bębny bojowe. Już je kiedyś słyszałem.

— Tak, panie, bębny — wtrącił Gomez. — Dzicy Indianie bravos, nie mansos. Siedzą nas mila za milą, a zabijają, jeśli zdołają.

— Jakże mogą nas śledzić? — zapytałem patrząc w ciemną i głuchą pustkę.

Metys wzruszył potężnymi ramionami.

— Indianie to potrafią. Mają swoje sposoby. Śledzą nas. Rozmawiają ze sobą za pomocą bębnow. I zabijają nas, jeśli zdołają.

Po południu tegoż dnia — mój kieszonkowy kalendarzyk mówił mi, że był to wtorek, 18 sierpnia — słyszeliśmy przynajmniej sześć czy siedem bębnow odzywających się w różnych stronach. Czasem bito w nie szybko, czasem powoli. Czasem brzmiały wyraźnie jak pytanie i odpowiedź; szły ze wschodu w wysokim staccato, a po nim, po pauzie, nadbiegał z północy niski odgłos werbla. W tym nieustannym pogwarze było coś niewypowiedziane denerwującego i groźnego, coś, co układało się w sylaby tych samych, lecz nieubłagane powtarzających się słów Gomeza: „Zabijemy was, jeśli zdołamy. Zabijemy was, jeśli zdołamy”. Lasy stały ciche. Bił z nich kojący spokój przyrody. Ale spoza ich ciemnej kurtyny nieustannie nadlatywała groźba naszych współbraci: „Zabijemy was, jeśli zdołamy” — mówił człowiek ze wschodu. „Zabijemy was, jeśli zdołamy” — odpowiadał człowiek z północy.

Jak dzień długi, warkotały i szeptały bębny, a czym groził ten głos, można było wyczytać na twarzach naszych kolorowych towarzyszy. Nawet zahartowany w niebezpieczeństwach Metys wydawał się przerażony. Tego dnia raz na zawsze przekonałem się, że i Summerlee, i Challenger posiadają najwyższy typ odwagi, odwagi prawdziwych uczonych. Taki sam duch ożywił Darwina wśród argentyńskich gauchos i Wallace'a wśród łowców głów na Malajach.

Miłosierna natura sprawiła, że umysł ludzki nie może zajmować się dwiema rzeczami jednocześnie: gdy zaprzatają go naukowe zagadnienia, zapomina o sprawach czysto osobistych. Przez cały dzień, mimo bezustannej i tajemniczej groźby, profesorowie obserwowali uważnie każdego przelatującego ptaka, najmniejszy krzak na brzegu. Często ścierali się ostro. Na każde głucho warknięcie Challengeera Summerlee odmrukiwał bezzwłocznie, a obaj traktowali indiańskie bębny tak obojętnie, jakby siedzieli w wygodnych fotelach palami Królewskiego Towarzystwa Naukowego na Si. James Street. Tylko jeden jedyny raz zniżyli się do rozmowy na temat nie milknącej groźby.

— Ludożercy ze szczepu Miranha lub Amajuaca — powiedział Challenger gwałtownym ruchem palca wskazując na dudniący las.

— Tak — odparł Summerlee. — Jak wszystkie te szczepy, mówią pewnie językiem polisyntetycznym i należą do rasy mongolskiej.

— Polisyntetycznym na pewno — pobłażliwym tonem rzekł Challenger. — Nie zdaje mi się, aby w tej części kraju mówiono inaczej, a zanotowałem chyba ze sto narzeczy. Ale w mongolskie pochodzenie nie wierzę.

— Sądzę, że nawet powierzchowna znajomość anatomii porównawczej pomogłaby do stwierdzenia tego faktu — złośliwie zauważył Summerlee.

Challenger tak zaczepnie zadął podbródek, że widać było tylko wielką brodę i rondo kapelusza.

— Niewątpliwie, mój panie, powierzchowna znajomość doprowadziłaby do takiego stwierdzenia. Ale prawdziwy uczony wyciągnie inne wnioski.

Patrzyli na siebie z jawną pogardą, a wkóło narastał odległy szept: „Zabijemy was... zabijemy was, jeśli zdołamy”.

Tej nocy zakotwiczyliśmy nasze czółna za pomocą ciężkich kamieni na środku rzeki i przygotowaliśmy się do odparcia ewentualnego ataku. Ale nic się nie wydarzyło i o świcie ruszyliśmy dalej. Odgłos bębnow zamierał za nami. Koło trzeciej po południu przybyliśmy do stromych progów ciągnących się przeszło milę. Były to te same progi, na których wywróciła się w poprzedniej wyprawie łódź Challengeera. Przyznaję, że ich widok natchnął mnie otuchą. Był to bowiem pierwszy, co prawda drobny, fakt potwierdzający opowiadanie profesora. Indianie przenieśli najprzód czółna, a potem bagaże przez gęste w tym miejscu zarośla, a my, czterej biali, ze strzelbami w ręku ostanialiśmy ich przed napaścią z lasu.

Nim zmrok zapadł, minęliśmy progi i przebyliśmy jeszcze z dziesięć mil, po czym znów zakotwiczyliśmy czółna na noc. Obliczyłem sobie, że zrobiliśmy już co najmniej sto mil w górę tego dopływu.

Nazajutrz wczesnym rankiem ruszyliśmy na wielką przygodę. Profesor Challenger już od świtu był niespokojny i starannie badał brzeg rzeki. Nagle krzyknął radośnie i wskazał nam samotne drzewo, dziwacznie pochylone nad wodą.

— Co to jest, jak myślicie? — zapytał.

— Palma euterpe — odparł Summerlee.

— Tak. To palma euterpe — mój znak drogowy. Tajemnicza brama leży o pół mili dalej na

tamtym brzegu. Nie widać jej zza drzew. To jest cały cud i niespodzianka. Tam gdzie miast ciemnych zarośli jest jasnozielone sitowie, o tam, między wielkimi drzewami bawełnianymi znajdują się moje wrota do nieznanego świata. Płyńmy prosto, a sami się przekonacie.

Było to naprawdę piękne miejsce. Dotarliśmy do linii zielonego sitowia, przepchnęliśmy przez nie nasze czółna i kilkaset jardów dalej wydostaliśmy się na spokojną, płytką rzeczkę o przejrzystej wodzie i piaszczystym dnie. Miała najwyżej dwadzieścia jardów szerokości, a przepyszne rośliny porastały oba brzegi. Nikt nie domyśliłby się jej istnienia ani bajkowej krainy poza nią, gdyby nie zauważył, że na małej przestrzeni sitowie zastąpiło krzaki.

A kraina była istotnie bajkowa — najbajeczniejsza, jaką można było sobie wyobrazić. Gęste gałęzie drzew tworzyły naturalną pergolę nad naszymi głowami. Tym zielonym tunelem w złocistym półmroku płynęła zielona, przezroczysta rzeka, piękna sama w sobie i tym piękniejsza, że grająca wszystkimi barwami w przedziwnym, żywym, przesianym, i złagodzonej świetle padającym z góry. Czysta jak kryształ, nieruchoma jak tafla szkła, zielonkawa jak brzegi lodowca, leżała przed nami pod liściastym stropem. Każde uderzenie naszych wiosł marszczyło jej błyszczącą gładź. Prawdziwa aleja w krainę cudów.

O Indianach ślad zaginął, ale zwierząt spotykaliśmy więcej. Nie bały się ludzi, a więc nie znały myśliwych. Małe, puszyste jak z czarnego aksamitu małpki ze śnieżnobiałymi zębami i błyszczącymi, roześmianymi oczkami gadały do nas w przejściu. Tu i ówdzie krokodyl z głośnym pluskiem umknął w wodę. Raz czarny niezgrabny tapir chwilę przyglądał się nam z krzaków, a potem poczłapał w las. I raz także brązowa zwinna sylwetka olbrzymiej pumy mignęła w zaroślach. Wielkimi zielonymi oczami złowrogo i nienawistnie spojrzęła na nas ponad ciemnym barkiem. Ptactwa było mnóstwo, zwłaszcza błotnego: bocianów, czapli i ibisów. W małych grupkach niebieskich, czerwonych i białych stały na każdym przybrzeżnym pnium; a w kryształowo czystej wodzie pod nami roiło się od ryb różnych kolorów i rozmiarów.

Trzy dni płynęliśmy w górę tym tunelem w seledynowej mgiełce słonecznego blasku. Na dłuższych odcinkach trudno było rozróżnić, gdzie kończyła się odległa zielona toń, a gdzie zaczynał się odległy zielony strop. Żaden ludzki głos nie przerywał ciszy nad tym dziwnym wodnym traktem.

— Nie ma tu Indian, Za bardzo się boją Curupuri — powiedział Gomez.

— Curupuri to duch lasów — wyjaśnił lord John. — Nazwa dla wszystkich złych duchów. Biedacy boją się, że tu czyha coś groźnego, i nie zapuszczają się w te strony.

Pod koniec trzeciego dnia przekonaliśmy się, że woda nagle staje się za płytka na dalszą drogę w czółnach; w dwie godziny dwa razy ugrzęźliśmy na mieliźnie. Wepchnęliśmy więc łódki w krzaki i przenocowaliśmy na brzegu. Rankiem poszedłem z lordem Johnem przez las kilka mil w górę rzeki. Była jednak coraz płytsza, wróciliśmy więc, by zgodnie z przypuszczeniem profesora Challengeera potwierdzić, iż dalej czółnami jechać nie można. Wyciągnęliśmy je zatem na brzeg i ukryliśmy w zaroślach, naciąwszy siekierami pień pobliskiego drzewa na znak, gdzie są schowane. Potem podzieliliśmy między siebie bagaże — strzelby, naboje, żywność, namiot, koce i resztę — i obładowani, ruszyliśmy w znacznie trudniejszą część drogi.

Ten nowy etap zapoczątkowała niefortunna kłótnia między naszymi dwoma raptusami. Challenger bowiem od chwili dołączenia się do nas uzurpował sobie wyłączne kierownictwo wyprawą ku jawnemu niezadowoleniu profesora Summerlee. Teraz gdy wyznaczył swemu koledze-profesorowi pewne zadanie (chodziło tylko o niesienie aneroidu), rozpętała się burza.

— Pozwoli pan, że zapytam — zaczął Summerlee ze złowróżbnym spokojem — jakim prawem wydaje pan rozkazy?

Challenger zjeżył się i spojrzał groźnie,

— Jako kierownik wyprawy, profesorze Summerlee.

— A zatem muszę panu powiedzieć, że odmawiam. panu tego tytułu.

— Naprawdę?! — Challenger skłonił się niezgrabnie z głęboką ironią. — Więc może zechce pan określić, w jakim charakterze tu występuję.

— Bardzo proszę. Jest pan podejrzany o kłamstwo, a my mamy to zbadać. Wędruje pan ze swymi sędziami.

— Na Boga! — krzyknął Challenger siadając na brzegu czółna. — W takim razie idźcie, panowie, w swoją stronę, a ja pójdę w swoją. Jeśli nie jestem kierownikiem, nie będę was prowadził.

Dzięki Bogu było nas tu dwóch zdrowych na umyśle — lord John Roxton i ja — by poskromić szaleństwo naszych uczonych. Gdyby nie to, wrócilibyśmy do Londynu z niczym. Ileż musieliśmy użyć argumentów i próśb, by ich nareszcie ułagodzić! W końcu Summerlee ze swym ironicznym uśmiechem i nieodłączną fajką w zębach ruszył naprzód, a Challenger warcząc głucho i kołyszając się jak kaczką poszedł za nim. Szczęśliwym trafem odkryliśmy na czas, że obaj profesorowie byli jak najgorszego zdania o doktorze Illingworth z Edynburga. Od tej chwili ten szkocki zoolog stał się naszą niezawodną deską ratunku. W każdej napiętej sytuacji wystarczyło tylko wymienić jego nazwisko, by nasi uczeni zapomnieli o kłótni i w chwilowej zgodzie napadli na wspólnego wroga.

Idąc gęsiego wzdłuż brzegu rzeki przekonaliśmy się niebawem, że zmieniła się ona w zwykły potoczek. W końcu zupełnie nawet zginęła w wielkim zielonym mokradle porośniętym gąbczastym mchem, w którym grzęźliśmy po kolana. Chmury moskitów i innych owadów były prawdziwą plagą tego miejsca. Ucieszyliśmy się więc, kiedy stanęliśmy na twardszym gruncie. Zatoczywszy półkole między drzewami zdołaliśmy obejść to obrzydliwe mokradło, które huczało z oddali brzękiem owadów niby jakieś organy.

Drugiego dnia tej pieszej wędrówki krajobraz zaczął się zmieniać. Stale szliśmy w górę, a w miarę posuwania się naprzód las rzedniał i tracił na tropikalnym bogactwie. Olbrzymie drzewa z aluwialnej równiny Amazonki ustąpiły miejsca kępom palm daktylowych, palm kokosowych i gęstwinie poszycia. W wilgotniejszych wgłębieniach palmy Mauritia zniżały przed nami swe piękne liście rosnące wprost z pnia. Kierowaliśmy się wyłącznie kompasem i parę razy Challenger posprzeczał się z dwoma Indianami co do kierunku naszej drogi, gdy my, według własnych słów oburzonego profesora, woleliśmy „zaufać złudnemu instynktowi półdzikich ludzi, a nie wspaniałemu tworowi najnowszej europejskiej cywilizacji”. Trzeci dzień dowiódł jednak naszej racji. Challenger przyznał, że poznaje ślady poprzedniej

wyprawy, a w jednym miejscu natknęliśmy się nawet na okopcone kamienie — ślad dawnego obozowiska.

Droga szła wciąż w górę i aż przez dwa dni maszerowaliśmy usianym gładziem zboczem. Roślinność znów się zmieniła. Z drzew pozostała tylko słoniorośl z przepyszными wprost storczykami. Rozpoznałem między nimi rzadki gatunek *Nuttonia Vexillaria*, słynne jasnorożowe i szkarłatne kwiaty *Cattleya* i *Odontoglossum*. Gdzieś napotykaliśmy kamieniste, zarośnięte po brzegach paprocią strumyki, które z bulgotem rwały w dół płytkich wąwozów. Tu przy jakimś skalistym rozlewisku co wieczór rozbijaliśmy obóz i łapaliśmy na kolację małe, smakowite ryby o błękitnych grzbietach, z wielkości i budowy podobne do angielskich pstrągów.

Dziwiącego dnia tej naszej wędrówki, zrobiwszy według moich przybliżonych obliczeń ze sto dwadzieścia mil, poczęliśmy wydostawać się z lasu. Zresztą był już on. Coraz niższy i stopniowo przeszedł w krzewy. Y/chodziliśmy teraz w potężne bambusowe zarośla, tak gęste, że torowaliśmy sobie drogę wielkimi nożami i indiańskimi siekierami przypominającymi krótkie halabardy. Cały długi dzień, od siódmej rano do ósmej wieczór, z dwiema zaledwie godzinnymi przerwami, brnęliśmy przez tę przeszkodę. Trudno sobie wyobrazić równie monotonna i dłużąca się drogę! Nawet w najbardziej otwartych miejscach nie sięgałem wzrokiem dalej niż na dwanaście jardów, ale z reguły widziałem tylko plecy idącego przede mną lorda Johna i żółte ściany obok. Z góry paliły nas ostre promienie słońca, a o piętnaście stóp nad naszymi głowami na tle błękitnego nieba kotysały się wierzchołki potężnych bambusów. Nie wiem, jakie zwierzęta mieszkają w tej gęstwinie, ale wielokrotnie tuż obok coś wielkiego i ciężkiego dawało w nią nura. Z zasłyszanych dźwięków lord John wnioskował, że musi to być jakiś gatunek dzikiego bydła. Przed samym zmrokiem przerąbaliśmy się przez ten pas bambusów i znużeni i wyczerpani trudami, od razu rozbiliśmy obóz.

Ale nazajutrz o świcie, zerwawszy się na nogi, zobaczyliśmy znów inny krajobraz. Za sobą mieliśmy mur bambusów, tak wyraźny, jakby znaczył bieg rzeki. Przed nami leżała otwarta, leciutko wznosząca się równina upstrzona kępami wysokich paproci. Falowała przed nami, a gdzieś na horyzoncie zamykało ją długie górskie pasmo przypominające grzbiet wieloryba. Do tych gór doszliśmy koło południa tylko po to, by ujrzeć za nimi płytką dolinę znów łagodnie uciekającą w górę aż do niskiego, zaokrąglonego horyzontu. Tu właśnie przy przekraczaniu pierwszych wzgórz zaszedł pewien wypadek, może doniosły, a może błahy.

Profesor Challenger, który wraz z dwoma miejscowymi Indianami szedł w awangardzie, stanął nagłe i wzburzony wskazał na coś po prawej stronie. Idąc wzrokiem za jego ręką, ujrzelśmy o jakąś milę od nas coś na kształt potężnego, szarego ptaka, wolnymi zamachami skrzydeł wzbijającego się w górę i niskim, płynnym i prostym lotem ginącego w olbrzymich paprociach.

— Widział pan! — w podnieceniu wołał Challenger do profesora Summerlee. — Widział pan?

Summerlee wpatrywał się w miejsce, gdzie skrył się ów stwór.

— I uważa pan, że co to było? — zapytał.

— Jestem przekonany, że pterodaktyl. Summerlee roześmiał się pogardliwie.

— Pterobzdura — powiedział. — To był bocian nic innego.

Challengera aż zatkąło z oburzenie. Zarzucił swój ładunek na plecy i w milczeniu ruszył dalej. Ale lord John zbliżył się do mnie z twarzą poważniejszą niż zwykle. W rękę trzymał lornetkę Zeissa.

— Przyjrzałem mu się, nim zniknął — rzekł. — Nie mogę powiedzieć, co to za ptak, ale ręczę honorem, że takiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

Tak to więc wygląda. Czy rzeczywiście stoimy na progu nieznanego, na przyczółkach świata zaginionego, o którym mówi profesor Challenger? Przedstawiłem panu wypadek, tak jak był, i boję się, że będzie pan z niego wiedział tyle co ja. Poza nim nie zaszło nic nadzwyczajnego.

A teraz, moi drodzy czytelnicy, jeśli w ogóle istniejecie, przyprowadziłem was nad szeroką rzekę, po wiodłem przez zasłonę z sitowia zielonym tunelem, potem długim zboczem porośniętym palmami, przez gęste zarośla bambusów i równinę drzewiastych paproci. Cel nasz widzimy wreszcie przed sobą. Gdy przecięliśmy drugie pasmo wzgórz, ujrzałyśmy nieregularną, pokrytą palmami równinę, a za nią linię wysokich czerwonych skał, znaną mi z rysunku. Widzę ją pisząc te słowa i trudno wątpić, że jest to ta sama. Nasz obóz leży tylko o siedem mil od najbliższych skał, a ich końca nie mogę dojrzeć. Challenger chodzi dumny jak paw, a Summerlee zachowuje sceptyczne milczenie. Najbliższa przyszłość rozwieje część naszych wątpliwości. Jose, któremu złamany bambus przebił rękę, koniecznie chce wracać do domu. Korzystam z tego i jemu poruczam ten list, choć mam słabą nadzieję, by dotarł do pana. Przy pierwszej okazji napiszę znowu. Dołączam odręczną mapkę naszej drogi. Może ułatwi ona zrozumienie mego opowiadania.

ROZDZIAŁ IX KTÓŻ TO MÓGŁ PRZEWIDZIEĆ

Wydarzyło się coś strasznego. Któż to mógł przewidzieć? Nie widzę wyjścia z tego nieszczęścia. Może zostaliśmy skazani na to, by do końca życia pozostać w tym niedostępnym, dziwnym miejscu?. Trudno mi zebrać myśli i spokojnie zastanowić się nad naszym położeniem i czekającą nas przyszłością. Skołatanemu mózgowi pierwsze wydaje się straszne, a drugie czarne jak noc.

Nikt chyba jeszcze nie był w podobnych tarapatkach. Próżno usiłowałbym podać nasze geograficzne położenie i wezwać pomocy przyjaciół. Nawet gdyby, zorganizowali wyprawę ratowniczą, zginiemy na długo przed jej przybyciem do Ameryki Południowej.

Prawdę powiedziawszy, jesteśmy tak odcięci od świata, jakbyśmy byli na księżycu. Uratować nas mogą tylko zalety naszych charakterów. Za towarzyszy mam trzech niepospolitych ludzi, ludzi wielkiego rozumu i wielkiej odwagi. W tym cała nadzieja. Gdy patrzę na ich niewzruszone twarze, widzę jakiś jaśniejszy promyk w otaczającym nas mroku. Pozornie jestem chyba tak spokojny jak oni, trapią mnie jednak najczarniejsze przeczucia.

Pozwoli pan, że ze wszystkimi szczegółami, na jakie mnie stać, przedstawię bieg wypadków, które doprowadziły do katastrofy.

W końcu mego ostatniego listu pisałem, że jesteśmy o siedem mil od łańcucha olbrzymich czerwonych skał, niewątpliwie granicy wyżyny, o której mówił profesor Challenger. Gdy podchodziliśmy do nich, wydały mi się miejscami nawet wyższe, niż podawał. Czasami sięgały co najmniej tysiąca stóp. Były dziwacznie zbruzdzone, jak sądzę, w sposób charakterystyczny dla bazaltowych, wulkanicznych formacji. Coś podobnego widuje się w pobliżu Edynburga w Salisbury Crags. Na ich szczycie ujrzelśmy bujną roślinność; na brzegu chaszczę, a na dalszym planie gęsto rosnące wysokie drzewa, ale nigdzie ani śladu życia.

Tego wieczora rozbiliśmy obóz tuż pod skałami, w najdzikszym i chyba najbardziej bezludnym miejscu na świecie. Zbocze nad nami było nie tylko prostopadłe, ale i nawisłe, co nie pozwalało wspiąć się na nie. Obok wznosił się samotny wysoki, stożkowaty złom skalny, o którym uprzednio już chyba wspominałem. Był podobny do wielkiej czerwonej dzwonnicy sięgającej wyżyny, lecz oddzielonej od nie przepaścią. Na jego wierzchołku rosnęło wielkie drzewo. Skały tutaj i ten samotny złom były stosunkowo niskie, miały może pięćset – sześćset stóp wysokości.

— Na nim — powiedział Challenger wskazując na drzewo — siedział pterodaktyl. Wdrapałem się do połowy skały i wtedy go zestrzeliłem. Myślę, że taki dobry alpinista jak ja mógłby się wdrapać na sam szczyt, choć oczywiście nie zbliżyłoby go to nawet o cal do wyżyny.

Na wzmiankę o pterodaktylu spojrzałem na profesora Summerlee i po raz pierwszy dostrzegłem na jego twarzy jakby cień budzącej się wiary i lekkiego zażenowania. Zapomniał o swym szyderczym uśmiechu; wręcz przeciwnie, zdradzał niepewność, zdziwienie i podniecenie. Challenger również musiał dostrzec tę zmianę, bo upojony tym pierwszym zwycięstwem, powiedział z głębokim i wyniosłym sarkazmem:

— Oczywiście profesor Summerlee pomyśli, że mówiąc o pterodaktylu, mówię o bocianie — tylko że jest to ten rodzaj bociana, który nie ma piór, lecz za to skórę, błoniaste skrzydła i paszczę pełną zębów.

Uśmiechał się, mrużył oczy i kłaniał się, aż wreszcie Summerlee bez słowa odwrócił się i odszedł.

Rano po skromnym śniadaniu złożonym z kawy i manioku, bo musieliśmy oszczędzać zapasów, naradzaliśmy się, w jaki sposób można by się było dostać na wyżynę.

Przewodniczył Challenger z taką godnością, jakby był co najmniej sędzią najwyższego trybunału. Proszę go sobie wyobrazić siedzącego na skale w idiotycznym chłopięcym słomianym kapeluszu zsuniętym na tył głowy, patrzącego na nas z wysoko spod przymrużonych powiek, z czarną brodą kołyszącą się w takt słów, w których odmalował naszą obecną sytuację i plan dalszego działania.

Nieco poniżej siedzieliśmy we trójkę: ja, opalony, młody i tryskający zdrowiem po długiej wędrówce na świeżym powietrzu; Summerlee, uroczystry, wciąż nieufny, ukryty za dymem swej nieodłącznej fajki: lord Roxton, skupiony, muskularny, czujny, wsparty aa strzelbie i

uważnie wpatrzony w mówiącego. Za nimi stali dwaj smagli Metysi i grupka Indian — a w górze piętrzyły się olbrzymie czerwone zręby skał zagradzających nam drogę do celu.

— Nie potrzebuję chyba panom tłumaczyć — mówi! Challenger — że w czasie pierwszej wyprawy zrobiłem wszystko, by się wdrapać na wyżynę, i myślę, że tam gdzie mnie się nie udało, nie uda się nikomu, bo jestem dobrym alpinistą. Wówczas nie miałem za sobą żadnego sprzętu do wspinaczki, lecz tym razem nie zapomniałem o nim. Jestem pewien, że z jego pomocą uda mi się wdrapać na sam szczyt samotnej skały, ale co z tego? Dopóki mamy przed sobą zwisającą krawędź wyżyny, nie warto nawet próbować. Gdy byłem tu po raz pierwszy, musiałem się spieszyć, bo kończyły mi się zapasy i nadchodziła pora deszczowa. Nie miałem więc czasu i dlatego, przyznam się panom, zbadałem skały tylko na przestrzeni około sześciu mil na wschód od nas. Niestety wszędzie były równie niedostępne. Cóż zatem mamy począć?

— Skoro zbadał pan skały od wschodu — odezwał się profesor Summerlee — pozostaje nam tylko pójść ich podnóżem na zachód i poszukać jakiegoś wejścia aa wyżynę.

— Racja — zgodził się Roxton. — Należy przypuszczać, że wyżyna nie jest duża. Idźmy wkóło niej, dopóki nie znajdziemy wejścia lub nie wrócimy tutaj.

— Tłumaczyłem już naszemu młodemu przyjacielowi — zaczął Challenger (zwykł mówił o mnie jak o dziesięcioletnim sztubaku) — że wyżyna musi być trudno dostępna, bo inaczej nie pozostałaby odizolowana. Nie powstałyby wtedy te szczególne warunki, które nie zgadzają się z ogólnymi prawami rozwoju. Jednakże przyznaję, że musi tu istnieć jakieś wejście i zejście dostępne dla wytrawnego alpinisty, lecz niedostępne dla ciężkich i wielkich zwierząt. To chyba nie ulega wątpliwości.

— Skąd ta pewność? — szorstko zapytał Summerlee.

— Stąd, że mój poprzednik, Amerykanin Mapie White, musiał się dostać na górę. Bo jakże inaczej zobaczyłby te potwory, które narysował?

— Wybiega pan myślą poza stwierdzone fakty — upierał się Summerlee. — Przyznaję, że mówił pan prawdę o wyżynie, bo ją widzę, ale to jeszcze nie znaczy, że jest na niej życie.

— Co pan przyznaje lub czego pan nie przyznaje, to mało ważne. Rad jestem jednak, że istnienie tej wyżyny dotarło do pańskiej świadomości.

Przy tych słowach Challenger spojrział w górę i nagle, ku naszemu zdziwieniu, zeskoczył ze skały, schwycił profesora Summerlee za brodę i zadart mu głowę.

— Mol — krzyknął głosem ochryłym z podniecenia — Pomogę panu zobaczyć żywe stworzenie na wyżynie!

Pisałam już, że krawędź skał porastały gęste chaszczce. Z nich wyjrzało teraz coś czarnego i lśniącego. Gdy wypetzło i zawisło wreszcie nad przepaścią, ujrzeliśmy olbrzymiego węża z dziwnie płaskim, łopatowatym łbem. Przez chwilę kołysał i chwiał się nad nami, a promienie rannego słońca lśniły na gładkich zwojach jego cielska. Potem wolno cofnął się i znikł.

Summerlee tak był zaciekawiony, że stał jak wryty, z głową zadartą w mocnym chwycie Challengera, Ale po chwili uwolnił się z jego rąk i odzyskał dawną godność.

— Życzyłbym sobie, panie profesorze — powiedział — by pan czynił swoje uwagi bez chwytania mnie za brodę. Podobnie bezceremonialnego zachowania nie usprawiedliwia, nawet widok zwykłego skalnego pytona.

— A jednak jest jakieś życie na wyżynie — odparł z triumfem Challenger. — Teraz, po stwierdzeniu tego doniosłego faktu, któremu nie potrafiłby zaprzeczyć nawet najbardziej tępy i nieufny człowiek, nie pozostaje nam nic innego jak zwinąć obóz i ruszyć na zachód w poszukiwaniu miejsca dogodnego dla wspinaczki.

Teren u podnóża skał był kamienisty i pocięty szczelinami, szliśmy więc wolno i z trudem. Niespodziewanie jednak natknęliśmy się na coś, co dodało nam ducha. Były to ślady jakiegoś starego obozowiska. Świadczyły o tym liczne porzucane puszkami po konserwach z napisem Chicago, pusta butelka z etykietą Brandy, złamany nóż do otwierania konserw i inne podobne przedmioty. Stwierdziliśmy, że zmięte i podarte szczątki gazety są resztkami „Chicago Democrat”, ale data na nich była, niestety, zatarta.

— Ja tu nie obozowałem — zapewnił Challenger — to musiał być Mapie White.

Lord Roxton ciekawie przyglądał się wielkiemu drzewu paproci rzucającemu cień na stare obozowisko.

— Spójrzcie, panowie — powiedział. — Zdaje mi się, że to służy za drogowskaz.

Kawałek drzewa przybity do pnia wskazywał na zachód.

— Na pewno drogowskaz — rzekł Challenger — Cóż by innego? Nasz pionier, znalazłszy się w opałach, pozostawił ten znak, by jego następcy wiedzieli, w jakim kierunku się udać. Być może dalej natrafimy na nowe ślady.

Miał rację. Niestety tym razem niespodzianka była o wiele straszniejsza. Tuż pod skałami rósł zagajnik wysokich bambusów, podobny do tego, który już raz przebyliśmy. Wiele z nich sięgało dwudziestu stóp wysokości i miało mocne, ostre wierzchołki, czym przypominały las potężnych włócznie zatkniętych w ciemność. Szliśmy właśnie brzegiem tego zagajnika, gdy dostrzegłem coś bielejącego między łodygami bambusów. Wsunąłem głowę między nie i ujrzałem ludzką czaszkę. W głębi zobaczyłem cały szkielet, ale bez głowy, która odpadła i leżała o parę stóp bliżej.

Indianie paroma cięciami swych noży oczyścili miejsce z bambusów, mogliśmy więc zbadać szczegóły tragedii, jaka się ta niegdyś rozegrała. Z ubrania pozostały na szkielecie tylko strzepy, natomiast dość dobrze zachowały się resztki butów na wyschłych stopach. Jasne więc było, że zmarły był białym. Wśród kości leżał złoty zegarek firmy Hudson w Nowym Jorku, wieczne pióro na łańcuszku i srebrna papierośnica z wygrawerowanym napisem J.C. od A.E.S

Ze sianu złota i srebra wynikało, że dramat wydarzył się niedawno.

— Kto to mógł być? — napytał lord Roxton. — Biedak. Wszystkie kości ma pogruchotane.

— A bambusy sterczą mu między połamanymi zebrami — powiedział Summerlee. — Rosną wprawdzie szybko, ale trudno przypuścić, żeby aż tak urosły po jego śmierci.

— Ja wiem, kto to był — rzekł profesor Challenger. — Trudno wątpić. Kiedy płynąłem w górę rzeki na spotkanie z panami w fazendzie, postarałem się dowiedzieć bliższych,

szczegółów o osobie Mapie'a White'a, W Para nic o nim nie wiadano, Na szczęście miałem punkt zaczepienia, bo w jego szkicownika był rysunek przedstawiający go przy śniadania z pewnym duchownym w Rosario. Udało mi się odszukać tego księdza i choć był bardzo kłótniwy i jak amen obraził się na mnie za twierdzenie, że jego wiara nie może się ostać postępom nauki, udzielił mi pewnych informacji. Mapie White bawił przejazdem w Rosario cztery lata temu, to znaczy na dwa lata, zanim ujrzałem jego zwłoki. Towarzyszył mu wówczas jego przyjaciel, Amerykanin nazwiskiem James Colver, który pozostał w łódce i nie widział się z księdzem. Jasne jest zatem, że patrzymy na szczątki tego Jamesa Colvera.

— Jasne jest też, jaką śmiercią zginął — powiedział lord Roxton. — Spadł albo go zepchnięto z wyżyny i nadział się na bambusy jak na pale. Dlatego ma połamane kości, a bambusy sterczą mu między zebrami na dwadzieścia stóp wysoko.

Patrząc na ten dowód słuszności słów Roxtona staliśmy w głuchym milczeniu nad pogruchotanym szkieletem. Nawisły szczyt skały sterczał nad gąszczem bambusów. Ten człowiek niewątpliwie z niej spadł Ale czy spadł? Czy był to zwykły wypadek? Czy też... poczęliśmy już snuć złowieszcze i straszne domysły wokół tej nieznaney krainy.

Odeszliśmy bez słowa i ruszyliśmy dalej wkoło skalnego muru, równego i nieprzerwanego jak te olbrzymie antarktyczne lodowce, które widywałem na obrazach, zajmujące cały horyzont i wyniesione wysoko nad maszty stojących przy nich statków. Na przestrzeni pięciu mil nie dojrzeliliśmy w tych skałach najmniejszej szczeliny czy rysy. Aż nagle zobaczyliśmy coś, co natchnęło nas nową nadzieją. W skalnym wgłębieniu, osłonięta przed deszczem, widniała nakreślona z grubsza kredą strzałka zwrócona ostrzem na zachód.

— I znów Mapie White — odezwał się Challenger. — Musiał przeczuwać, że jakiś godny następcą pójdzie jego śladem.

— Czy miał kredę?

— Pudełko barwnych. kredek znalazłem między rzeczami w plecaku. Przypominam sobie, że biała była zużyta do szczętu.

— To zupełnie pewna wskazówka — rzekł Summerlee. — Przyjmijmy ją do wiadomości i idźmy ciągle na zachód.

Uszliśmy dalsze pięć mil i znów zobaczyliśmy białą strzałkę na skale. Było to w miejscu, gdzie po raz pierwszy wąska szczelina zarysowała równą dotąd gładź urwiska. W tej szczelinie znaleźliśmy nowy znak. Czubek strzałki był nieco uniesiony, jakby to, co wskazywał, znajdowało się ponad ziemią.

Rozpadlina ta miała w sobie coś uroczystego: skalne ściany były tak wysokie, a skrawek błękitnego nieba między nimi tak mały i zaciemniony przez rosnące na szczycie rośliny, że tylko słabe, przyćmione światło przenikało na jej dno. Od wielu godzin nie mieliśmy nic w ustach, wyczerpała nas nużąca wędrówka po kamieniach, a jednak napięte nerwy nie dały nam spocząć. Kazaliśmy Indianom rozbić obozowisko i we czwórkę wraz z dwoma Metysami ruszyliśmy w górę wąskiej gardzieli.

Miała ona najwyżej czterdzieści stóp szerokości u wylotu, a przy końcu załamywała się nagle pod ostrym, kątem. Strome i gładkie ściany nie pozwalały wdrapać się wyżej. Na pewno nie była to ta droga, którą chciał wskazać nasz poprzednik.

Zawróciliśmy już — gardziel miała najwyżej ćwierć mdli głębokości — gdy nagle bystry wzrok lorda Johna dostrzegł to, czego szukaliśmy. Wysoko nad naszymi głowami, w głębokim cieniu, wyraźnie rysowała się czarniejsza plama. Musiał to być wylot jaskini.

U stóp skały leżał zwał luźnych głazów, po których łatwo było się wspiąć. Gdy doszliśmy do wspomnianej plamy, nie pozostało już żadnych wątpliwości. Ujrzelśmy nie tylko wejście do jaskini, ale i na ścianie przy nim nową strzałkę. A więc tędy i w ten sposób Mapie White i jego nieszczęsny towarzysz dostali się na wyżynę.

Byliśmy zbyt podnieceni, by wracać do obozu. Musieliśmy natychmiast rozpocząć wstępne badania. Lord John miał w plecaku latarkę elektryczną, ruszył więc pierwszy rzucając przed siebie jasny krąg żółtego światła, a my gęsiego szliśmy tuż za nim.

Jaskinię najwidoczniej rozmyła woda, bo ściany były gładkie, a dno usiane otoczkami. Można było iść nią tylko zgarbionym i w pojedynkę. Wchodziła prawie prosto w skałę na pięćdziesiąt jardów, a potem skręcała w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Niebawem stała się jeszcze bardziej stroma, tak że musieliśmy pełznąć na czworakach po luźnych i usuwających się kamykach. Nagle lord Roxton wykrzyknął:

— Przejście zatarasowane!

Stłoczeni za nim, ujrzelśmy w blasku żółtego światła zaporę z bazaltowych głazów spiętrzonych aż po sklepienie.

— Zawałiła się!

Daremnie usunęliśmy parę głazów. W rezultacie większe z nich straciły oparcie. Groziły zawaleniem i zmiżdżeniem nas wszystkich. Pokonanie tej przeszkody przekraczało nasze siły. Droga, którą Mapie White wszedł na górę, już nie istniała.

Zgnębieni, wróciliśmy bez słowa ciemnym tunelem do obozu.

Jednakże nim opuściliśmy gardziel, zaszedł pewien wypadek, ważny dla późniejszych wydarzeń.

Sialiśmy całą grupką na dnie rozpadliny, o jakieś czterdzieści stóp poniżej wylotu jaskini, gdy nagle wielki głaz stoczył się w dół i z rozpędem przeleciał obok nas. Ledwie uszliśmy z życiem. Nie wiedzieliśmy, skąd spadł, ale Metysi, którzy zatrzymali się przy jaskini, twierdzili, że przeleciał obok nich i dla tego musiał spaść ze szczytu. Wśród zielonej dżungli porastającej wyżynę nie dostrzegliśmy jednak najmniejszego ruchu. Mimo to niewątpliwie celowano w nas. A zatem tam w górze musiały być jakieś ludzkie i najwidoczniej wrogie istoty!

Wstrząśnięci tym wypadkiem i przerażeni skutkami, jakie mógł za sobą pociągnąć, szybko wycofaliśmy się z rozpadliny. Zadanie nasze i tak już było trudne, ale jeśli do przeszkód stawianych przez naturę miał dojść rozmyślny opór człowieka, nie mieliśmy na co liczyć. Patrząc na piękną obwódkę zieleni na skałach o kilkaset stóp nad naszymi głowami, żaden z nas nie pomyślał jednak, że może warto by poniechać dalszych prób zgłębienia tajemnicy i wrócić do Londynu.

Po dokładnym przeglądzie wydarzeń postanowiliśmy iść dalej wkoło wyżyny, w nadziei, że znajdziemy wreszcie jakiś inny sposób dostania się na górę. Linia skał, znacznie już niższych, poczęła się odchyłać z zachodu na północ i gdybyśmy ją przyjęli za łuk koła, jego

obwód musiałby być nieduży. W najgorszym więc wypadku za parę dni musieliśmy wrócić do punktu wyjściowego.

Tego dnia przebyliśmy ze dwadzieścia dwie mile bez żadnych lepszych widoków na przyszłość. Według naszego aneroidu od chwili porzucenia czóten weszliśmy stopniowo na wysokość przynajmniej trzech tysięcy stóp nad poziom morza. Stąd ta kolosalna zmiana temperatury i otaczającej nas roślinności. Pozbyliśmy się już owych strasznych owadów, które są przekleństwem tropikalnych wypraw. Czasem jeszcze spotykaliśmy palmy i wiele olbrzymich paproci, ale drzewa znad brzegów Amazonki pozostały za nami. Z przyjemnością patrzyłem na powój, męczennicę i begonie, które tu, wśród tych niegościnnych skał, przypominały mi dom. Dojrzałem czerwoną begonię, taką samą jak ta w oknie pewnej willi w Streatham... ale zbaczam na osobiste tory...

Owej nocy— ciągle mówię o pierwszym dniu naszej okrężnej drogi wkoło wyżyny — czekała nas doniosła przygoda, i to taka, która do reszty rozwiata wątpliwości co do czających się w pobliżu dziwów.

Czytając moje sprawozdanie, drogi panie McArdle, dojdzie pan zapewne — i może po raz pierwszy — do wniosku, że redakcja nie wysłała mnie na jakąś bezsensowną wyprawę i że rewelacyjne artykuły czekają świat, gdy tylko profesor pozwoli mi je wydrukować. Nie ośmieliłbym się tego zrobić, zanim nie wrócę do Anglii z niezaprzeczalnymi dowodami, bo nie chciałbym, by przyłgnęło do mnie miano dziennikarskiego Munchhausena wszystkich czasów. Nie wątpię, że pan podziela to zdanie i że nie zechce pan narazić na ryzyko dobrej opinii „Gazety” do czasu, gdy chóralnym głosem krytyki i niewiary, jakie podobny artykuł musi wywołać, będziemy mogli przeciwstawić konkretne dowody. A zatem ten niezwykle wypadek, który by dostarczył szumnego tytułu naszej pocziwej gazecie, musi czekać na swą kolej w pańskiej tece. Zaszedł błyskawicznie i nie pociągnął za sobą żadnych następstw prócz wywartego na nas wrażenia.

Oto co się wydarzyło: lord John zastrzelił aguti — małe zwierzątko przypominające świnię. Jedną połowę daliśmy Indianom, a drugą piekliśmy dla siebie na ogniu. Po zachodzie słońca jest tu chłodno, skupiliśmy się więc przy ognisku. Noc była bezksiężycowa, ale świeciło parę gwiazd, można więc było widzieć na kilka kroków. Nagle z ciemności, z głębi nocy, wypadło coś z gwizdem, jaki wydaje samolot. Błoniaste skrzydła okryły nas na chwilę niby baldachim. Przez sekundę widziałem jak we śnie długą, węzowatą szyję, dzikie, czerwone, krwiożercze oko i wielki kłapiący dziób, ku memu zdziwieniu zbrojny w małe, błyszczące zęby. Za chwilę widziadło znikło, a z nim — nasza kolacja. Potężny, czarny cień, ze dwadzieścia stóp szeroki, lekko uniósł się w górę; potworne skrzydła zakryły gwiazdy, a potem stwór skrył się za skalnym występem nad nami. Skamieniali siedzieliśmy wokół ogniska jak bohaterowie Wergiliusza, kiedy opadły ich harpie. Summerlee pierwszy przerwał milczenie.

— Profesorze Challenger — powiedział głosem uroczystym i drżącym ze wzruszenia. — Muszę pana przeprosić. Nie miałem racji i proszę, niech pan zapomni o przeszłości.

To było ładnie z jego strony i ci obaj ludzie po raz pierwszy podali sobie ręce. Tyle przyniósł nam widok pierwszego pterodaktyla. Warto było stracić kolację dla zgody między dwoma takimi ludźmi.

Jeśli jednak prehistoryczne stworzenia zachowały się na wyżynie, musiało ich być mało, bo przez następne trzy dni nie zobaczyliśmy żadnego.

Przez ten czas przecięliśmy krainę ubogą i niegościnną na północ i wschód od skał, przechodzącą kolejno to w kamienistą pustynię, to w nieprzebyte bagna pełne dzikiego ptactwa. Od tej strony wyżyna jest zupełnie niedostępna, a gdyby nie twardsze występy tuż u podnóża skalistej ściany, musielibyśmy zawrócić. Nieraz zapadaliśmy się po pas w lepki, bulgoczący muł odwiecznego podzwrotnikowego mokradła. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że to miejsce było istną wylęgarnią węży jaracaca, najjadowitszych i najbardziej agresywnych w całej Ameryce Południowej. Raz po raz te groźne gady wijąc się i skacząc po cuchnącym bagnie rzuciły się na nas i tylko dzięki naszym strzelbom utrzymanym w pogotowiu zdołaliśmy się od nich uchronić. Na zawsze, jak koszmarną zmore, zachowam w pamięci zwłaszcza jedno bagniste wgłębienie, jasnozielone od gnijących roślin. Było chyba największym siedliskiem tych gadów. Roily się po brzegach i atakowały nas, bo te węże zawsze pierwsze napadają człowieka. Za dużo ich było jak na nasze strzelby, wzięliśmy więc nogi za pas i uciekliśmy co tchu. Nigdy nie zapomną obrazy łbów i szyj naszych strasznych prześladowców, ginących i wynurzających się z trzciny za nami. Na mapie, którą sporządzamy, nadaliśmy temu trzęsawisku nazwę „Bagno Jaracaca”.

Tutaj skały straciły już swój czerwony kolor i nabrały czekoladowego odcienia. Zniżyły się też do trzystu, czterystu stóp, roślinność na szczycie zrzęda, ale nigdzie nie odkryliśmy miejsca sprzyjającego podejściu. Teraz byłoby to nawet trudniejsze niż tam, gdzieśmy po raz pierwszy ujrzeli urwisko. Jego stromość wyraźnie widać na moim zdjęciu zrobionym z kamienistej pustyni.

— Woda deszczowa — powiedziałem, gdy omawialiśmy sytuację — spływa którąś w dół. W skałach muszą być jakieś odpływy.

— Nasz młody przyjaciel — odparł profesor Challenger klepiąc mnie po ramieniu — miewa czasem przebłycki inteligencji.

— Woda musi którąś spływać — powtórzyłem.

— Tak, umie myśleć realnie. Ale cały szkopuł w tym, że jak przekonaliśmy się na własne oczy, takich odpływów nie ma.

— Więc gdzie się woda podzięwa? — upierałem się przy swoim.

— Sądzę, że skoro nie wypływa na zewnątrz, uchodzi do wewnątrz.

— A zatem w środku wyżyny powinno być jezioro.

— Tak myślą.

— Prawdopodobnie tym jeziorem jest stary krater — wtrącił Summerlee. — Ta cała formacja jest wulkanicznego pochodzenia. Tak czy owak, myślę, że na wyżynie znajdziemy wgłębienie z wielkim jeziorem w środku, z którego woda uchodzi podziemnymi kanałami do Bagna Jaracaca.

— A może parowanie równoważy opady — powiedział Challenger i obaj uczeni wdali się w zwykłe dysputy, które dla laików brzmiały jak chińszczyzna.

Szóstego dnia zakończyliśmy wędrówkę wokół urwiska stając w naszym starym

obozowisku u podnóża samotnej skały. Byliśmy zrozpaczeni, bo mimo niezwykle drobiazgowych poszukiwań nie odkryliśmy miejsca, gdzie najenergiczniejszy nawet człowiek mógłby się porwać na wspinaczkę. Droga wskazana przez strzałki Maple'a White'a, którą on sam się tam dostał, była teraz zamknięta.

Cóż mieliśmy robić? Nasze zapasy żywności plus to, co upolujemy, mogły nam na czas jakiś wystarczyć, ale kiedyś trzeba je będzie uzupełnić. Za parę miesięcy pora deszczowa wypędzi nas z obozu. Skała była twardsza od marmuru i nie zdążylibyśmy przez ten czas wyrąbać w niej stopni aż na szczyt. Nic więc dziwnego, że tego wieczora patrzyliśmy na siebie ponuro i niemal bez słowa wpełzliśmy pod koce. Ostatnie moje wspomnienie z owego dnia przed zapadnięciem w sen to widok Challengeera siedzącego w kucki przy ogniu jak olbrzymia żaba. Wielką głową wsparł na obu rękach i tak zatonął w myślach, że nawet nie odpowiedział na moje dobranoc.

Ale nazajutrz powitał nas zupełnie inny Challenger. Challenger promieniejący radością, nieskończenie zadowolony z siebie. Gdy zebraliśmy się przy śniadaniu, patrzył na nas z obtudną skromnością jak ktoś, kto chce powiedzieć: „Wiem, że zasłużyłem na pochwały, ale proszę, powstrzymajcie się od nich i oszczędźcie mi rumieńców”. Wypiął pierś i wsunął dłoń za poję marynarki, a włosy na brodzie zjeżyły mu się triumfalnie. Tak pewnie wyobrażał sobie czasem, własny pomnik, zdobiący jeden z pustych piedestałów na Trafalgar Square, jeszcze jedną zmoreń ulic Londynu.

— Eureka! — wykrzyknął błyskając białymi zębami spoza brody. — Panowie, możecie powinszować mnie i sobie. Rozwiązałem problem.

— Znalazł pan drogę na górę?

— Śmiem tak przypuszczać.

— Gdzież ona?

W odpowiedzi wskazał spiczastą skałę na prawo od nas.

Nasze twarze, a przynajmniej moja, wydłużyły się na ten widok.

Wiedzieliśmy z zapewnień Challengeera, że można się na nią wdrapać. Jednakże od wyżyny oddzielała ją głęboka przepaść.

— Nie przedostaniemy się tamtędy — westchnąłem.

— W każdym razie wszyscy wejdziemy na szczyt skały — odparł. — A wtedy może dowiodę panom, że pomysłowemu człowiekowi nigdy nie brak konceptu.

Po śniadaniu rozwiąaliśmy pakunek, w którym Challenger przywiózł sprzęt do wysokogórskiej wspinaczki. Profesor wyjął zwój nadzwyczaj mocnej a zarazem lekkiej liny długości stu pięćdziesięciu stóp, raki, klamry i inny ekwipunek. Lord John był wytrawnym alpinistą, Summerlee też już nieraz brał udział w różnych, wyprawach, górskich, tak że tylko ja w całym towarzystwie byłem nowicjuszem. Jednakże siła i młodość mogły mi zastąpić brak doświadczenia. W gruncie rzeczy zadanie było łatwe, choć chwilami włosy stawały mi dęba na głowie. Pierwsza część drogi przeszła gładko, ale później skała robiła się coraz bardziej stroma, aż wreszcie, na ostatnich pięćdziesięciu stopach, dosłownie czepialiśmy się palcami rąk i nóg każdego mikroskopijnego występu czy wgłębienia. Ani ja, ani Summerlee nie pokonalibyśmy tych trudności, gdyby Challenger nie stanął pierwszy na

szczycie (ze zdumieniem patrzyłem, jak zwinnie poruszał się ten niezgrabny człowiek) i nie obwiązał końca liny wokół pnia olbrzymiego drzewa. Z jej pomocą zdołaliśmy wkrótce przedostać się przez zębaty skraj skały i nareszcie znaleźliśmy się na małej porośniętej trawą platformie, która stanowiła szczyt góry i miała ze dwadzieścia pięć stóp w kwadracie.

Kiedy nabrałem tchu po karkołomnej wspinaczce, uderzył mnie przede wszystkim wspaniały widok przebytej przez nas drogi. Zdawało się, że cała brazylijska równina leży pod nami. Ciągnęła się daleko i ginęła gdzieś w lekkiej, błękitnej mgiele na odległym horyzoncie. Na pierwszym planie widziałem zbocze usiane skałami i upstrzone paprociami drzewiastymi; nieco dalej, mniej więcej pośrodku, patrząc ponad górskim siodłem, mogłem dojrzeć zielono-żółty gąszcz zarośli bambusowych. Potem roślinność przybierała na bogactwie, aż wreszcie przechodziła w olbrzymie, nie objęte okiem lasy, ciągnące się dobre dwa tysiące mil dalej.

Upajałem się tym cudownym krajobrazem, kiedy nagle poczułem na ramieniu ciężką dłoń profesora Challengera.

— Tu trzeba patrzeć, mój młody przyjacielu — powiedział. — *Vestigia nulla retrorsum*. Nigdy nie patrzeć w tył, lecz zawsze ku doniosłemu celowi.

Odwróciwszy się ujrzałem wyżynę na jednym z nami poziomie. Zdawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, by dotknąć zielonych, chaszczy i rzadko rosnących drzew. Wprost nie mieściło się w głowie, jak bardzo były niedostępne. Na pierwszy rzut oka przepaść dzieląca nas od wyżyny miała czterdzieści stóp szerokości, ale moim zdaniem równie dobrze mogła mieć i czterdzieści mil. Objąłem drzewo jedną ręką i przechyliłem się przez kraj skały. Daleko w dole ujrzałem małe ciemne figurki naszych towarzyszy spoglądających ku nam. Z tej strony skała urywała się prostopadłe, jak i ta, którą miałem przed sobą po drugiej stronie przepaści.

— To wprost nie do wiary — rozległ się skrzekliwy głos profesora Summerlee.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że z wielkim zaciekawieniem patrzy na drzewo, którego się trzymałem. Gładka kora i małe, pożytkowane liście wydały mi się znajome.

— Czyż być może! — wykrzyknąłem. — Buk!

— Tak jest — powiedział Summerlee. — Rodak w obcym kraju.

— Nie tylko rodak, mój łaskawco — rzekł Challenger — ale jeśli wolno mi rozszerzyć to porównanie, i pierwszorzędnym sprzymierzeniec. Ten buk może się stać naszym wybawcą.

— U licha! — wykrzyknął lord John. — Most...

— Tak jest, przyjaciele, most! Nie darmo przez godzinę wczoraj w nocy wyteżądałem umysł zastanawiając się nad wyjściem z sytuacji. Pozwoliłem sobie już raz zauważyć wobec naszego młodego przyjaciela, że George Edward Challenger najlepiej się czuje, gdy jest przyparty do muru. Przyznacie chyba, że wczoraj los przyparł nas do muru. Ale tam gdzie siła woli i rozum idą w parze, zawsze znajdzie się wyjście. Należało wymyślić most zwodzony, który udałoby się przerzucić nad przepaścią. Rozumiecie!

Był to doprawdy genialny pomysł. Drzewo miało dobrych sześćdziesiąt stóp wysokości i gdyby tylko padło prawidłowo, połączyłoby obie krawędzie skał. Challenger podał mi siekierkę, którą przewiesił sobie przez ramię wyruszając z obozu.

— Nasz młody przyjaciel ma mocne muskuły i ścięgną — powiedział — myślę więc, że najbardziej nada się do tej roboty. Muszę jednak pana prosić, by się pan wyrzekł samodzielnego myślenia i ślepo mnie słuchał.

Pod jego kierunkiem głęboko naciąłem drzewo z właściwej strony. Rosło już dobrze pochylone ku wyżynie, zadanie nie było więc trudne. Teraz ostro zabrałem się do roboty na zmianę z lordem Johnem. Po jakiejś godzinie takiej pracy rozległ się głośny trzask, drzewo przechyliło się w przód i runęło grzebiąc gałęzie korony w krzakach po drugiej stronie przepaści. Przeżyliśmy jednak chwilę mrozącej krew w żyłach niepewności, czy drzewo nie zleci w dół, bo pień, przecięty u podstawy, zatoczył się na skraj urwiska. Zakotyssał się jednak na parę cali od jej brzegu i stanął. Most w nieznanie został przerzucony.

Bez słowa uścisnęliśmy rękę profesora Challengega, który każdemu z nas skłonił się głęboko słomkowym kapeluszem.

— Uważam, że mam prawo przejść pierwszy do nieznanego kraju... będzie to bez wątpienia tematem przyszłego historycznego obrazu.

Zbliżył się już do mostu, gdy lord John złapał go za marynarkę.

— Drogi panie — zawołał — doprawdy nie mogę się na to zgodzić.

— Nie może się pan na to zgodzić?! — profesor zadartł głowę i wysunął brodę.

— Kiedy chodzi o sprawy naukowe, słucham pana bez zastrzeżeń, bo pan jest uczonym. Ale na moim podwórku musi pan mnie słuchać.

— Na pańskim podwórku?...

— Każdy z nas ma swój zawód. Moim jest żołnierka. Wydaje mi się, że wyruszamy na podbój nowego kraju, w którym na każdym kroku może czyhać jakiś wróg. Nie uważam, „żeby ślepe rzucanie się w bój z braku odrobiny rozsądku i cierpliwości było dobrą taktyką.

Racja była tak oczywista, że nie można było jej zaprzeczyć. Challenger potrząsnął tylko głową i wzruszył ramionami.

— Więc cóż pan proponuje?

— Może w tych krzakach plemię kanibalów czeka na śniadanie — odpartł lord John spoglądając ku wyżynie. — Działajmy więc przezornie, by im nie wpaść do garnka. Miejmy nadzieję, że nie czeka nas żadne niebezpieczeństwo, ale liczymy się z nim. Malone i ja zejdziemy w dół i wrócimy z czterema sztucercami, Gomezem i drugim Metysem. Potem jeden z nas, ubezpieczony strzelbami innych, przejdzie na wyżynę i zbada, czy reszta może pójść za nim bez obawy.

Challenger siadł na ściętym pniu i zniecierpliwiony mrucał coś pod nosem. Jednakże ja i Summerlee zgodziliśmy się, że w podobnych okazjach lord John winien objąć kierownictwo. Teraz, gdy lina zwisała nad trudniejszą partią ściany, wspinaczka była już łatwa. W godzinę wnieśliśmy na górę sztucery, i dubeltówkę. Metysi weszli za nami i zgodnie z rozkazem lorda Johna przynieśli worek żywności na wypadek, gdyby nasza pierwsza wyprawa na wyżynę miała trwać dłużej. Każdy z nas przypiął sobie ładownicę z nabojami.

— A teraz, profesorze Challengega, jeżeli chce pan pierwszy tam stanąć, może się pan przeprawiać — powiedział lord John, gdy zakończyliśmy przygotowania.

— Bardzo jestem panu zobowiązany za łaskawe pozwolenie — odparł profesor gniewnie (nie widziałem jeszcze człowieka tak drażliwego na punkcie swego autorytetu). — Skoro pan mi wspaniałomyślnie zezwala, podejmę się roli pioniera.

Siadł na drzewo, zwiesił nogi nad przepaścią, siekierkę przerzucił przez plecy i posuwając się okraciem, niebawem dotarł do brzegu wyżyny. Wdrapał się na nią i wywijając rękami począł wołać:

— Nareszcie! Nareszcie!

Patrzyłem na niego niespokojnie. Trapił mnie dziwny lęk, że lada chwila zza zielonej kurtyny za jego plecami spadnie nań jakieś nieszczęście. Ale wkoło panował spokój i tylko spod nóg Challengera wzbił się w powietrze dziwaczny, wielobarwny ptak i znikł wśród drzew.

Summerlee przeprawił się drugi. Zadziwiająca rzecz, ile energii może się mieścić w tak wątłym ciele. Uparł się, że przewiesi sobie aż dwa sztucery przez plecy, alby obaj profesorowie byli uzbrojeni. Potem przyszła kolej na mnie. Całą siłą woli usiłowałem nie patrzeć w straszną otchłań pode mną. Summerlee podał mi kolbę swego sztucera i w chwilę potem mogłem już uchwycić jego rękę. Lord John zaś przeszedł... dosłownie przeszedł po pniu, wyprostowany, nie trzymając się niczego! Musi mieć stalowe nerwy.

A więc stanęliśmy tu we czwórkę w tej bajkowej krainie, zaginionym świecie Maple'a White'a. Była to chwila naszego najwyższego triumfu. Któż mógł przewidzieć, że będzie też wstępem do najstraszniejszego nieszczęścia? W krótkich słowach opowiem, jak spadek na nas miazdzący cios.

Odeszliśmy od krańca przepaści na jakieś pięćdziesiąt jardów w głąb zarośli, gdy wtem okropny trzask przeszył powietrze. Wiedzeni jedną myślą, rzuciliśmy się z powrotem. Most znikł!

Przechyliwszy się przez krawędź skał, ujrzałem na samym dole przepaści splątaną masę gałęzi i potrzaskany pień. Był to nasz buk. Czyżby ukruszył się brzeg skalnej platformy i drzewo spadło? Przez chwilę tak myśleliśmy. Ale zaraz potem zza szczytu skały wyjrzała ostrożnie smagła twarz Metysa Gomeza. Tak, to był Gomez, ale nie ten Gomez skromnie uśmiechnięty i z zagadkowym obliczem. Widzieliśmy twarz wykrzywioną grymasem i pałające oczy. Twarz o rysach skażonych nienawiścią i szaleńczą radością z dokonanej zemsty.

— Lordzie Roxton! — krzyknął. — Lordzie Juhnne Roxton!

— No — odparł nasz towarzysz — jestem. Głośny rechot doleciał z tamtej strony przepaści.

— Tak, jesteś tam, ty angielski psie. I tam zostaniesz! Czekąłem cierpliwie, aż los się do mnie uśmiechnie. Ciężko ci było wejść na górę, ale jeszcze ciężiej będzie zejść na dół. Przeklęci głupcy, wpadliście w pułapkę, wszyscy!

Patrzyliśmy oniemiały ze zdziwienia.

Na trawie leżał wielki złamany konar, którym, Gomez musiał się posłużyć przy zepchnięciu naszego mostu. Twarz Metysa znikła, ale za chwilą znów się ukazała pałając jeszcze większą nienawiścią.

— *O mały włoś nie zabiliśmy was głazem w pieczarze! — zawołał. — Ale ta śmierć jest gorsza. Przyjdzie wolniej i będzie straszniejsza. Wasze kości zbieleją na wyżynie i nikt się nie dowie, gdzie leżą. Nikt też nie przyjdzie was pogrzebać. A gdy będziesz umierał, lordzie Roxton, pomyśl o Lopezie, którego parę lat temu zastrzeliłeś nad rzeką Putumayo. To był mój brat i teraz mogę nawet umrzeć, szczęśliwy, bo pomściłem jego śmierć.*

Pogroził nam jeszcze zaciśniętą pięścią i znów zapanowała cisza.

Gdyby ten mieszaniec wywarł zemstę a potem uciekł, wszystko mogłoby się dla niego dobrze skończyć. Ale nieodparte, szaleńcze, iście romańskie zamiłowanie do dramatyczności przypieczętowało jego los. Roxton, zwany w trzech krajach Biczem Bożym, nie należał do ludzi, z których można drwić bezkarnie. Metys schodził po przeciwnej stronie skały, ale zanim dotknął ziemi, lord John zdążył dobiec brzegiem wyżyny do miejsca, skąd mógł go dobrze widzieć. Wystrzelił tylko raz i choć nic nie mogliśmy dojrzeć, usłyszeliśmy jęk i daleki odgłos padającego ciała. Roxton wrócił do nas z twarzą niewzruszoną, jakby wykutą z granitu.

— *Byłem bezdennym głupcem — powiedział z goryczą. — To przez moją głupotę spadło na was nieszczęście. Powinienem być mieć się na baczności i pamiętać, że ci ludzie nie zapominają o zemście rodowej.*

— *A co się stało z tym drugim? Gomez sam nie zepchnąłby drzewa.*

— *Mogłem go zastrzelić, ale pozwoliłem mu uciec. Może nie brał w tytu udziału. Kto wie jednak, czy i jego nie należało zabić, bo jak pan mówi, musieli działać we dwóch.*

Teraz, kiedy już zrozumieliśmy motywy czynu Gomeza, poczęliśmy przypominać sobie jego różne podejrzanе sprawki: upartą chęć poznania naszych planów, podstuchiwanie pod namiotem, ukradkowe, nienawistne spojrzenia, na których przytapywaliśmy go od czasu do czasu. Rozmawialiśmy o tym usiłując otrząsnąć się z nową sytuacją, gdy niezwykła scena na równinie zwróciła naszą uwagę.

Jakiś biało ubrany człowiek, a więc tylko pozostały przy życiu Metys, uciekał co sił, jakby go śmierć goniła. O parę jardów za nim sadził w olbrzymich susach hebanowy Zambo, wierny nam Murzyn. W naszych oczach dopędził zbiega, skoczył mu na plecy i ramieniem oplótł szyję. Zwinięci w kłęb, upadli na ziemię. Po chwili Zambo wstał, spojrzął na rozciągniętego u swych stóp człowieka i radośnie machając ręką ruszył w naszą stronę. Biała postać leżała nieruchomo pośrodku rozległej równiny.

Dwóch zdrajców zginęło, ale zło, które wyrządzili, przetrwało. Żadnym cudem nie mogliśmy wrócić na samotną skałę. Byliśmy mieszkańcami całego świata, a teraz zostaliśmy mieszkańcami tej wyżyny. Były to dwie różne, nie związane ze sobą rzeczy. Widzieliśmy równinę, która mogłaby nas doprowadzić do czóten. A za nią, za błękitnym, zamglonym horyzontem, płynęła rzeka — otwarta droga do cywilizacji. Zabrakło jednak ogniwa między wyżyną a resztą świata. Najbardziej pomysłowy człowiek nie zdołałby przerzucić mostu nad przepaścią, która rozwierała się teraz między nami i naszym dawnym życiem. Wystarczyła jedna chwila, by całkowicie zmienić warunki naszej egzystencji.

Wtedy to przekonałem się, z jakiej gliny ulepieni są moi trzej towarzysze. Byli poważni i zatroskani, to racja, ale nie złamani na duchu. Na razie mogliśmy tylko siedzieć w gąszczu i

czekać, aż Zambo wdrapie się na skałę. Wreszcie jego uczciwe, czarne oblicze, a niebawem i cała herkulesowa postać, ukazały się u jej szczytu.

— Co mam robić? — zawołał. — Rozkażcie, a zrobię.

Łatwiej było zapytać niż odpowiedzieć. Jedno tylko nie budziło wątpliwości. Zambo był jedynym łącznikiem między nami i resztą świata. W żadnym wypadku nie mógł odejść.

— Nie, nie! — krzyczał. — Nie odejdę. Niech się dzieje, co chce, ja zostanę. Ale nie zatrzymam Indian. Mówią, że za dużo tu jest Curupuri i że wrócą do domu. Pozwólcie im odejść, bo ich nie zatrzymam.

Nasi Indianie ostatnio na różne sposoby okazywali, że znużyła ich wyprawa, i gorąco pragnęli wrócić do swej wioski. Zambo mówił prawdę, bo rzeczywiście nie zdołaliby ich utrzymać na miejscu.

— Zambo, każ im zaczekać do jutra! — krzyknąłem. — Prześlę przez nich list.

— Dobrze, panie. Obiecuję, że zaczekają do jutra — odparł Murzyn. — Ale co teraz dla was zrobić?

Czekała go moc roboty, ale znakomicie wywiązał się z zadania. Na nasze polecenie przede wszystkim odwiązał linę od pnia i przerzucił jeden jej koniec na wyżynę. Lina nie była grubsza od sznura do suszenia bielizny, ale za to bardzo mocna. Nie posłużyłaby nam za most, ale mogła się przydać, gdyby trzeba się było gdzieś wspinać. Potem Zambo przywiązał swój koniec liny do worka z żywnością, wniesionego uprzednio na skałę. To pozwoliło nam przeciągnąć worek nad przepaścią. W ten sposób byliśmy zaopatrzeni przynajmniej na tydzień, gdybyśmy nawet nic tu nie znaleźli do jedzenia. Wreszcie Zambo wrócił do namiotu i wniósł jeszcze dwa pakunki ze skrzynką naboju i wieloma innymi rzeczami. Wszystko to przesłał nam we wspomniany sposób. Ściemniło się już zupełnie, kiedy Murzyn zeszedł na dół zapewniając nas, że zatrzyma Indian do jutrzejszego ranka.

Prawie cała pierwsza noc na wyżynie zeszła mi na opisywaniu przy mdłym blasku świecy naszych przygód. Zjedliśmy kolację i rozbiliśmy obóz tuż nad urwiskiem. Pragnienie gasiliśmy dwoma butelkami wody Apollinaris, które znalazły się w jednej ze skrzynek. Trzeba było koniecznie poszukać jakiego źródła, ale nawet lord John miał dość wrażeń jak na jeden dzień; nikt z nas nie zdradził więc chęci wyruszenia w nieznaną. Woleliśmy też nie rozpalać ognia i staraliśmy się zachowywać jak najciszej.

Jutra (a raczej — dziś, bo świta, gdy piszę te słowa) po raz pierwszy wyruszymy w głąb tej dziwnej krainy. Nie wiem, kiedy znów będę mógł napisać — o ile w ogóle mi się to uda. Tymczasem Indianie jeszcze czekają i jestem pewien, że Zambo zaraz wejdzie na skałę po list, Miejmy nadzieję, że dojdzie on rąk adresata.

PS Im dłużej zastanawiam się nad naszym położeniem, tym bardziej wydaje się beznadziejne. Nie widzę żadnych możliwości powrotu. Gdyby nad przepaścią rosnę jakieś wysokie drzewo, moglibyśmy je ściąć i przerzucić most. Ale w pobliżu nie ma żadnego drzewa. Nawet wspólnymi siłami nie zdołalibyśmy przywlec z głębi wyżyny dość wielkiego pnia. Lina zaś jest o wiele za krótka, by się po niej spuścić. Nie, jesteśmy w sytuacji beznadziejnej... beznadziejnej!

ROZDZIAŁ X

PRZYDARZYŁO NAM SIĘ COŚ NIEZWYKŁEGO

Przydarzyło nam się coś niezwykłego i wciąż nam się przydarza. Cały mój zapas papieru to pięć rozlatujących się notesów i moc luźnych skrawków. Mam tylko jeden jedyny ołówek, ale tak długo, jak będę mógł ruszać ręką, nie przestanę zapisywać naszych przygód i wrażeń. Skoro jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy oglądają takie dziwy, ważne jest, bym notował wszystko za świeżej pamięci i zanim oczywiście nieustanne niebezpieczeństwo wiszące nad nami nie przypieczeretuje naszego losu. Obojętne, czy to Zambo będzie mógł w końcu zabrać te listy nad rzekę, czy ja zdołam jakimś cudem wydostać się cało i przywieźć je z sobą do kraju, czy też jakiś śmiały podróżnik pójdzie naszym śladem i być może, korzystając z udoskonalonego samolotu, znajdzie stos moich notatek — jedno jest pewne: to, co piszę, przejdzie do potomności jako klasyczny przykład najprawdziwszej w świecie przygody.

Nazajutrz po dniu, w którym ten łotr Gomez uwięził nas na wyżynie, rozpoczął się nowy okres naszych przygód. Ten rano zaczął się od wydarzenia, które bardzo niemile usposobiło mnie do miejsca naszego pobytu. Ledwie otworzyłem oczy po krótkiej drzemce — zapadłem w nią dopiero o świcie — ujrziałem coś niezwykłego na własnej nodze. Nogawka spodni podwinęła mi się w nocy, obnażając skrawek skóry nad skarpetką. Na gołym ciele miałem wielką purpurową jagodę. Zdziwiony pochylilem się, by ją zdjąć. Jakże się przeraziłem, gdy pękła mi w palcach, a krew trysnęła wkóło. Krzyknąłem z obrzydzenia i ten krzyk ściągnął do mnie obu profesorów.

— Bardzo ciekawe — rzekł Summerlee pochylając się nade mną. — Olbrzymi kleszcz i jak sądzę, jeszcze nie sklasyfikowany.

— Pierwszy owoc naszych trudów — odezwał się Challenger swym tubalnym głosem i ze zwykłą pedanterią mówił dalej: — Trzeba nadać temu kleszczowi nazwę Ixodes Maloni. Mój młody przyjacielu, taka drobna przykrość jak ukąszenie nie może się chyba mierzyć z zaszczytem figurowania w nieśmiertelnych rejestrach zoologicznych. Niestety, zgniótł pan tak wspaniały okaz, gdy sycił się pańską krwią.

— Wstrętny robak! — krzyknąłem.

Profesor Challenger uniósł krzaczaste brwi na znak dezaprobaty i uspokajającym ruchem położył mi swą wielką łapę na ramieniu.

— Powinien pan sobie wyrobić naukowe spojrzenie na takie rzeczy i naukowy, obiektywny sposób myślenia — powiedział. — Dla człowieka o filozoficznym usposobieniu, takiego jak ja, kleszcz ze swym ostrym, podobnym do lancetu ryjkiem i rozciągliwym żołądkiem jest równie pięknym dziełem przyrody jak paw albo i zorza polarna. Bola mnie pańskie pogardliwe słowa. Jeśli dokończymy starań, uda nam się zdobyć jeszcze jeden taki okaz.

— To pewne — rzekł Summerlee bez cienia litości — bo jeden właśnie wlaźł panu za kołnierz.

Challenger zerwał się i rycząc jak bawół gorączkowo począł zdzierać z siebie marynarkę i koszulę. Śmieliśmy się we dwóch z profesorem Summerlee tak, że ledwie mogliśmy mu pomóc. Wreszcie udało nam się obnażyć potężny (pięćdziesiąt cztery cale krawieckiej

miary) zarośnięty gęstym, czarnym włosem tors *Challenger*a. W tej dżungli odszukaliśmy w końcu wędrującego kleszcza, który nie zdążył jeszcze wpić się w skórę. W krzakach wkłó nas pełno było tej plagi, musieliśmy więc co prędzej zwinąć obóz.

Ale przede wszystkim trzeba było udzielić wskazówek naszemu wiernemu Murzynowi, który właśnie ukazał się na szczycie skały z ładunkiem puszek kakao i sucharów. Przerzucił nam to wszystko na wyżynę. Kazaliśmy mu z pozostałych zapasów zostawić sobie tyle, by mu starczyło na dwa miesiące. Resztę mieli dostać Indianie w nagrodę za służbę i jako zapłatę za zabranie listów nad Amazonkę. W parę godzin później widzieliśmy, jak niosąc pakunki na głowach, szli gęsiego równiną naszym starym śladem. Zambo zajął mały namiot u podnóża skały i tam miał zostać jako jedyny łącznik między nami i światem.

Teraz należało postanowić, co zrobimy dalej. Wynieśliśmy się z krzaków, na których roiło się od kleszczy, i wreszcie zaszliśmy na małą polanę otoczoną gęstymi drzewami. Na jej środku leżało parę płaskich głazów, a obok tryskało wspaniale źródło. Siedliśmy na nich i w spokoju poczęliśmy się naradzać nad podbojem nieznanego kraju. W koronach, drzew odzywały się ptaki, a jeden z nich skrzeczał w dziwaczny, zupełnie nam obcy sposób. Poza tym nigdzie ani śladu życia.

Po pierwsze spisaliśmy nasze zapasy, by wiedzieć, na co możemy liczyć. Z tym, co przynieśliśmy na wyżynę i co Zambo przesłał mam za pomocą liny, byliśmy zupełnie dobrze zaopatrzeni. A więc, rzecz najważniejsza wobec niebezpieczeństw, które mogły na nas czyhać, mieliśmy cztery sztucery i tysiąc trzysta naboji oraz dubeltówkę, ale do niej tylko sto pięćdziesiąt ładunków ze śrutem. Żywności starczyłoby przynajmniej na parę tygodni, a tytoniu było w bród. Mieliśmy też trochę naukowego sprzętu łącznie z wielką lunetą i dobrą polową lornetką. Te wszystkie rzeczy zebraliśmy na polanie i na wszelki wypadek otoczyliśmy zasieką o średnicy jakichś piętnastu jardów ze spiętrzonych ciernistych krzaków, ściętych siekierą i nożami. Miała to być na razie nasza główna kwatera — schronienie przed jakimś niespodziewanym niebezpieczeństwem a zarazem magazyn zapasów. Nazwaliśmy ją „Fort *Challenger*a”.

Na tej czynności zeszło nam aż do południa, upał jednak nie dawał się we znaki, bo klimat na wyźnie i roślinność są takie jak w strefie umiarkowanej. W gąszczu drzew widać buki, dęby a nawet brzozy. Potężne drzewo *gingko*, wierzchołkiem strzelające ponad inne, ośłania fort wielkimi konarami i liśćmi podobnymi do paproci. W ich cieniu debatowaliśmy dalej, a lord John, który w godzinie czynu od razu objął dowództwo nad wyprawą, wyłożył nam swój pogląd na sytuację.

— Dopóki jakiś człowiek czy bestia nie widziała nas i nie słyszała, jesteśmy bezpieczni — mówił. — Ale gdy zauważą naszą obecność, zaczną się ciężkie chwile. Dotychczas nic nie wskazuje na to, że o nas wiedzą. Musimy na razie przyczaić się i zbadać tę krainę. Powinniśmy dobrze poznać sąsiadów, zanim zaczniemy składać sobie wizyty.

— Ale nie możemy siedzieć na miejscu — zaryzykowałem uwagę.

— Oczywiście, mój miły chłopcze. Ruszymy naprzód. Ale z rozważą. Nie wolno nam oddalać się zbyt daleko od bazy. A przede wszystkim nie wolno nam strzelać, chyba gdyby szło o życie.

— Ale wczoraj pan strzelił — powiedział Summerlee.

— Nie mogłem się powstrzymać. Na szczęście dał silny wiatr, i to od wyżyny. Echo nie wdarto, się chyba w głąb. Ale jak nazwiemy ten kraj? Zależy to przecież tylko od nas.

Proponowaliśmy to i owo mniej lub bardziej trafnie, ale Challenger przeciął wszystkie wątpliwości.

— Można nadać mu tylko jedną nazwę — powiedział. — Od nazwiska człowieka, który go odkrył. Panowie, to jest „Ziemia Maple'a White'a”.

A więc jest to Ziemia Maple'a White'a i tak nazwałem ją na mapie, którą polecono mi sporządzać. Myślę, że nazwa ta pojawi się w przyszłych atlasach.

Pokojowe poznanie Ziemi Maple'a White'a było naszym nagłym zadaniem. Na własne oczy stwierdziliśmy już, że ten kraj zamieszkują jakieś nieznanne zwierzęta. Ze szkicownika Maple'a White'a wynikało też, że możemy spotkać się z jeszcze straszniejszymi i bardziej groźnymi stworami. Szkielet nadzianego na bambusy człowieka, który by się tam nigdy nie dostał, gdyby go nie zrzucano z góry, nasuwał myśl, iż możemy się także spotkać tu z ludźmi, i to wrogo usposobionymi do przybyszów. Nasza sytuacja rozbitków wyrzuconych na mieliznę bez możliwości ratunku obfitowała w niebezpieczeństwa, toteż zdrowy rozsądek kazał nam postępować ostrożnie, tak jak zalecał lord John. Z drugiej zaś strony nie mogliśmy cały czas tkwić na skraju zagadkowej wyżyny, tym bardziej że paliła nas chęć poznania jej tajemnic.

Zatarasowaliśmy więc ciernistymi krzakami wejście do naszego fortu, zabezpieczając w ten sposób zapasy, i wolno, ostrożnie ruszyliśmy w nieznanne. Trzymaliśmy się strumyka wypływającego z naszego źródła, by w razie czego łatwo nam było trafić z powrotem.

Już na samym wstępie przekonaliśmy się, że czekają nas wielkie niespodzianki. Gdy przeszliśmy paręset jardów gęstym lasem, w którym rosły drzewa całkiem mi obce — znane jednak profesorowi Summerlee, botanikowi naszej wyprawy, jako odmiany drzew iglastych i sagowców od dawna już wymarłych — weszliśmy w okolicę, gdzie strumień rozlewał się w wielkie mokradło. Przed sobą mieliśmy wysokie i dziwne sitowie uznane za skrzyp, czyli „koński ogon”. Wśród niego rosły tu i tam paprocie drzewiaste. Wszystko to chwiało się w podmuchach ostrego wiatru. Nagle lord John, który szedł na przedzie, stanął i uniośł rękę.

— Spójrzcie na to — powiedział. — Na Boga, to chyba ślad praojca wszystkich ptaków!

W grząskim gruncie widniał odcisk trójpalcowej stopy. Stworzenie — ptak czy coś innego — musiało przeciąć bagno i wejść do lasu. Przystanęliśmy, by przyjrzeć się temu olbrzymiemu śladowi. Gdyby rzeczywiście chodziło o ptaka — a jakież zwierzę zostawiłoby podobny ślad? — musiał być, proporcjonalnie biorąc, olbrzymem, bo jego łapa była znacznie większa od strusiej. Lord John bacznie rozejrzał się wkoło i wsunął dwa naboje do swego sztucera.

— Nie zasługuję na miano dobrego myśliwego — powiedział — jeśli ten ślad nie jest całkiem świeży. Zwierzę przeszło tędy najwyżej przed dziesięcioma minutami. Patrzcie, jak woda przecieka jeszcze do tego wgłębienia. Spójrzcie! Tu mamy odcisk stopy pisklęcia.

Istotnie, mniejsze ślady tego samego kształtu biegnęły równolegle do dużych.

— A co powiecie o tych?! — triumfalnie krzyknął profesor Summerlee wskazując na coś,

co wyglądało na olbrzymie odbicie ludzkiej pięciopalcowej dłoni i występowało między trzypalcowymi śladami.

— Wealdeński! — zawołał w uniesieniu Challenger. — Widziałem taki ślad w glinie wealdeńskiej. To stworzenie chodzi na tylnych łapach i ma trzypalcową stopę. Czasem podpira się pięciopalcową, przednią łapą, Diogi Rostonie, to nie ptak... wcale nie ptak.

— A więc zwierzę?

— Nie. Gad. dinozaur. Żadne inne stworzenie nie zostawiłoby podobnych śladów. Przed dziewięćdziesięciu laty wprawili one w osłupienie pewnego czcigodnego doktora z Susses. Ale któż by ośmielił się marzyć... śnić... że można będzie oglądać te cuda!

Ostatnie słowa powiedział już szeptem, a my staliśmy jak skamieniali. Wreszcie, idąc za śladem, ruszyliśmy przez moczary i przeszliśmy gęsto podszyty las. Za nim leżała polana, na której ujrzelśmy pięć najdziwniejszych stworzeń, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Przykucnęliśmy w zaroślach i przyglądaliśmy się im do woli.

Jak powiedziałem, było ich pięć: dwa dorosłe i trzy młode, ale wszystkie olbrzymie. Nawet młode były wielkości słoni. Dorosłe zaś — znacznie większe od jakiegokolwiek znanego mi zwierzęcia. Skórę miały ciemnoszarą, łuskowatą jak u jaszczurek, lśniąca w promieniach słońca. Wszystkie siedziały na tylnych, trójpalczastych nogach, chwiejąc się na potężnych ogonach, którymi się podierały, i małymi przednimi łapami o pięciu palcach przyginały gałęzie drzew i objadały liście. Chyba najlepiej je odmaluję mówiąc, że przypominają wielkie, dwudziestostopowe kangury, pokryte skórą czarnego krokodyla.

Trudno mi określić, jak długo bez ruchu obserwowaliśmy ten dziwny widok. Ostry wiatr wiał ku nam i byliśmy dobrze ukryci, zwierzęta nie mogły więc nas zwęszyć. Od czasu do czasu w ferworze zabawy młode gonity się naokoło starych, a te podskakiwały w górę i opadały na łapy, aż ziemia dudniła głucho. Muszą być bezgranicznie silne, bo jedno ze starych, nie mogąc dosięgnąć pęku liści na olbrzymim drzewie, oplótło je przednimi łapami i wyrwało z ziemi jak młodą sadzonkę. Okazało się jednak, że choć bardzo silne, jest głupie, bo drzewo, padając, całym ciężarem walnęło je w głowę. Ugodzone zwierzę pisnęło parę razy przeraźliwie, a więc mimo swych rozmiarów ma pewne granice wytrzymałości. Po tym wypadku najwidoczniej pomyślało, że drzewa są niebezpieczne, bo pokuśtykało przez las, a jego towarzysz i trzy małe olbrzymy poszły za nim. Widzieliśmy ich szarą skórę migoczącą wśród drzew i tby kołyszące się wysoko nad krzakami. Po chwili znikły nam z oczu.

Spojrzałem na moich kolegów. Lord John stał zapatrzony, z palcem na cynglu strzelby i oczyma płonącymi gorączką łowiecką. Cóż dałby za to, aby jeden z takich łbów zawiesić między skrzyżowanymi wioślami nad kominkiem przytulnego mieszkanca na Albany? A jednak rozsądek powstrzymał jego rękę, bo tylko nie zdradzając się przed mieszkańcami tego nieznanego świata mogliśmy poznać jego cuda. Obaj profesorowie zamarli wniebowzięci. W podnieceniu bezwiednie schwycili się za ręce i stali jak dwa dzieciaki w krainie czarów. Policzki Challengera roz dęły się w anielski uśmiech, a sardoniczne rysy profesora Summerlee złagodniały na chwilę w podziw i szacunek.

— Nunc dimittis! — wykrzyknął wreszcie. — Co w Anglii o tym powiedzą?

— Mój drogi profesorze, wyjawię panu w zaufaniu, co o tym powiedzą w Anglii — rzekł

Challenger. — Nazwą pana bezczelnym łgarzem i naukowym szarlatanem, tak jak pan i inni mnie nazwali.

— Nawet gdy pokażemy im zdjęcia?

— Sfatszowane, mój panie! Niedotężnie sfatszowane!

— I wobec dowodów rzeczowych?

— Gdybyśmy je tylko zdobyli! Malone i jego niecna szajka z Fleet Street wynieśliby nas pod niebiosa. Dwudziestego ósmego sierpnia ujrzeliśmy pięć żywych iguanodonów na polanie Ziemi Maple'a White'a. Młodzieńcze, niech to pan zapisze w dzienniku i wyśle do swej szmaty.

— I niech się pan przygotuje, że w zamian redaktor da panu mocnego kopniaka — wtrącił lord John. — Z geograficznej szerokości Londynu, mój młody paniczku, te rzeczy wyglądają zupełnie inaczej. Wielu podróżników woli milczeć o swych przygodach z obawy, że im nikt nie uwierzy. Czy można się im dziwić? Za miesiąc czy dwa nam samym to, co widzieliśmy, wyda się snem. Jak pan nazwał te zwierzęta?

— Iguanodony — rzekł Summerlee. — Ich liczne ślady znajdzie pan w piaskach Hastings, w Kent i Susses. Całymi stadami żyły w południowej Anglii, gdy rosła tam soczysta, bujna zieleń, sprzyjająca ich rozwojowi. Ale warunki się zmieniły i zwierzęta wy marły. Tu wszystko pozostało bez zmian i dlatego przetrwały.

— Muszę zdobyć jeden taki łeb, jeśli uda nam się wyjść cało — rzekł Roxton. — Na Boga, moi koledzy, afrykańscy myśliwi, zzielenieją z zazdrości! Nie wiem, co drodzy panowie myślicie, ale mnie się zdaje, że ciągle chodzimy na skraju przepaści.

Miałem takie samo wrażenie. Czuję, że otacza nas jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo. Coś groźnego czaiło się w mroku lasu, a gdy patrzyliśmy w gąszcz listowia, ogarniał nas lęk. Co prawda te potężne istoty, które widzieliśmy przed chwilą, ciężkie i niezdarne, nie wyglądały zaczepnie i chyba nie były groźne. Ale w tym świecie cudów mogły kryć się inne zwierzęta z minionych epok. Z legowiska w zaroślach lub między skałami w każdej chwili gotowe było rzucić się na nas jakieś okrutne, straszne zwierzę. Mało wiem o prehistorycznym świecie, ale żywo utkwilo mi w pamięci opowiadanie o jakichś potworach, które mogłyby polować na nasze lwy i tygrysy, tak jak kot poluje na myszy. Co będzie, jeśli one także żyją w lasach Ziemi Maple'a White'a?

Los chciał, że owego ranka — pierwszego w tym nowym dla nas kraju — przekonaliśmy się, na jakie niebezpieczeństwa jesteśmy ciągle wystawieni. Przydarzyła nam się wstrętna przygoda, o której wspominam z niechęcią. Jeżeli, jak mówi lord John, równina iguanodonów pozostanie w naszej pamięci jak jakiś sen, to bagno pterodaktyli na zawsze będzie dla nas koszmarem. Zaraz opiszę, co nas spotkało.

Posuwaliśmy się przez las wolno, częściowo dlatego, że lord John, jako wywiadowca, musiał dokładnie zbadać teren, zanim pozwolił nam przejść parę kroków, a częściowo dlatego, że któryś z naszych profesorów co chwila z okrzykiem zachwytu przyklękał przed jakimś całkiem dla niego nowym kwiatem lub owadem. Przeszliśmy najwyżej dwie do trzech mil wzdłuż prawego brzegu strumienia, gdy natknęliśmy się na dużą polanę w lesie. Pas krzaków biegł stąd aż do zwaliska głazów, którymi usiana jest cała wyżyna. Krok za krokiem

szliśmy w tę stronę, ukryci w krzakach aż powyżej piersi, gdy nagle do uszu naszych doleciał dziwny pogwar niskich głosów i jakieś gwizdy wypełniające powietrze nieustannym hałasem i dochodzące skądś tuż przed nami. Lord John uniesieniem ręki kazał nam stanąć, sam gaś, schylony, pobiegł szybko ku, linii głazów. Wyjrzał poza nie i wykonał gest zdziwienia. Stał i czemuś się przyglądał. Był tak tym pochłonięty, że zupełnie o nas zapomniał. W końcu jednak, ruchem ręki nakazującym jak największą ostrożność, przywołał nas do siebie. Z jego zachowania odgadłem, że zobaczymy coś niezwykłego, ale i groźnego.

Przyczołgaliśmy się bliżej i wyjrzeliliśmy sponad głazów. Zobaczyliśmy głęboki lej, pewnie prastary krater jakiegoś mniejszego wulkanu. Wyglądał jak wielka niecka, na dnie której, o kilkaset jardów od nas, było parę stawów wypełnionych stojącą wodą pokrytą zielonkawą rzęsą. Brzegi porastało gęste sitowie. Miejsce to samo przez się wyglądało ponuro i groźnie, ale jego mieszkańcy sprawili, że przypominało siódmy krąg dantejskiego piekła. Było bowiem legowiskiem pterodaktyli. Mieliśmy przed sobą całe ich setki. Na dnie wokół wody roilo się od młodych i od ohydnych samic wysiadujących błoniaste, żółtawe jaja. Od tego kottowiska plugawych gadów bił rażący uszy wrzask i stęchły, mdlący odór. Nieco wyżej, każdy na oddzielnym kamieniu, siedziały niemniej ohydne samce. Wysokie, szare, zasuszone, bardziej podobne do wyschniętych i martwych mumii niż do żywych istot, siedziały bez ruchu, wodząc wkoło czerwonymi oczami i od czasu do czasu kłapiąc zębatą paszczą, gdy jakaś łątka wypadkiem przeleciała obok. Złożywszy przedramiona zwinęły wielkie błoniaste skrzydła i siedziały jak jakieś olbrzymie stare baby opatulone w odrażające, pajęczoszarze chusty, znad których wystawały tylko drapieżne głowy. Mieliśmy przed sobą co najmniej z tysiąc tych plugawych stworzeń, starych i młodych.

Ten widok prehistorycznego życia wprawił naszych profesorów w taki zachwyt, że chętnie spędziliby tu resztę dnia. Pokazywali sobie martwe ryby i ptaki leżące między skałami, na dowód, czym żywią się pterodaktyle. Słyszałem nawet, jak winszowali sobie nawzajem wyjaśnienia zagadki, czemu aż tyle kości tych latających smoków można znaleźć w pewnych dobrze znanych okręgach, jak na przykład w piaskach Cambridge, bo jak się teraz okazało, pterodaktyle, jak pingwiny, żyją w stadach.

W końcu jednak Challenger tak się zacietrizwił usiłując dowieść czegoś, czemu Summerlee przeczył, że w ferworze sporu wysunął głowę spoza głazów i niemal nie ściągnął na nas nieszczęścia. Jeden z najbliższych samców wrzasnął przeraźliwie i machnąwszy długimi na dwadzieścia stóp, błoniastymi skrzydłami, wzbił się w górę. Samice i piskłeta skupiły się przy wodzie, a wszyscy strażnicy, jeden po drugim, poczęli wznosić się w powietrze. Zdziwiający był widok ponad setki tych stworów tak wielkich i wstrętnych, z szalonym łopotem skrzydeł i ze zwinnością jaskótek fruujących nad naszymi głowami. Wkrótce jednak przekonaliśmy się, że nie należało nim się zbyt długo rozkoszować. Początkowo bestie zataczały wielkie koła, jakby chciały zobaczyć, co za wróg im zagraża. Potem zniżyły lot i zacisnęły koła, aż w końcu krążyły tuż nad nami, suchym, szeleszczącym łopotem olbrzymich szarych skrzydeł napętniając powietrze, co przypominało mi żywo lotnisko w Hendo w dniu pokazów.

— Uciekajcie w las i trzymajcie się razem! — krzyknął lord John chwytając strzelbę za lufę. — Potwory zaraz nas zaatakują.

Gdy rzuciliśmy się do ucieczki, pterodaktyle otoczyły nas tak ciasnym kołem, że końcami skrzydeł niemal dotykały naszych twarzy. Biliśmy napastników kolbami, ale trudno było trafić w coś twardego czy dającego się zranić. Nagle ze świszczącego szarego koła błyskawicznie wysunęła się długa szyja i groźny dziób. Summerlee krzyknął i zakrył twarz, z której trysnęła krew. Ja poczułem tak silne uderzenie w kark, że aż mnie zamroczyło. Challenger upadł, pochylilem się więc, by go podnieść, lecz w tej chwili zadano mi z tyłu drugie uderzenie i jak długi padłem na profesora. Nagle usłyszałem huk sztucera lorda Johna. Obejrzałem się i zobaczyłem jednego potwora bijącego na ziemi przestrzelonym skrzydłem. Patrzył na nas wybałuszonymi czerwonymi oczkami, pluł, skrzeczał i groził rozwartym dziobem niczym diabeł ze średniowiecznego obrazu. Reszta pterodaktyli, spłoszona wystrzałem, wzniosła się w górę i krążyła nad nami.

— Teraz! — krzyknął lord John. — Co sił w nogach!

Chwiejąc się pobiegliśmy przez krzaki, ale nawet na skraju lasu bestie znów nas dogoniły. Powaliły profesora Summerlee, ale pociągnęliśmy go za sobą i ukryliśmy się w lesie. Teraz byliśmy nareszcie bezpieczni, bo pterodaktyle mają za wielkie skrzydła, by latać między drzewami. Wlokąc się do domu, dotkliwie pokaleczeni i przygnębieni, długo jeszcze widzieliśmy naszych wrogów fruujących wysoko po błękitnym niebie. Nie większe z daleka od leśnych gołębi, zataczały koła i niewątpliwie obserwowały naszą ucieczkę. Ale kiedy doszliśmy do gęstszego lasu, zaniechały pościgu i znikły nam z oczu.

— Bardzo ciekawa i pouczająca przygoda — rzekł Challenger obmywając kolano w strumieniu, przy którym stanęliśmy na chwilę. — Profesorze Summerlee, świetnie poznaliśmy zwyczaje rozwścieczonych pterodaktyli.

Summerlee zmywał krew z rozciętego czoła, a ja przewiązywałem wstrętą ranę na szyi. Lord John miał tylko urwany rękaw kurtki. Zęby potwora na szczęście zaledwie drapnęły mu ramię.

— Cóż to szkodzi — mówił dalej Challenger — że nasz młody przyjaciel został ranny, lord stracił kawałek rękawa, a mnie się dostało skrzydłami po głowie. Dzięki temu poznaliśmy doskonale ich metody walki.

— Byliśmy o krok od śmierci — powiedział poważnie lord John. — A nie wyobrażam sobie ohydniejszej niż ta, która nas czekała pod ciosami tych wstrętnych zwierząt. Żałuję, że musiałem strzelać, ale słowo daję, nie było wyboru.

— Gdyby pan nie wystrzelił, nie uszlibyśmy cało — powiedziałem z głębokim przekonaniem.

— Myślę, że to nie wywoła żadnych przykrych następstw — mówił dalej Roxton. — W tych lasach drzewa muszą często pękać i padać z trzaskiem podobnym do huku wystrzału. Ale teraz chyba panowie podzielą moje zdanie, że dość mieliśmy wrażeń jak na jeden dzień i że czas wracać do domu do podręcznej apteczki i butelki z karbolem. Kto wie, czy zęby tych bestii nie są jadowite.

Na pewno jednak nikt jak świat światem nie przeżył podobnego dnia. Los bowiem szykował nam nową niespodziankę. Kiedy idąc brzegiem strumienia doszliśmy wreszcie do naszej polany i ujrzeliśmy obóz broniony cierniową zasieką, sądziliśmy, że wszystkie nasze kłopoty już się skończyły. Ale nim jeszcze zdążyliśmy skorzystać z zasłużonego odpoczynku,

okazało się, że byliśmy w błędzie. Brama Fortu Challengeera stała wprawdzie nie naruszona, ściany nie tknięte, a jednak podczas naszej nieobecności jakaś dziwna i potężna istota złożyła nam wizytę. Nie pozostawiła żadnego odcisku stopy i tylko obwisły nad fortem konar ogromnego drzewa mówił, jak dostała się i wyszła z ogrodzenia. Sądząc po stanie naszych zapasów, musiała być bardzo złośliwa. Wszystko leżało rozrzucone, jedna puszka z mięsnymi konserwami była zmiądzona i pusta, skrzynka z nabojami — rozłupana na drzazgi, a obok niej poniewierały się poszarpane łuski. Znow ogarnął nas tajemniczy lęk, jak przed wielkim, nieznanym niebezpieczeństwem. Przerażonymi oczami wpatrywaliśmy się w gęsty otaczający nas cień, w 'którym mógł czaić się groźny, tajemniczy stwór. Ucieszyliśmy się więc bardzo, gdy doszło nas wołanie Zamby i gdy zbliżywszy się do skraju wyżyny, ujrzelśmy go na skale, śmiejącego się radośnie.

— Wszystko w porządku, massa Challenger, wszystko w porządku! — krzyczał. — Jestem tu. Nie bójcie się. Zawsze znajdziecie mnie na miejscu.

Uczciwe, zacne oblicze Murzyna i rozległy widok z wyżyny, który przeniósł nas myślą niemal w dorzecze Amazonki, przypomniały nam, że żyjemy jednak na Ziemi w dwudziestym wieku, że nie przenieśliśmy się w jakiś cudowny sposób na niecywilizowaną, dziką planetę w jej pierwszym okresie rozwoju. Mimo to trudno było sobie wyobrazić, że niebieskawa linia dalekiego horyzontu leży w pobliżu wielkiej rzeki, po której kursują olbrzymie parowce i gdzie ludzie mówią o swych, codziennych, drobnych kłopotach, gdy my siedzimy tu jak rozbitkowie, wśród przedpotopowych zwierząt i możemy tylko z tęsknotą spoglądać ku niej i marzyć o tym, co dla nas oznaczała!

Z tym dziwnym dniem łączy mi się jeszcze jedno wspomnienie i na nim zakończę ten list. Obydwaj profesorowie, najwidoczniej podekscytowani ranami, mocno się pokłócili o to, czy nasi niedawni wrogowie należą do rodziny pterodaktyli, czy też dymorfodonów, i zaczęli używać ostrych słów. Odszedłem na bok, by nie słuchać sprzeczki, i siedziałem z papierosem na obalonym pniu, kiedy podszedł do mnie lord John.

— Niech pan posłucha — powiedział. — Czy pan dobrze pamięta miejsce, gdzie żyją te zwierzęta?

— Doskonale.

— Wulkaniczna niecka, prawda?

— Tak — odparłem.

— A zwrócił pan uwagę na glebę?

— Skąty.

— Ale nad wodą.. tam gdzie rosnęło sitowie?

— Jakaś niebieskawa. Coś w rodzaju gliny.

— Tak. Krater wypełniony niebieskawą gliną.

— I co z tego? — zapytałem.

— Nic. Nic nadzwyczajnego — odparł i odszedł tam, skąd dochodziły głosy zaciekle kłócących się uczonych: wysoki, skrzeczący profesora Summerlee, raz cichszy, raz głośniejszy, łączył się w duecie z głębokim basem Challengeera. Nie zwróciłbym uwagi na

pytanie lorda Johna, gdyby nie to, że w nocy znów usłyszałem, jak mruczał do siebie: „niebieska glina... glina w kraterze”. To były ostatnie słowa, jakie mnie doleciały, zanim zapadłem w kamienny sen.

ROZDZIAŁ XL

RAZ W ŻYCIU I JA ZOSTAŁEM BOHATEREM

Lord John miał rację mówiąc, że jakiś jad mógł być w zębach potworów, które nas zaatakowały. Nazajutrz bowiem po naszej pierwszej przygodzie na wyżynie Summerlee i ja cierpieliśmy bardzo i mieliśmy dużą gorączkę, kolano Challengerera zaś tak spuchło, że ledwo kuśtykał. Cały dzień siedzieliśmy więc w obozie i w miarę sił pomagaliśmy lordowi Johnowi, który krzątał się przy podwyższaniu i pogrubianiu ciernistych zasiek — naszej jedynej ochrony. Pamiętam, że przez cały ten czas męczyło mnie uczucie, iż ktoś przygląda nam się z bliska, choć nie wiedziałem, kto by to mógł być i skąd na nas patrzy.

Wrażenie to było tak silne, że zwierzyłem się profesorowi Challengerowi z mego niepokoju, on jednak przypisał go trapiącej mnie gorączce. Ja zaś raz po raz rozglądałem się wkóło, przekonany, że wreszcie dojrzę coś konkretnego, ale widziałem tylko ciemne ściany naszych zasiek lub mroczną głębię między konarami drzew nad naszym obozem. Lecz mimo to coraz bardziej byłem pewny, że jakaś zła istota obserwuje nas, i to tuż pod bokiem. Przypomniałem sobie zabobonny lęk Indian przed Curupuri, okrutnym duchem czającym się w puszczy, i zrozumiałem teraz strach ludzi, którzy odważyli się wdrzeć w jego najodleglejsze i tajemne legowisko.

Tej nocy (trzeciej spędzonej na Ziemi Maple'a White'a) przeżyliśmy przygodę, która wstrząsnęła nami do głębi i napełniła wdzięcznością dla lorda Johna za to, że w pocie czoła umocnił nam obóz. Spaliśmy wszyscy przy dogasającym ognisku, gdy zbudziła nas — a raczej wyrwała ze snu — seria najstraszniejszych ryków i pisków, jakie kiedykolwiek słyszałem. Trudno mi porównać ten zadziwiający hałas do jakiegoś znanego odgłosu. Wybuchł on zaledwie o kilkaset jardów od naszej zasieki i był podobny do przeszywającego gwizdu parowozu. Gwizd parowozu jest jednak dźwiękiem wyraźnym, mechanicznym i ostrym, ten zaś był niższy, wibrujący, przepojony nutami najgłębszego przerażenia i strasliwej agonii. Zatkaliśmy uszy rękami broniąc się przed tym szarpiącym duszę wołaniem. Biła z niego taka beznadziejność, że serce we mnie zamarło, a zimny pot wystąpił na czoło. Ten jeden okropny przedśmiertny krzyk wyrażał mękę torturowanej istoty, niezmierny żal do bezwzględного losu i bezgraniczny smutek. Przenikliwy, głośny, rozbrzmiewał na tle urywanego, niskiego, idącego z głębi piersi śmiechu: rosnącego gardłowego rechotu radości, który tworzył przedziwny akompaniament do rozpaczliwego wołania. Trwało to trzy czy cztery minuty, ale liście drzew zdążyły się rozkołysać, poruszone przez zrywające się ze snu, przerażone ptaki. A potem wszystko ucichło, tak nagle, jak wybuchło. Długą chwilę siedzieliśmy skamieniali. Potem lord John dorzucił gałązek do ognia i czerwone płomienie oświetliły skupione twarze moich towarzyszy i zadrgały w olbrzymich konarach nad nami.

— Co to było? — szepnąłem.

— Dowiemy się rano — odparł lord John, — Coś zaszło w pobliżu, nie dalej jak na leśnej

polanie.

— Dostąpiliśmy wielkiego zaszczytu. Byliśmy świadkami prehistorycznej tragedii w rodzaju tych, jakie wydarzały się w sitowiu nad jurajskimi lagunami, kiedy większy smok dławił mniejszego w mule — powiedział Challenger, a jeszcze nigdy nie słyszałem w jego głosie aż takiej powagi. — Wielkie to szczęście dla człowieka, że zjawił się na świecie w późniejszym okresie powstawania Ziemi. W zaraniu dziejów istniały na niej moce, którym nie podołałaby żadna odwaga czy broń pierwotnych ludzi. Cóż mogliby działać swymi procami, oszczepami i strzałami wobec tych sił, jakie rozpętały się tej nocy? Nawet przy nowoczesnej strzelbie potwór taki miałby przewagę.

— Myślę, że mógłbym liczyć na mego małego przyjaciela — rzekł lord John, pieszczotliwym ruchem gładząc sztucer. — Ale i potwór miałby pewne szansę.

Summerlee ostrzegawczo uniósł rękę.

— Sza! — powiedział. — Coś słyszę.

Z głębokiej ciszy doleciało nas głucho, miarowe stąpanie. Były to kroki jakiegoś zwierza — odgłos ostrożnie stawianych ciężkich, miękkich łap. Wolno okrążył obóz i stanął przed bramą. Słyszeliśmy wznoszący się i opadający świst — jego oddech. Tylko krucha ścianka zasieki broniła nas przed tą nocną zjawą. Chwyciliśmy za strzelby, a lord John rozsunął nieco krzaki, by zrobić strzelnicę.

— Na Boga! — szepnął. — Widzę go. Pochyliłem się nad nim i wyjrzałem przez dziurę w kolczastej zagrodzie. Tak, dostrzegłem zwierzę. W gęstym cieniu drzewa rysował się kontur czegoś jeszcze ciemniejszego, czarny, niewyraźny, zatarty — przyczajona sylwetka pełna pierwotnej siły i grozy. Nie wyższe od konia, zwierzę to, sądząc z mętnego zarysu, było potężne i bardzo silne. Musiało też mieć potężny organizm i płuca jak miechy, bo oddychało ze świstem i regularnością maszyny. Raz, gdy się poruszyło, wydało mi się, że widzę błysk strasznych zielonkawych oczu. Usłyszeliśmy niepokojący szmer, jakby skradało się ku nam.

— Zaraz skoczy — powiedziałem szykując się do strzału.

— Nie strzelać! Nie strzelać! — szepnął lord John. — Huk rozejdzie się daleko w tej ciszy. Czekać do ostatka.

— Jeżeli przeskoczy płot, będziemy zgubieni — rzekł Summerlee i zachichotał nerwowo.

— Nie wiadomo, czy przeskoczy — odparł lord John. — Nie strzelajcie do ostatniej chwili. Zdaje się, że dam sobie radę. W każdym razie spróbuję.

To był chyba najodważniejszy czyn, jaki widziałem w moim życiu. Lord John pochylił się nad ogniem, porwał płonąca gałąź i błyskawicznym ruchem wysunął się przez furtkę, którą jeszcze za dnia zrobił w płocie. Tajemnicze zwierzę, ryknąwszy przeraźliwie, ruszyło naprzód. Lord John nawet się nie zawahał: podbiegł do niego lekko i zwinnie i wsadził mu głównię prosto w pysk. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę straszną maskę olbrzymiej ropuchy, pokrytą brodawkami, owrzodzoną skórę i rozdziawioną paszczę umazaną w świeżej krwi. Potem usłyszeliśmy trzask łamanych krzewów i straszny gość znikł.

— Wiedziałem, że złęknie się ognia — powiedział z uśmiechem lord John, gdy wrócił i rzucił głównię z powrotem w ognisko.

— Nie powinien pan tak ryzykować! — krzyknęliśmy chórem.

— Nie było Innego wyjścia. Gdyby skoczyło między nas, powystrzelalibyśmy się nawzajem, Z drugiej zaś strony, strzelając przez zagrodę, mogliśmy je tylko zranić, a wtedy rozprawiłoby się z nami. Nie mówią już o tym, że huk wystrzału byłby nas zdradził. Sądzą więc, że nie można było zrobić nic innego. Ale co to było? Nasi uczeni spojrzeli na siebie niepewnie.

— Ja nie potrafię z całą ścisłością zaklasyfikować tego' zwierzęcia — rzekł Summerlee zapalając fajkę od ognia.

— Z obawy przed kompromitacją zachowuje pan właściwą uczonym rezerwę — powiedział Challenger wyniośle pobłażliwym tonem. — Osobiście ograniczę się tylko do ogólnikowego stwierdzenia, że dziś w nocy prawie na pewno mieliśmy do czynienia z jakimś okazem drapieżnego dinozaura, Wspomniałem już kiedyś, że podobne zwierzęta mogą żyć tutaj.

— Nie Wolno nam zapominać — zauważył Summerlee — że wiele przedpotopowych, zwierząt wyginęło bez śladu. Postąpilibyśmy więc lekkomyślnie, nazywając znanymi nam imionami te wszystkie, które możemy tu spotkać.

— Słusznie. Musimy poprzestać na przybliżonej klasyfikacji. Jutro rano może uda nam się po śladach ustalić coś bliższego. A tymczasem spróbujmy zasnąć.

— Wystawmy jednak wartę — stanowczym tonem rzekł lord John. — W tych warunkach nie wolno nam ryzykować. Odtąd każdy z nas będzie czuwał na zmianę po dwie godziny.

— A zatem ja zacznę kolejkę i przy tej okazji dopalę fajki — rzekł Summerlee.

Odtąd co noc wystawiamy wartę.

Rano z łatwością wykryliśmy przyczyny okropnych hałasów. Polana Iguanodonów była widownią okrutnej rzezi. Z kałuż krwi i poniewierających się na murawie kawałków mięsa sądziliśmy początkowo, że zabito kilka zwierząt, ale przyjrząwszy się bliżej szczątkom ustaliliśmy, że ofiarą padł tylko jeden z olbrzymów. Jakiś potwór, zdaje się, niewiele większy, ale znacznie okrutniejszy, rozdarł go literalnie na strzępy.

Profesorowie zagłębili się w naukowych dociekaniach badając kolejno krwawe szczątki, na których wyraźnie znać było ślady wielkich zębów i potężnych pazurów.

— Musimy sądzić bardzo oględnie — mówił profesor Challenger trzymając na kolanach wielki płat białawego mięsa. — Ślady wskazują na to, że napastnikiem był szablizozęby tygrys znajdujący w zlepieńcach naszych pieczar. Ten musiał być jednak znacznie większy i bardziej podobny do gada. Ja jestem skłonny uważać go za allozaura.

— Albo megalozaura — rzekł Summerlee.

— Tak. Zresztą mógł to być każdy większy drapieżny dinozaur. Wśród nich można znaleźć najgroźniejsze zwierzęta, jakie były kiedykolwiek przekleństwem Ziemi lub błogostawieństwem muzeów.

Roześmiał się na całe gardło, bo choć nie miał zmysłu humoru, zawsze doskonale bawił się własnymi niewyszukanymi dowcipami.

— Im mniej hałasu, tym lepiej — szorstko zauważył lord John. — Nie wiemy, co lub kto czai się w lesie. Jeśli ten łajdak wróci na śniadanie i zobaczy nas tu, odejdzie nas ochota do

śmiechu. *Ale, co to za plama na skórze iguanodona?*

Na matowej, łuskowatej, szarej skórze łopatki ujrzeliśmy dziwny czarny placek czegoś, co wyglądało na asfalt. Nikt z nas nie wiedział, co to oznacza, choć Summerlee twierdził, że dwa dni temu zauważył już podobną plamę na jednym z młodych, zwierząt. Challenger milczał nadęty i napuszony, jakby chciał wyrazić, że wie, ale nie chce powiedzieć. Wreszcie lord John zapytał go wprost, co o tym myśli.

— Jeżeli wasza lordowska mość łaskawie pozwoli mi zabrać głos, chętnie powiem, co myślę — powiedział ze sztucznym sarkazmem. — Nie przywykłem, by mnie karcono tak, jak to robi wasza lordowska mość. Nie sądziłem, że muszę pytać pana o pozwolenie, gdy chce mi się pośmiać z nieszkodliwego dowcipu.

Dopiero po uroczystych przeprosinach nasz drażliwy przyjaciel nieco się udobruchał. Ułagodzony, siedząc osobno na obalonym pniu, zwrócił się do nas w swój zwykły, mentorski sposób, jakby raczył się dzielić najcenniejszymi wiadomościami z licznym audytorium.

— Jeśli chodzi o tę plamę — zaczął! — zgadzam się z moim kolegą, profesorem Summerlee, że rośmy do czynienia z asfaltem. Ta wyżyna jest tworem wulkanicznym, a że asfalt to substancja pochodzenia wulkanicznego, przeto musi się tu znajdować w stanie płynnym i zwierzęta mogą się z nim stykać. O wiele ważniejszą zagadką jest istnienie drapieżnego potwora, który pozostawił te ślady na polanie. Wiemy już w przybliżeniu, że wyżyna jest mała co większa od przeciętnego angielskiego hrabstwa, Na tej ograniczonej przestrzeni od wieków żyją razem zwierzęta, które na Ziemi już dawno wymarły. Jasne jest dla mnie, że przez tak długi czas drapieżniki, rozmnażając się bez przeszkód, musiałyby w końcu wyczerpać zapasy pożywienia i albo wymrzeć z głodu, albo zmienić rodzaj pokarmu. Tak jednak nie jest. Stąd wniosek, że jakiś czynnik utrzymuje równowagę w przyrodzie, hamując rozmnażanie się tych groźnych istot. Jednym więc z wielu ciekawych problemów do rozstrzygnięcia jest pytanie, jak tu działają i na czym polegają wspomniane prawa natury. Żywię nadzieję, że jeszcze zetkniemy się bliżej z drapieżnymi dinozaurami.

— A ja wcale nie chcę mieć tej nadziei — zauważyłem.

Challenger uniósł tylko krzaczaste brwi, jak nauczyciel karcący krnąbrnego ucznia za niestosowną uwagę.

— Może profesor Summerlee chciałby tu coś dorzucić — rzekł i obaj uczeni zagłębili się w subtelnych naukowych rozważaniach. Zastanawiali się, czy zmiana w tempie rozrodu nie skompensowałaby braku pożywienia i w ten sposób złagodziłaby walkę o byt.

Tego dnia zbadaliśmy mały kawałek wyżyny, unikając Bagna Pterodaktyli i idąc na wschód od strumienia, a nie na zachód. W tym kierunku rosły jeszcze gęstsze lasy o tak bogatym poszyciu, że szliśmy z wielkim trudem.

Dotąd opisywałem tylko okropności Ziemi Maple'a White'a, ale miała ona i strony przyjemne. Cały ranek bowiem brodziliśmy wśród przepięknych kwiatów, przeważnie białych i żółtych, bo jak profesorowie wyjaśnili, te kolory są najprymitywniejsze. Czasem nie widać było ziemi spod kwiatów i grzęznąc po kostki w tym puszystym kobiercu, czuliśmy upajający i tak mocny zapach, że aż kręciło się nam w głowach. Zwykłe angielskie pszczoły brzęczały wokół nas. Gałęzie wielu drzew uginają się od owoców, znanych nam lub zupełnie nie znanych.

Chcąc uniknąć trujących jedliśmy tylko te, które nadgryzły już ptaki. To znakomicie urozmaiciło nasze pożywienie. W puszczy widzieliśmy wiele ścieżek wydeptanych, przez dzikie zwierzęta, a na bardziej grząskim terenie natrafiliśmy na dziwne i liczne ślady stóp, wśród których dużo należało do iguanodonów. Raz nawet w jakimś zagajniku dostrzegliśmy te wielkie zwierzęta pasące się spokojnie, a lord John przez lornetkę dojrzał, że i one mają skórę pocętkowaną asfaltem, choć nie w tych samych miejscach co okaz oglądany przez nas rano. Nie mogliśmy pojąć, co to ma znaczyć.

Widzieliśmy też sporo małych zwierząt: jeżozwierza, łuskowatego mrówko jada i srokatę dziką z długimi, zakrzywionymi szablami. Raz, dość daleko, na jasnym tle zielonych gór widocznych między drzewami przemknął wielki, płowy zwierz. Mignął tak szybko, że nie mogliśmy go rozpoznać. Jeśli to był jeleń, jak zapewniał lord John, musiał być tak wielki, jak te potężne irlandzkie łosie, których szczątki od czasu do czasu znajduje się w trzęsawiskach mego rodzinnego kraju.

Od chwili opisanej już tajemniczej wizyty w naszym obozie, wracaliśmy do niego zawsze pełni złych przeczuc. Tym razem jednak zastaliśmy wszystko w porządku. Wieczorem odbyliśmy wielką naradę nad naszą sytuacją i planami na przyszłość. Muszę ją szczegółowo opisać, bo doprowadziła do ważnych postanowień, dzięki którym szybciej zbadaliśmy Ziemię Maple'a White'a, niż gdybyśmy ją poznawali w kilkutygodniowych wyprawach. Zaczął Summerlee. Cały dzień był w kłótniowym nastroju, a teraz jakaś uwaga lorda Johna o tym, co mamy robić jutro, wywołała wybuch.

— Jutro, pojutrze i stale — powiedział Summerlee — powinniśmy szukać wyjścia z tej pułapki.

Przez cały czas łamaliście sobie, panowie, głowę, jak się tu dostać. Teraz powinniście myśleć, jak się stąd wydostać.

— Dziwi mnie, mój panie — zagrzmiął Challenger gładząc swoją asyryjską brodę — że uczoney może się poddać tak nieszlachetnemu uczuciu. Jest pan w krainie, która dostarcza takich bodźców ambicji przyrodnika, jakich nikt nigdy nie miał. I mimo to proponuje pan powrót, teraz gdy zdobyliśmy zaledwie najbardziej powierzchowne wiadomości, co kraj ten zawiera i czym jest właściwie. Nie spodziewałem się tego po panu, profesorze Summerlee.

— Zechce pan pamiętać — odparł kwaśno Summerlee — że liczne grono moich słuchaczy pozostało w Londynie na łasce bardzo niekompetentnego zastępcy. Pod tym względem jesteśmy w odmiennej sytuacji, profesorze Challenger, bo jak wiem, nigdy nie powierzono panu odpowiedzialnej roli wykładowcy.

— Tak jest — rzekł Challenger. — Uważam, że świętokradztwem byłoby zaprzętać mózg odkrywcy pośledniejszymi zadaniami. Z tego względu nigdy nie podjąłem się ofiarowywanej mi roli belfra.

— Przez kogo ofiarowywanej? — z ironicznym uśmiechem zapytał Summerlee, ale lord John wtrącił się w porę.

— Przyznam — powiedział — że nie chciałbym wracać do Londynu z ogólnikowymi tylko wiadomościami o wyżynie.

— A ja nie ośmieliłbym się już teraz wrócić do redakcji i spojrzeć w twarz staremu

McArdle — rzekłem. (Niech mi pan wybaczy dosłowność sprawozdania.) — Nigdy by mi nie przebaczył, że nie wykorzystałem takiego materiału reporterskiego. Poza tym uważam, że nie ma o czym mówić, bo nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy stąd uciec.

— Prymitywny instynkt i zdrowy rozsądek naszego młodego przyjaciela do pewnego stopnia wynagradza mu wiele braków umysłowych — zauważył Challenger. — Oczywiście nie możemy brać pod uwagę motywów podyktowanych mu jego pożałowania godnym zawodem. Ale jak słusznie powiedział, nie możemy zejść na dół, toteż szkoda czasu na dalsze rozmowy.

— Szkoda czasu na wszystko inne — warknął Summerlee zza dymu swej fajki. — Pozwoli pan sobie przypomnieć, że przybyliśmy tutaj w wyraźnie określonej misji zleconej nam przez zebranie, które się odbyło w Instytucie Zoologii w Londynie. Mieliśmy stwierdzić, czy profesor Challenger mówi prawdę. Muszę przyznać, że mówił prawdę i to możemy już stwierdzić. Na tym kończy się nasze zadanie. Szczegółowe badania tej wyżyny są tak trudne i wielostronne, że musi się nimi zająć wieloosobowa wyprawa, dobrze wyposażona, bo tylko ona się z nimi upora. Nasze próby skończą się na tym, że tu zginiemy, a wraz z nami przepadną dla nauki zdobyte już przez nas wiadomości. Profesor Challenger wpadł na pomysł, jak się dostać na wyżynę pozornie niedostępną. Sądzę, że należy zaapelować do jego niezwykłej pomysłowości, by wymyślił jakiś sposób powrotu do świata, z którego przybyliśmy.

W duchu przyznałem mu rację. Nawet Challenger musiał się zastanowić nad faktem, że jeśli świat nie dowie się o naszym odkryciu, on nie pogrzebi swych wrogów.

— Na pierwszy rzut oka zagadnienie to jest bardzo trudne — powiedział. — Lecz mimo wszystko rozum mu podola. Gotów jestem zgodzić się z naszym kolegą, że dłuższe pozostawanie tutaj w obecnych warunkach byłoby niewskazane i że niebawem będziemy musieli pomyśleć, jak zejść na równinę. Jednakże stanowczo nie zgadzam się opuścić wyżyny, dopóki — choćby powierzchownie — nie zbadamy jej i nie sporządzimy jakiejś mapy, którą zabierzemy ze sobą. Profesor Summerlee sapnął niecierpliwie.

— Dwa męczące dni upłynęły nam na badaniach — powiedział — i tyle wiemy o topografii wyżyny co na początku. Niewątpliwie pokrywają ją gęste lasy i trzeba by długich miesięcy, by je przebyć i poznać cały teren. Gdyby pośrodku był jakiś wysoki szczyt, sprawa wyglądałaby inaczej. Jednakże tak dalece jak możemy stwierdzić, teren opada ku środkowi. Im głębiej więc się zapuścimy, tym mniej mamy szans zdobycia jakiegoś ogólnego poglądu na jego układ.

W tej chwili doznałem olśnienia. Siedzieliśmy w cieniu potężnych konarów olbrzymiego drzewa i mój wzrok przypadkiem padł na jego wielki, sękaty pień. Jeżeli było znacznie grubsze od innych drzew, to i wierzchołkiem musiało je przerastać. I jeżeli najwyższym punktem wyżyny była jej krawędź — czemu to drzewo na niej nie miałoby odegrać roli strażnicy dominującej nad całym krajem? W dzieciństwie, w Irlandii, łobuzując się, doskonale drapałem się po drzewach. Moi towarzysze mogli być mistrzami w alpinistyce, ale wiedziałem, że w tym nie zdołają mi dorównać. Gdybym tylko mógł postawić nogę na najniższej gałęzi, wdrapałbym się na szczyt. Ta myśl bardzo przypadła wszystkim do gustu.

— Nasz młody przyjaciel — rzekł Challenger wydymając czerwone półkule policzków — podoba akrobatycznym ćwiczeniom, których nie wykona człowiek solidniejszej, choć może bardziej imponującej budowy. Mogę tylko przyklasnąć jego pomysłowi

— Na Boga, panicyku, trafiłeś w sedno — powiedział lord John klepiąc mnie po plecach. — Że też wcześniej na to nie wpadliśmy. Do zmroku została nam wprawdzie najwyżej godzina, ale jeśli zabierze pan notes, zdejmie pan jeszcze powierzchniowy szkic terenu. Podstawimy te trzy skrzynki z nabojami pod gałąź i w mig pana na nią podsadzą.

Wszedł na skrzynki, ja stanąłem pod drzewem i już mnie unosił, kiedy Challenger podskoczył i potężną dłoń wypchnął mnie w górę, tak że wyleciałem jak z procy. Schwyciwszy się oburącz konaru szurałem nogami po pniu, mozolnie pnąc się wyżej, aż wreszcie udało mi się przewiesić ciałem przez konar. Po chwili już na nim klęczałem. Nad głową miałem trzy wspaniałe gałęzie niczym trzy wielkie szczeble drabiny, a jeszcze wyżej — gąszcz splecionych, dogodnych dla wspinania konarów. Właziłem więc z łatwością i niebawem straciłem ziemię z oczu, a pod sobą miałem tylko morze zieleni. Od czasu do czasu trafiała mi się jakaś przeszkoda i raz nawet musiałem się wspinać jakieś osiem czy dziesięć stóp po pnączu. Posuwałem się jednak szybko, tak że donośny głos Challengeera rozlegał się gdzieś daleko przede mną. Drzewo jednak było bardzo wysokie i patrząc w górę nie mogłem dojrzeć prześwitu między listowiem. Na gałęzi, na którą się właśnie wdrapałem, rósł jakiś pasożyt wielkości dobrego krzaka. Gdy wysunąłem głowę, by zobaczyć, co jest poza nim, niemal nie spadłem ze zdumienia i przerażenia,

Z odległości stopy czy dwóch patrzyła na mnie jakaś twarz. Coś zaczęło się za wielkim pnączem i wyjrzało zza niego równocześnie ze mną. Była to ludzka twarz, a raczej bardziej ludzka od jakiegokolwiek widzianej przeze mnie małpiej: długa, biaława, usiana pryszczami, o nosie spłaszczonym, wystającej dolnej szczęce i szczeciniastych bokobrodach. Spod grubych, krzaczastych brwi wyzierały oczy dzikie i groźne, a gdy wargi rozchyliły się z rykiem podobnym do przekleństwa, ujrzałem zakrzywione, ostre, psie kły. Przez chwilę złe oczy spoglądały na mnie wściekle i z nienawiścią. Potem błyskawicznie zbudził się w nich lęk. Stwór, z trzaskiem łamiąc gałęzie, nurknął w zielony gąszcz. Mignęło mi jeszcze tylko owłosione ciało podobne do cielska rudawej świni i zwierzę znikło w kłębowisku liści.

— Co się tam dzieje? — krzyknął Roxton z dołu. — Coś złego?

— Widzieliście go?! — krzyknąłem, kurczowo obejmując konar i drżąc na całym ciele.

— Słyszeliśmy jakiś hałas, jakby się panu noga obsunęła. Co się stało?

Nagle i niespodziewane spotkanie z małpoludem tak mną wstrząsnęło, że chwilę zastanawiałem się, czy nie wrócić i nie opowiedzieć towarzyszom o tej przygodzie. Ale byłem już tak wysoko, że wstydzilem się zejść z niczym.

Zaczekałem więc dość długo, by nabrać tchu i równowagi ducha, i zacząłem się pisać dalej. Raz jakaś spróchniała gałąź załamała się przede mną. Przez parę sekund zwisałem na rękach, ale na ogół biorąc szło mi dość gładko. Powoli gąszcz zaczął rzędnąć, wiatr owiał mi twarz i zrozumiałem, że jestem już powyżej poziomu lasu. Postanowiłem jednak nie rozglądać się, dopóki nie dotrę do samego wierzchołka. Piąłem się dalej, aż wreszcie dotarłem do najwyższej gałęzi, która ugięła się pod moim ciężarem. Siadłem wygodnie w jakimś

rozwidleniu i chwiejąc się wraz z drzewem, dość zresztą bezpieczny, ujrzałem przed sobą wspaniałą panoramę tego przedziwnego kraju.

Słońce stało tuż nad horyzontem, wieczór był jasny, powietrze przejrzyste, dobrze więc widziałem całą wyżynę pod sobą. Z tej wysokości wydawała się owalna. Miała ze trzydzieści mil szerokości i ze dwadzieścia długości. Z kształtu przypominała olbrzymi lej z ogromnym, o obwodzie dziesięciu mil jeziorem pośrodku. Zielone, obrzeżone gęstym sitowiem, poprzecinane licznymi piaszczystymi mieliznami mieniącymi się złotem w ostatnich blaskach słońca, pięknie wyglądało w łagodnym świetle dogasającego dnia. Kilka jakichś podłużnych czarnych przedmiotów, za dużych na aligatory i za długich na łodzie, leżało na tych mieliznach. Przez lornetkę widziałem wyraźnie, że się ruszają, ale nie mogłem poznać, co to jest.

Z tego krańca wyżyny, na którym byliśmy, biegł ku jezioru pięcio-sześciomilowy las, poprzecinany tu i ówdzie polanami. Tuż u mych stóp leżała Polana Iguanodonów, a nieco dalej widziałem wyrwę w gęstwinie — Bagno Pterodaktyli. Ale teren na wprost mnie wyglądał zupełnie inaczej. Tu bazaltowe skały przypominały urwisko oddzielające wyżynę od reszty świata i tworzyły wysoką na jakieś dwadzieścia stóp skarpe porośniętą u dołu zbocza drzewami. U podnóża tych czerwonych skał, dość wysoko nad ziemią, dojrzałem przez lornetkę rząd czarnych plam. Domyśliłem się, że są to wyloty pieczar. W jednym z nich zamigotało coś białego, nie mogłem jednak poznać, co by to było. Aż do zachodu słońca, póki mrok nie zatartł mi szczegółów, pilnie szkicowałem mapę. Potem zeszedłem do mych towarzyszy, niecierpliwie czekających na mnie u stóp drzewa. Przynajmniej raz w życiu i ja zostałem bohaterem. Sam wpadłem na genialny pomysł i sam go wykonałem! Mieliśmy mapę, która oszczędziła nam miesięcznego wążowania się na ślepo wśród niezbadanych niebezpieczeństw. Moi koledzy uścisnęli mi rękę z uroczystymi minami. Ale zanim zabraliśmy się do omawiania szczegółów mapy, musiałem im opowiedzieć o spotkaniu z małpoludem.

— Siedział na drzewie przez cały czas — zakończyłem.

— Skąd pan wie? — zapytał lord John.

— Bo ciągle czułem, że jakaś zła istota nie spuszcza nas z oka. Wspomniałem panu o tym, profesorze Challenger.

— Nasz młody przyjaciel rzeczywiście coś mi o tym mówił. Z nas wszystkich on jeden obdarzony jest tą celtycką wrażliwością, która pozwala mu wyczuć podobne rzeczy.

— Cała teoria telepatii... — zaczął Summerlee napętniając fajkę.

— Jest za obszerną dziedziną, by o niej teraz mówić — uciął Challenger. — Niech pan mi powie — zwrócił się do mnie z miną biskupa przemawiającego do uczeni niedzielnej szkółki — nie zauważył pan przypadkiem, czy to stworzenie mogło zagiąć wielki palec na dłoń?

— Nie zauważyłem.

— A czy miało ogon?

— Nie.

— Czy palce u nóg miało chwytliwe?

— Chyba tak, jakżeby inaczej znikło tak szybko w gęstwinie.

— Jeśli mnie pamięć nie myli — profesorze Summerlee, proszę mnie poprawić, gdybym był w błędzie — w Ameryce Południowej żyje trzydzieści sześć gatunków małp, ale nie ma wśród nich małp człekokształtnych. Jasne jest jednak, że można je znaleźć na tej wyżynie i że nie przypominają ona włochatej odmiany goryli, spotykanych, tylko w Afryce lub na Wschodzie, (Gdy patrzyłem na niego aż mnie, korcilo, by wtrącić, że najbliższego kuzyna tych goryli widziałem w Kensington!) Ten okaz ma pysk owłosiony i jest bezbarwny, co dowodzi, że spędza życie w odosobnieniu, w gąszczu cienistych drzew. Stoi przed nami zagadnienie, czy zaliczyć to zwierzę do małp, czy już do ludzi. W ostatnim wypadku mielibyśmy do czynienia z tym, co potocznie nazywa się „brakującym ogniwem”. Obowiązek nakazuje natychmiast rozwikłać ten problem.

— Nic podobnego — ostro rzucił Sumrnerlee, — Teraz, kiedy dzięki pomysłowości i energii pana Malone (nie mogę nie zacytować tych słów) mamy już mapę wyżyny, musimy bezzwłocznie wydostać się z tego straszego miejsca zdrowo i cało.

— Z kolebki cywilizacji — huknął Challenger.

— Raczej z kałamarza cywilizacji, łaskawy panie, bo stąd, że tak powiem, zaczerpnijemy atrament, by opisać, cośmy widzieli. A dalsze badania pozostawmy innym. Zresztą zgodziliśmy się już na to, min pan Malone zdobył dla nas mapę.

— Dobrze — rzekł Challenger. — Muszę przyznać, że i ja będę spokojniejszy, gdy nasi przyjaciele dowiedzą się o wynikach wyprawy. Wciąż jednak nie mam pojęcia, jak się stąd wydostać. Ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się stanąć przed zagadką, której mój genialny mózg nie potrafiłby rozwiązać. Obiecuję panom, że od jutra zacznę rozmyślać, jak zejść z wyżyny.

Na tym się skończyło. Tego wieczoru przy świetle ogniska i jedynej świecy wykończyliśmy pierwszą mapę zaginionego świata. Każdy szczegół, z grubsza naszkicowany z mej wieży obserwacyjnej, wrysowaliśmy na właściwe miejsce. Ołówek Challengeera zawisł nad białą plamą znaczącą jezioro.

— Jak ja nazwiemy — zapytał.

— Czemu nie miałby pan skorzystać a okazji, by uwiecznić własne nazwisko? — ze swyklą sobie złośliwą ironią rzekł Summerlee.

— Wierzę, mój panie, że moje nazwisko zyska sobie poważniejsze i bardziej osobiste prawo przejścia do potomności — surowo odparł Challenger. — Byle nieuk może uwiecznić swe małe co warte nazwisko nadając je jakiejś górce czy rzece. Ja takich pomników nie potrzebuję.

Summerlee z kwaśnym uśmiechem szykował się do nowego ataku, ale lord John wtrącił pośpiesznie:

— Mój paniczku, panu przysługuje prawo nadania nazwy temu jezioru. Pan pierwszy je ujrzał i jeśli chce pan nazwać je „Jezioro Malone'a", nikt tego panu nie zabroni.

— Racja. Niech nasz młody przyjaciel ochrzci je, jak chce — rzekł Challenger.

— A zatem — powiedziałem i przyznaję, że zarumieniłem się przy tych słowach — niech

się nazywa „Jezioro Gladys”.

- Czy nie sądzi pan, że nazwa „Jezioro Środkowe” lepiej odpowiadałaby rzeczywistości?
- zapytał Summerlee.
- Wolę Jezioro Gladys.

Challenger spojrzął na runie współczująco i z ironiczną dezaprobatą potrząsnął wielką głową.

- Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami — rzekł. — Niech więc będzie Jezioro Gladys.

ROZDZIAŁ XII

STRASZNO BYŁO W LESIE

Zdaje się, że już wspomniałem — a może i nie wspomniałem, bo moja pamięć zaczyna mi płatać brzydkie figle — że promieniłem dumą, kiedy trzech tacy ludzie jak moi towarzysze dziękowali mi za znalezienie wyjścia z sytuacji albo przynajmniej za jej polepszenie. Od samego początku trapił mnie kompleks niższości, bo ustępowałem im nie tylko wiekiem, ale i doświadczeniem, wiedzą, siłą charakteru — wszystko, co składa się na męską dojrzałość. Teraz zdołałem im dorównać i nabrałem ducha. Niestety, pycha bywa ukarana! Słaby promyk dumy, który pogłębił we mnie ufność we własne siły, tejże nocy doprowadził mnie do najokropniejszej przygody w życiu, zakończonej takim nerwowym wstrząsem, że włosy jeżą mi się na głowie, ilekroć o tym pomyślę.

A stało się to tak. Byłem niezwykle podniecony przygodą na drzewie i nie mogłem zasnąć. Summerlee pełnił wartę. Siedział zgarbiony nad słabym ogniem, dziwaczny, kanciasty, ze strzelbą w poprzek kolan. Jego koźła bródka kiwała się przy każdym ruchu sennej głowy. Lord John leżał cicho, owinięty w swe południowo-amerykańskie poncho, a Challenger chrapał, aż echo szło po lesie. Księżyc w pełni świecił jasno, powietrze było rześko chłodne. Co za wspaniała noc na przechadzkę! I nagle zaświtła mi myśl: a może by tak spróbować? Założmy, że wymknę się cicho, dojdę do środkowego jeziora i wróciwszy na śniadanie, opowiem, co widziałem — czy taki czyn nie postawi mnie jeszcze wyżej w oczach moich towarzyszy? Wtedy, jeżeli pogląd profesora Summerlee zwycięży i znajdziemy sposób wydostania się z wyżyny, wrócimy do Londynu z konkretnymi wiadomościami o jej głównej tajemnicy, tajemnicy, którą przejrzałem sam i własnymi siłami. Pomyślałem o Gladys i jej słowach: „Każdy może być bohaterem”. Zdawało mi się nawet, że słyszę jej głos. Pomyślałem też o panu McArdle. Jakież wspaniałe materiały zdobyłbym do trzyszpaltowego artykułu! Co za kamień węgielny pod przyszłą karierę! Z łatwością mógłbym zostać korespondentem wojennym w najbliższej wielkiej wojnie! Sięgnąłem po sztucer — kieszenie miałem pełne ładunków — i odsunąwszy bramę w zasiece, szybko wymknąłem się z obozu. Moje ostatnie spojrzenie padło na drzemiącego profesora Summerlee — najgorszego wartownika na świecie — który wciąż kiwał się przed tlejącym ogniskiem jak jakiś dziwaczny mechaniczny pajac.

Nie uszedłem ani stu jardów, a już pożałowałem mojego pochopnego czynu. Wspominałem już chyba, że mam zbyt dużo wyobraźni, by być naprawdę odważnym człowiekiem, ale za nic

na świecie nie zdradziłbym się z tchórzostwem. I to pchało mnie naprzód. Nie mogłem wrócić z pustymi rękami, Nawet gdyby moje wyjście i powrót pozostało niezauważone, wstydziłbym się tego tchórzostwa przed samym sobą. A jednak drżałem ze strachu i oddałbym wszystko, co mam, by z honorem wycofać się z całej sprawy.

Straszno było w lesie. Blask księżycy nie przedostawał się przez gęstwą drzew i rozłożystych gałęzi. Tylko tu i tam widziałem przypadkiem na tle wygwieżdżonego nieba dziwną koronkę splątanych konarów. Oswoiwszy się z mrokiem zauważyłem, że cienie między pniami nie są jednakowo głębokie. Czasem wzrok mój przebijał ciemność, a czasem zatrzymywał się na jakichś czarnych jak węgiel plamach, podobnych do wylotów jaskiń. Odskakiwałem od nich z lękiem. Przypomniałem sobie rozpaczliwy jęk mordowanego iguanodona, straszny krzyk, który wstrząsnął puszcza. Przypomniałem też sobie okrwawioną, tłustą, pokrytą brodawkami paszczę, która mignęła mi w świetle głowni trzymanej przez lorda Johna. Byłem teraz na terenach łowieckich tego nieznanego i krwiożerczego potwora, który w każdej chwili mógł wyskoczyć na mnie z ciemności. Przystanąłem, wyjąłem nabój z kieszeni i otworzyłem zamek sztucera. Ale gdy go dotknąłem, serce zamarło mi z przerażenia. To była dubeltówka, nie sztucer!

Znów ogarnęła mnie chęć powrotu. Miałem cudowne wytłumaczenie. W tych warunkach nikt nie wzięby mnie za tchórze. Ale to słowo ugodziło w moją ambicję. Nie mogłem, nie wolno mi było się cofnąć. Zresztą w obliczu tych niebezpieczeństw, jakie mogły mnie czekać, sztucer był tyleż wart co dubeltówka. Gdybym wrócił do obozu, by zmienić broń, pewnie nie zdołałbym wejść i wyjść niepostrzeżenie. A wtedy musiałbym udzielić wyjaśnień i całe przedsięwzięcie przestałoby być wyłącznie moim. Po chwili wahania wzięłem się w garść i ruszyłem dalej, zaciskając pod pachą bezużyteczną dubeltówkę.

Głęboki mrok lasu działał na nerwy, ale jeszcze bardziej drażnił mnie biały, spokojny blask księżycy nalewający Polanę Iguanodonów. Przyglądałem się jej, ukryty w krzakach. Nie było tu ani jednego z tych wielkich stworzeń. Być może wyptoczyła je z ulubionego pastwiska niedawna tragedia. W mglistej, srebrzystej poświacie nie widziałem teraz żadnego znaku życia. Nabrałem więc odwagi, szybko przemknąłem przez polanę i odnalazłem w puszczy strumień, który miał mnie poprowadzić dalej. Był miłym towarzyszem: bulgotał i szemrał jak stary i drogi mi potok w Irlandii, w którym za młodych lat łapałem pstragi po nocach. Idąc z jego biegiem musiałem dojść do jeziora, a wracając w górę łatwo trafiłbym do obozu. W gęstwinie drzew strumień często nikł mi z oczu, ale zawsze słyszałem jego szemranie i plusk.

Im dalej schodziłem w dół zbocza, tym rzadszy stawał się las. Ustąpił miejsca krzakom i pojedynczym drzewom. Przyśpieszyłem więc kroku i choć wszystko widziałem, sam byłem ukryty. Przeszedłem tuż koło Bagna Pterodaktyli, a gdy je mijałem, usłyszałem ostre, skrzypiące jak sucha błona szelest skrzydeł — musiały mieć przynajmniej ze dwadzieścia stóp rozpiętości. To wielkie stworzenie zerwało się gdzieś w pobliżu i bujało w powietrzu, a gdy zasłoniło mi tarczę księżycy, srebrzysty blask bez trudu przebił błoniaste skrzydła. W tropikalnej poświacie wyglądało jak latający szkielec. Przykucnąłem w krzakach, bo wiedziałem już, że krzyk tego potwora od razu sprowadzi mi na kark setkę jego ohydnych, towarzyszy. Dopiero gdy znów usiadł, odważyłem się ruszyć dalej.

Noc była wyjątkowo cicha, powoli jednak poczęło docierać do mnie głębokie bezustanne dudnienie, płynące skądś, z przodu. Rosło z każdym krokiem, aż wreszcie usłyszałem je tuż przed sobą. Przystanąłem, a wtedy głos ten wydał mi się jednostajny, jakby szedł ze stałego źródła. Przypominał szmer wody gotującej się w kotle lub bulgotanie wielkiego garnka. Wkrótce odkryłem, co to było: pośrodku małej polanki ujrzałem jezioro, a raczej stawek — bo nie było większe od basenu fontanny na Trafalgar Square — wypełnione czarną, przypominającą smołę, gęstą cieczą. Co chwila na jej powierzchnię wyskakiwały pękając wielkie bąble gazu. Powietrze nad stawkiem drgało od upału, a ziemia wokół była tak gorąca, że parzyła rękę. Najwidoczniej siły wulkaniczne, które wiele lat temu dźwignęły tę wyżynę, wciąż jeszcze działały. Już dawniej widziałem wystające spod bujnej roślinności czarne skały i wzgórki lawy, ale ten asfaltowy staw w puszczy był dla mnie pierwszym dowodem, że na stokach wielkiego krateru wulkany wciąż jeszcze są czynne. Nie miałem czasu na bliższe zbadanie tego miejsca, bo musiałem się spieszyć, jeśli miałem na rano wrócić do obozu.

Była to okropna wędrówka, której nie zapomną do śmierci. Przemykałem się zacienionym skrajem oświetlonych blaskiem księżyca polan, w puszczy stąpałem ostrożnie, z biciem serca przystając przy każdym suchym trzaśnięciu gałązki (zdarzało się to dość często) łamanej ciężarem przemykającego obok dzikiego zwierzęcia. Od czasu do czasu mignął mi przed oczami wielki, cichy cień skradający się na miękkich puszkach łąp. Wiele razy stawałem i chciałem zawrócić, ale zawsze duma brała górę nad strachem i pchała mnie dalej.

Wreszcie (zegarek wskazywał pierwsza w oczy) poprzez rzednący las ujrzałem połysk wody, a w dziesięć minut później znalazłem się wśród sitowia otaczającego środkowe jezioro. Trapiło mnie pragnienie, położyłem się więc plackiem i długo piłem świeżą zimną wodę. W tym miejscu na brzegu dostrzegłem wydeptaną ścieżkę z licznymi śladami. Tu zwierzęta musiały schodzić do wodopoju. Nad samą wodą wznosił się wielki, samotny złom lawy. Wdrapałem się na niego, położyłem wygodnie i doskonale widziałem wszystko wkoło.

Pierwsza rzecz, jaką dostrzegłem, niepomiarne mnie zdziwiła. Opisując widok z wierzchołka drzewa wspominałem, że na odległym skalnym urwisku rysowały się ciemne plamy, jakby wyloty jaskiń. Teraz na tym samym urwisku zobaczyłem rozsiane liczne świetlne koła. Czerwone, jasne, przypominały iluminatory parowca płynącego w mroku. Przez chwilę myślałem, że to błyszcząca rozżarzona lava jakiegoś czynnego wulkanu. Ale chyba to nie to... Wulkan świeciłby w dole, u wylotu krateru, a nie wysoko między skałami. Więc cóż to być mogło? Zadziwiające, a jednak prawdziwe: te czerwone plamy to niezawodnie odbłask ogni płonących, w jaskiniach, ogni, które mogła rozniecić tylko ludzka ręka. A zatem na wyżynie żyli ludzie. Cóż za wspaniały sukces mej wyprawy! Jaką zadziwiającą nowinę zawieziemy do Londynu!

Leżąc, długo przyglądałem się migocącym czerwonym blaskom. Były chyba o dziesięć mil ode mnie, ale nawet stąd widziałem, jak czasem mrugały lub przygasały gdy przesuwiał się przez nie jakiś cień. Cóż bym dał za to, by się bliżej podczołgać, zajrzeć w głąb jaskiń i zanieść towarzyszom bliższe wiadomości o mieszkańcach tego dziwnego świata! Na razie było to niemożliwe. A jednak nie zejdziemy z wyżyny, zanim nie zbadamy tej tajemnicy!

Jezioro Gladys — moje jezioro — leżała przede mną jak tafla żywego srebra, a jasne światło księżyca odbijało się w toni. Woda była płytka; w wielu miejscach wynurzały się z

niej piaszczyste mielizny. Spokojna — tętniła jednak życiem, Czasem widziałem tylko sanie koła na wodzie i zmarszczki, czasem zaś mignął mi w powietrzu srebrzysty bok ryby, a czasem wyjrzał na powierzchnię szary, wypukły grzbiet jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Dojrzałem też na żółtym piasku coś podobnego do wielkiego łabędzia z niezgrabnym cielskiem i długą, giętą szyją. Stworzenie grzebało dziobem w wodzie, aż nagle zsunęło się do jeziora. Przez parę chwil widziałem jeszcze, jak wygięta szyja i kiwający się łeb unosiły się i opadały na falach. Potem dało nurka i znikło mi z oczu.

Wkrótce jednak przestałem się interesować tym dalekim widokiem, bo to, co się działo u moich stóp, było ciekawsze. Dwa zwierzęta podobne do olbrzymich pancerników przyszyły do wodopoju i przykucnęły na brzegu. Chłęcząc wodę wysuwały raz po raz długie, ruchliwe jęzory, przypominające dwie czerwone wstążki. Potężny jelen z wielkimi gałęziami rogów, wspaniałe zwierzę iście królewskiej postawy, wynurzył się z lasu z łanią i dwoma małymi i pił spokojnie tuż obok pancerników. Na całej kuli ziemskiej nie znalazłoby się drugiego takiego jelenia, bo żaden łos, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, nie sięgnąłby mu nawet do ramienia. Nagle zwierzę sapnęło ostrzegawczo i w mgnieniu oka znikło wraz z rodziną w sitowiu, a pancerniki też gdzieś uciekły. Nowy gość, najbardziej niesamowity potwór pod słońcem, szedł ścieżką.

Chwilę zastanawiałem się, gdzie mogłem widzieć to niezgrabne cielsko, wygięty grzbiet najeżony trójkątnymi kolcami i dziwna, ptasie głowę, zwieszoną teraz ku ziemi, i nagle przypomniałem sobie. To był stegozaur ze szkicownika Maple'a White'a, pierwsza rzecz, która zwróciła uwagę Challenge'a! Może był to okaz widziany przez Amerykanina. Ziemia dygotała pod ciężarem potężnego cielska, a bulgot chłęptanej wody rozlegał się głośno w nocnej ciszy. Przez pięć minut potwór stał tak blisko, że ręką mogłem dotknąć odrażającego grzebienia kolców. Potem stąpając ciężko przepadł gdzieś wśród głązów.

Rzuciłem okiem na zegarek i zobaczyłem, że było wpół do trzeciej: najwyższy czas wracać. Wiedziałem, jaki obrać kierunek, bo idąc tutaj trzymałem się lewego brzegu strumienia wpadającego do jeziora o parę kroków od głązu, na którym leżałem. Ruszyłem w drogę w podniosłym nastroju, czując, że się dobrze spisałem i że przyniosę do obozu sporo rewelacyjnych wiadomości. Najważniejsza dotyczyła ogni w pieczarach, bo to dowodziło, że mieszkają tam jacyś troglodyci. Ale poza tym mogłem powiedzieć coś niecoś o środkowym jeziorze, zapewnić, że żyje w nim pełno dziwnych stworzeń i że widziałem pierwotne zwierzęta lądowe, dotąd nie spotykane. Idąc myślałem, że mało kto na świecie spędził tak niezwykle noc i w ciągu tak krótkiego czasu zdobył dla nauki aż tyle nowych wiadomości.

Pogrążony w zadumie, szedłem po stoku i już byłem na pół drogi do domu, gdy jakiś dziwny głos za mną przywołał mnie do rzeczywistości. Było to coś pośredniego między chrapnięciem i krótkim rykiem: głos niski, głęboki i nad wyraz groźny. Jakiś tajemniczy zwierz musiał być blisko, choć go nie widziałem. Przyspieszyłem więc kroku, lecz nim uszedłem z pół mili, ryk powtórzył się — wciąż jeszcze za mną, ale tym razem głośniejszy i groźniejszy. Nagle przyszło mi do głowy, że jakiś potwór musi mnie gonić, i serce mi zamarło. Oblał mnie zimny pot, a włosy stanęły dęba. Godziłem się z tym, że zwierzęta rozdierają się nawzajem — stanowiło to fragment dziwnej walki o byt — ale myśl, że mogą z rozmysłem tropić i ścigać człowieka, pana wszelkiego stworzenia, była dla mnie niesamowita i przerażająca. Znów przypomniałem

sobie widzianą w świetle pochodni lorda Johna okrwawioną paszczę, jakby wyrwaną z najniższego kręgu dantejskiego piekła. Kolana ugięły się pode mną. Zatrzymałem się i zmartwiały obejrzałem na zalaną światłem księżycą ścieżkę. Krajobraz wydawał się uśpiony jak w bajce. Mogłem dostrzec tylko posrebrzone polany i ciemne plamy krzaków — nic więcej. I nagle z tej ciszy raz jeszcze nadleciał ten sam głęboki, bliski i groźny dźwięk, gardłowy charkot, o wiele bliższy i znacznie głośniejszy. Nie można było wątpić: coś szło po moich śladach i następowało mi na pięty.

Stałem jak sparaliżowany, nie odrywając wzroku od drogi, którą przeszedłem. Nagle zobaczyłem mego prześladowcę. Na przeciwległym skraju polany, którą tylko co przeciąłem, poruszyły się krzaki. Ogromny, czarny cień wyłonił się z nich i wyskoczył w jasne światło księżycy. Celowo użyłem słowa „wyskoczył”, bo zwierzę biegło jak kangur: wyprostowane, skakało na tylnych łapach, a przednie trzymało złożone przed sobą. Było wielkie i chyba bardzo silne. Przypominało słonia stojącego na tylnych łapach, ale mimo potężnej tuszy ruszało się zwinnie i żwawo. Przez chwilę myślałem, że to iguanodon — jak wiedziałem, stworzenie nieszkodliwe — ale choć byłem kompletnym laikiem pod tym względem, szybko poznałem, że to zupełnie coś innego. Zamiast łagodnej, jeleniej głowy roślinożernego, trójpalczastego zwierzęcia, ten potwór miał pysie szeroki, spłaszczony, ropuszy jak bestia, która złożyła nam wrzypę w obozie. Jego dziki ryk i wytrwałość wykazana w pościgu przekonały mnie, że to jeden z drapieżnych, dinozaurów, najgroźniejszych, zwierząt, jakie chodziły po świecie. Biegąc przez polanę opadał mniej więcej co dwadzieścia stóp na przednie łapy i węszył. Szedł po moich śladach. Czasem je gubił, potem znów je odnajdywał i szybko posuwał się przebytą przeze mnie ścieżką.

Nawet teraz na myśl o tym koszmarnym widoku pot występuje mi na czoło. Co miałem począć? W ręku trzymałem bezużyteczną dubeltówkę; Czy mogła mi pomóc? Rozpaczliwie szukałem wzrokiem jakiejś skały lub drzewa, ale byłem na krzaczastym terenie, gdzie jak okiem sięgnąć, nie rościło większe drzewo. A wiedziałem, że ścigający mnie potwór łamie normalne drzewa jak trzcinę. Jedyne ratunek leżał w ucieczce. Nie mogłem biec szybko po nierównym gruncie, ale rozglądając się w trwodze ujrzałem wyraźną, udeptaną ścieżkę przecinającą mi drogę. W czasie naszych poprzednich wypraw w głąb wyżyny widzieliśmy wiele podobnych drózek wydeptanych przez dzikie zwierzęta. Na niej mógłbym spróbować sił, bo byłem dobrym biegaczem i w doskonałej formie. Odrzuciłem więc niepotrzebną mi strzelbę i puściłem się w taką półmilówkę jak nigdy. Nogi mnie bolały, serce pękało, tchu brakło, ale strach dodawał sił. Biegłem, biegłem i biegłem... Wreszcie przystanąłem, do cna wyczerpany. Myślałem, że pozbyłem się prześladowcy. Ścieżka za mną była pusta i głucha. Aż nagle z łoskotem i trzaskiem łamanych gałęzi, tupotem olbrzymich stóp, ciężko dysząc wielkimi jak miech płucami, wpadł na nią goniący mnie potwór. Był tuż. Zrozumiałem, że jestem zgubiony. Jakże głupio postąpiłem nie uciekając od razu! Dotychczas potwór tropił mnie węchem i szedł wolno". Ale gdy już puściłem się pędem — dojrzał mnie. Odtąd biegł ścieżką jak wytyczoną drogą. Mina! zakręcił i sadził wielkimi susami, Księżyc oświetlał jego wielkie, wytupiające oczy, rząd potężnych zębów w otwartej paszczy i połyskujące, olbrzymie pazury przednich, krótkich i mocnych łap. Krzyknawszy z rozpacz, odwróciłem się i popędziłem ścieżką. Za plecami coraz wyraźniej słyszałem ciężki, sapiący oddech. Kroki

dudniły tuż tuż. Lada chwila spodziewałem się, że zwierzę chwyci mnie za kark. Ale nagle ziemia otworzyła się pode mną... poczułem, że gdzieś lecę, w oczach mi pociemniało i straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem z omdlenia — musiało trwać najwyżej parę minut — poczułem wstrętny, chyba najwstrętniejszy ze znanych mi, dokuczliwy odór. Wysunąłem rękę przed siebie i w ciemności natrafiłem na coś, co sprawiało wrażenie wielkiego kawała mięsa. Drugą ręką chwyciłem za jakąś dużą kość. Nade mną połyskiwał skrawek wygwieżdzonego nieba.. Najwidoczniej leżałem na dnie głębokiego dołu. Z trudem wstałem i obmacałem się od stóp do głów. Całe ciało miałem obolałe i sztywne, ale żadna kość nie była złamana, żadne ścięgno naderwane. Otrząsnąwszy się z oszołomienia przypomniałem sobie wszystkie okoliczności towarzyszące wpadnięciu w pułapkę i ze strachem spojrzałem w górę, czy na tle błędnącego nieba nie ujrzę groźnej głowy potwora. Nie było go jednak ani widać, ani słychać. Badając wkóło teren rękami, obszedłem wolno dół. Chciałem zrozumieć, w jakie to dziwne miejsce wpadłem, zresztą na szczęście dla siebie.

Było to coś w rodzaju głębokiej studni o dość stromych ścianach, gładkim dnie i średnicy jakichś dwudziestu stóp. Na ziemi poniewierały się wielkie kawały mięsa przeważnie w ostatnim stadium rozkładu. W powietrzu unosił się straszliwy zaduch. Depcząc i potykając się o gnijące szczątki natknąłem się nagle na coś twardego, co okazało się palem, mocna wbitym w sam środek dołu, tak wysokim, że ręką nie mogłem sięgnąć szczytu, i jakby pokrytym tłuszczem.

Nagle przypomniałem sobie, że w kieszeni nam pudełko woskowych, zapatek. Potarłem jedną z nich i przy jej świetle zobaczyłem, gdzie jestem. Bez wątplenia była to pułapka nastawiona ludzką ręką. Dziewięciostopowy pal z ostro zaciosanym szpicem czarny był od zastygłej krwi zwierząt, które się nań nadziały. Szczątki zaścielające ziemię były szczątkami zwierząt pociętych w kawałki, by oczyścić kół dla następnej ofiary. Przypomniałem sobie twierdzenie Challengeera, że na wyżynie nie może być ludzi, bo ze swoją prymitywną bronią nie zdołaliby stawić czoła żyjącym tu potworom. Teraz widziałem już, Jak sobie radzą. Obojętne, kim byli, chronili się w jaskiniach o tak wąskim wejściu, że potężne jaszczury nie mogły się do nich dostać, a mieli już dość rozwinięte mózgi, by zastawiać wilcze doły na ścieżkach uczęszczanych przez zwierzęta. Te pułapki, zamaskowane gałęziami, pozwalały walczyć z najsilniejszymi i najbardziej dzikimi potworami. Człowiek zawsze był panem stworzenia.

Zwinny mężczyzna bez trudu mógł się wdrapać po spadzistej ścianie dołu, wahałem się jednak dość długo, nim odważyłem się wyjść na powierzchnię, gdzie mógł czyhać dinozaur, który o mały włos nie dostał mnie w swe łapy. Nie wiadomo, czy nie przyczaił się w najbliższych krzakach i nie czeka na ramie. Jednak przypomniawszy sobie, co Challengeer i Summerlee mówili o zwyczajach tych wielkich gadów, zdobyłem się wreszcie na odwagę. Obaj zgadzali się wtedy, że te potwory są prawie całkiem bezmyślne, bo w ich małych, czaszkach mogą się umieścić tylko małe mózgi. Jeżeli zginęły z powierzchni ziemi, to przez własną głupotę, która nie pozwoliła im przystosować się do zmieniających się warunków życia.

Zwierzę mogłoby na mnie czatować, gdyby pojęło, co mnie spotkało, ale to wymagałoby

umiejętności powiązania przyczyny i skutku. Należałoby więc przypuszczać, że nierozumny potwór, kierujący się tylko niejasnym drapieżnym instynktem, poniechał mnie, gdy zginąłem mu z oczu, i po krótkim zdumieniu wyruszył na poszukiwanie nowego łupu. Wdrapałem się zatem pod sam brzeg dołu i wyjrzałem na zewnątrz. Gwiazdy już gasły, niebo bladło, a chłodny ranny wietrzyk owiał mi twarz. Żaden cień ani szelest nie zdradzał obecności dinozaura. Wyczołgałem się więc powoli i chwilę siedziałem nieruchomo, gotów nurknąć do mego dołu przy najmniejszym niebezpieczeństwie. Potem, gdy martwa cisza i wstający dzień dodały mi odwagi, zebrałem siły i ruszyłem z powrotem ścieżką, którą przyszedłem. O kilkaset kroków dalej znalazłem porzuconą dubeltówkę, a w chwilę później stanąłem nad brzegiem strumienia — mego przewodnika. Oglądając się niespokojnie za siebie, ruszyłem do obozu.

Niespodziewanie wydarzyło się coś, co przypomniało mi o istnieniu towarzyszy. W jasnym, cichym rannym powietrzu rozgrzmiał daleki, ostry huk pojedynczego wystrzału. Przystanąłem nad słuchując uważnie, lecz znów zapadła martwa cisza. Przez chwilę bałem się, że spotkało ich jakieś nieszczęście. Ale potem przyszło mi do głowy prostsze wytłumaczenie. Rozwidniło się na dobre i najwidoczniej musieli zauważyć moją nieobecność. Pewnie myślą, że zabłądziłem w lesie i w ten sposób wskazują mi kierunek. Co prawda postanowiliśmy nie strzelać, ale może myślą, że grozi mi niebezpieczeństwo, i dlatego bez wahania dają mi znaki. Trzeba się było spieszyć, by jak najprędzej ich uspokoić.

Byłem zmęczony i wyczerpany, nie mogłem więc iść tak szybko, jak chciałem. Ale w końcu dotarłem na znany sobie teren. Na lewo miałem Bagno Pterodaktyli, a przed sobą Polanę Iguanodonów. Teraz już tylko ostatni pas drzew dzielił mnie od Fortu Challengeera. Krzyknąłem wesóło, by uspokoić przyjaciół, ale nikt mi nie odpowiedział. Ta złowróżbna cisza przejęła mnie zgrozą. Puściłem się biegiem. Zobaczyłem zasiekę, taką jak ją zostawiłem, ale z otwartą bramą. Wbiegłem do środka. W bladym, chłodnym świetle poranka ujrzałem okropny widok. Cały nasz ekwipunek był rozrzucony, moi towarzysze zniknęli, a na trawie tuż przy dogasających popiołach ogniska ujrzałem ciemną i straszną kałużę krwi.

Ten widok tak mnie przeraził, że straciłem na chwilę przytomność umysłu. Jak przez mgłę, jak zły sen pamiętam, że biegałem po lesie wokół pustego obozowiska, głośno wołając towarzyszy. Ciemny i cichy las nie odpowiadał. Do szaleństwa doprowadzała mnie myśl, że może już nigdy ich nie ujrzę, że zostałem sam jak palec na tej okropnej wyżynie, że może nigdy z niej nie zejść i że będę musiał żyć i umrzeć w tym koszmarnym świecie. Gotów byłem rwać włosy z rozpaczy i tłuc głową o drzewa. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, jak bardzo przyzwyczałem się liczyć na spokojną pewność siebie Challengeera i mistrzowskie, żartobliwe opanowanie lorda Roxtona. Bez nich czułem się jak dziecko zagubione w ciemności — bezradny i bezsilny. Nie wiedziałem, co począć i dokąd pójść.

Ale gdy pierwsze oszołomienie minęło, zabrałem się do badania, jakie to nieszczęście mogło ich spotkać. Nieporządek w obozie wskazywał, że zaatakowano ich niespodzianie, w chwili kiedy usłyszałem wystrzał. Musiano ich zaskoczyć, skoro wystrzelili tylko raz. Sztucery leżały na ziemi, a ulubiona broń lorda Roxtona miała jeden ładunek pusty w komorze. Z nieporządku, w jakim leżały rzucone przy ognisku koce profesora Challengeera i Summerlee, wnioskowałem, że obaj spali w czasie napaści. Skrzynie z amunicją i jedzeniem

poniewierały się wszędzie razem z naszymi aparatami fotograficznymi i kasetami ale żadnej nie brakowało. Jednakże cała żywność z otwartych puszek zniknęła, a pamiętam, że było jej sporo. A więc napadu dokonały zwierzęta, nie ludzie, którzy zabraliby wszystko.

Lecz jeżeli to były zwierzęta lub jakiś samotny potwór, co za los spotkał moich przyjaciół? Dzika bestia zabiłaby ich na pewno, a wtedy pozostałyby ich szczątki. Co prawda była tu straszna kałuża krwi, która świadczyła o przemocy. Taki potwór, jaki mnie gonił, porwałby człowieka równie łatwo, jak kot porwa mysz. Lecz wtedy pozostali rzuciliby się za nim w pościg, no i oczywiście zabraliby broń. Im więcej łamałem sobie skołataną i obolałą głowę, tym trudniejsza wydawała mi się ta zagadka. Przeszukałem las w pobliżu, ale nic wpadłem na żaden ślad. Raz nawet zmyliłem drogę i tylko memu szczęściu zawdzięczam, że po godzinie błędzenia znów trafiłem do obozu.

Nagle przyszła mi pewna myśl do głowy i dodała otuchy. Nie byłem zupełnie sam. W dole, u podnóża skał, nie dalej niż głos niesie, czeka wierny Zambo. Poszedłem na skraj urwiska i wyjrzałem zza niego. Rzeczywiście Zambo siedział skulony pod kocami przy ognisku swego małego obozu. Ale ku memu zdziwieniu ktoś drugi przykucnął przed Murzynem. Serce zabiło mi szybciej na myśl, że to może któryś z moich towarzyszy zdołał zejść na dół. Ale nadzieja ta zaraz się rozwiła. W promieniach wstającego słońca twarz przybysza połyskiwała czerwono. To był Indianin. Krzyknąłem głośno i począłem machać chustką. Zambo spojrzał w górę, skinął ręką i podszedł do samotnej skały. Za chwilę stał już niedaleko ode mnie i przygnębiony słuchał mojej opowieści.

— Na pewno diabeł ich porwał, massa Malone — powiedział wreszcie. — Wpadliście w diabelski kraj i szatan ich porwał. Niech pan posłucha mojej rady i zaraz zejdzcie, bo i pana porwie.

— Jakże zejde, Zambo?

— Niech pan zerwie jakąś lianę z drzewa i przerzuci do mnie. Przywiążę ją do pnia i będzie pan miał most.

— Myśleliśmy o tym. Ale nie ma to takich lian, które wytrzymałyby ciężar człowieka.

— Trzeba postać po liny.

— Kogo pośle i dokąd?

— Do osady Indian. W ich osadzie jest pełno lin ze skór. Indianin siedzi na dole. Jego pan pośle.

— Kto to jest?

— Jeden z naszych Indian. Inni go pobili i odebrali mu pieniądze. Wrócił do nas. Weźmie list, przyniesie liny... wszystko, co potrzeba.

Weźmie list! Czemu nie? Może sprowadzi pomoc. A w każdym razie dzięki niemu nasze życie nie pójdzie na marne, bo przyjaciele w ojczyźnie dowiedzą się, cośmy zrobili dla nauki. Miałem już dwa listy gotowe. Spędzę dzień na pisaniu trzeciego, w którym opowiem, o ostatniej przygodzie. Indianin przekaze je dalej. Kazałem więc Zambo, by wieczorem znów wspiął się na skałę, i cały smutny i samotny dzień zeszedł mi na pisaniu. Skreśliłem też notatkę, którą Indianin ma oddać pierwszemu spotkanemu białemu kupcowi lub kapitanowi parowca. Błagałem w niej, by przysłano nam. liny, bo od tego zależy nasze życie. Listy i

sakiewkę z trzema angielskimi suwerenami przerzuciłem wieczorem wiernemu Murzynowi. Pieniądze miał dostać Indianin, a obiecałem mu dwa razy tyle, gdy wróci z linami. Teraz więc rozumie pan, drogi panie McArdle, w jaki sposób ten list pana dojdzie. Będzie też pan znał prawdę w wypadku, gdyby już pan nic więcej nie usłyszał o pańskim nieszczęsnym korespondencie. Dziś wieczór jestem za bardzo zmęczony i przybity, by układać jakieś plany. Jutro zastanowię się, jak szukać moich nieszczęsnych przyjaciół lub śladu po nich nie tracąc łączności z obozem.

ROZDZIAŁ XIII

WIDOK, KTÓREGO NIGDY NIE ZAPOMNĘ

Tego smutnego wieczoru o zachodzie słońca ujrzałem samotną postać Indianina idącego równiną. Patrzyłem za nim — naszą wątłą nadzieją ratunku — aż zniknął mi z oczu we wstającej wieczornej mgle, różowej w promieniach zachodzącego słońca i leżącej między mną a odległą rzeką.

Już po ciemku wróciłem do naszego dotkniętego klęską obozu, a ostatni widok, który zapamiętałem na odchodnym, to czerwony blask ogniska Zamby, jedyny jasny punkt w odległym świecie pode mną, tak jak obecność wiernego Murzyna była jedyną pociechą dla mej skołatanej duszy. A jednak po raz pierwszy od tego fatalnego ciosu czułem się nieco różnie, bo krzepiła mnie myśl, że świat dowie się, czegośmy dokonali, i że przynajmniej nasze nazwiska nie zginą z nami, lecz przejdą do potomności wraz z naszym odkryciem.

Przerażała mnie noc, którą miałem spędzić w nieszczęsnym obozie. Ale jeszcze gorzej byłoby spać w puszczy. Musiałem się zdecydować albo na jedno, albo na drugie. Ostrożność nakazywała czuwać, jednak natura ludzka ma swoje prawa. Wdrapałem się na gałąź wielkiego drzewa, lecz zobaczyłem niebawem, że się na niej nie utrzymam i zleczę, ledwie zamknę oczy — bo kragła, gładka powierzchnia nie dawała mi żadnego oparcia. Zeszedłem więc i jałem się zastanawiać, co dalej począć! W końcu zamknąłem bramę fortu, rozpalilem trzy ogniska w trójkąt, zjadłem porządną kolację i zapadłem w głęboki sen, z którego zbudziłem się w sposób zupełnie niespodziewany, acz bardzo miły. O świcie ktoś położył mi dłoń na ramieniu. Trzęsąc się z przerażenia i po omacku szukając sztucera zerwałem się na równe nogi. Krzyknąłem jednak radośnie, gdy w mdłym, szarym świetle poranka ujrzałem klęczącego przy mnie lorda Johna.

Był to on — a przecież nie on. Zostawiłem go opanowanego, spokojnego, dbałego o siebie i swój ubiór. Teraz wzrok miał błędny, twarz bladą i dyszał ciężko jak człowiek, który przybiegł szybko i z daleka. Jego pociągłe oblicze było skrwawione i podrapane, ubranie wisało w strzępach, kapelusz gdzieś znikł. Patrzyłem zdziwiony, ale nie dał mi czasu na żadne pytania. Mówiąc do mnie, przez cały czas gorączkowo przebierał w naszych zapasach.

— Prędko, paniczku! Prędko! Nie traćmy ani chwili. Bierz sztucery — oba. Mam już dwa inne. Napchaj kieszenie nabojami. Bierz, ile się zmieści. Teraz trochę jedzenia. Sześć puszek starczy. Dobrze! O niczym nie myśl i o nic nie pytaj. W drogę, bo zginiemy!

Ciągle na pół senny i niezdolny pojąć, co to wszystko ma znaczyć, zdałem sobie nagle sprawę, że biegnę za nim co sił przez las, ze sztucerem pod każdą pachą i z rękami pełnymi

różnych zapasów. Roxton kluczył przez najgęstsze zarośla, aż dopadł zwartej kępy rozłożystych krzaków. Nie bacząc na kolce zaszył się w sam środek i pociągnął mnie za sobą.

— No — westchnął ciężko. — Tu chyba jesteście bezpieczni. Wpadną do obozu, jak dwa razy dwa — cztery. Taka będzie ich pierwsza myśl. Ale to je zaskoczy.

— O co chodzi? — zapytałem odzyskawszy oddech. — Gdzie są profesorowie? Kto nas goni?

— Małpoludy — odparł. — Boże, cóż za bestie! Mów cicho, mają dobry słuch, bystre oczy, ale jak zdążyłem zauważyć, brak im węchu. Myślę, że nas nie zwęszą. Gdzie pan był? Tanio się pan wykpił.

W paru zdaniach opowiedziałem mu szeptem moje przygody.

— Paskudna sprawa — rzekł wysłuchawszy historii o dinozaurze i Wilczym dole. — To miejsce to nie kurort. Co? Ale nawet sobie nie wyobrażałem, jakie jest naprawdę, póki te diabły nas nie złapały. Raz byłem już w rękach ludożerczych Papuasów, ale tamci to džentelmeni w porównaniu z tymi gagatkami.

— Jak się to stało? — zapytałem.

— Przyszły o świcie. Nasi uczeni przyjaciel? dopiero się zbudzili. Nawet nie zdążyli się jeszcze pokłócić. Nagle małpy posypały się z drzewa jak dojrzałe jabłka. Musiały się zebrać w nocy i drzewo aż się ugięło pod ich ciężarem. Jednej przestrzeliłem brzuch na wylot. Nie zdążyliśmy się potapać, gdy już leżeliśmy rozkrzyżowani na plecach. Mówię, że to były małpy, ale w ręku miały kamienie lub kije i jazgotały między sobą. W końcu związały nam ręce lianami, muszą więc być mądrzejsze od wszystkich innych zwierząt, jakie widziałem w moich podróżach. To małpoludy — nic innego. Brakujące ogniwo... i szkoda, że się znalazło! Zabrały swego rannego towarzysza — krwawił jak świnia. Potem siadły koło nas. I jeśli się na tym znam choć trochę, widziałem zimną chęć mordy na ich pyskach. Są wielkie, tak duże jak człowiek, ale znacznie silniejsze. Mają dziwne, szkliste oczy pod rudymi, krzaczastymi brwiami. Siedziały i radowały się między sobą. Challenger nie jest tchórzem, ale i on miał stracha. Jakimś cudem zerwał się na nogi i ryknął na nie, żeby nam dały spokój. Tek był wszystkim zaskoczony, że musiał całkiem stracić głowę, bo szalał i kłął jak wariat. Nawet gromadzie swych „pupilków” — dziennikarzy nie wymyślałby lepiej.

— A co one robiły? — Wstrząsnęła mną ta dziwna historia, którą mój towarzysz szeptał mi do ucha, przez cały czas uważnie badając wzrokiem okolice i nie wypuszczając nabitego sztucera z ręki.

— Myślałem, że zaraz skończą z nami, ale wybuch Challengeera skierował ich uwagę w inną stronę. Potrajkotały chwilę, a potem jeden stanął obok Challengeera. Będzie się pan śmiał, paniczku, ale słowo daję, wyglądali jak rodzeni bracia. Nie wierzyłbym, gdybym nie widział tego na własne oczy. Ten stary małpolud — wódz bandy — wyglądał jak rudy Challenger. Miał wszystkie wdzięki naszego przyjaciela tylko w większej skali: krótki korpus, krzepkie bary, wypukłą pierś i też brakowało mu szyi. Broda w rudych frędzlach opadała mu na pierś, brwi miał krzaczaste, wzrok mówiący: „odczep się, bracie”, i tak dalej. Kiedy stanął obok Challengeera i położył mu łapę na ramieniu, wypisz, wymaluj — dwaj bracia. Summerlee dostał

ataku hysterii i śmiał się do łez. Małpoludy też się śmiały — a przynajmniej rechotały szatańsko — a potem zabrały się do dzieła i powlokły nas przez puszcę. Nie tknęły strzelb i sprzętu — myślę, że się tego bały, ale zabrały wyjęte z puszek jedzenie. Nie cackały się ze mną i z profesorem Summerlee — moja skóra i ubranie najlepiej o tym świadczą. Ciągnęły nas prosto przez krzaki jałowca; same mają skórę twardą jak podeszew. Ale Challengerowi nie robiły nic złego. Cztery małpy niosły go na ramionach niby rzymskiego cezara. Co to?

Doszedł nas daleka stukot, jakby ktoś potrząsał kastanietami.

— Idą! — powiedział lord John ładując drugi, dwulufowy sztucer—Nabij wszystkie, paniczku, bo nie damy się wziąć żywcem. Nawet o tym nie myśl! Tak właśnie jazgoczą, gdy są podniecone. Na Boga! Damy im dość powodów do podniecenia, jeśli nas ruszą. Nie będzie tu jak w tej piosence; Z karabinami w stygnącym ręku, wśród trupów i konających, jak śpiewają półgłówki. Czy pan je teraz słyszy?

— Gdzieś bardzo daleko.

— Ten mały oddziałek nie jest groźny, ale sądzę, że więcej takich myszkuje po całym lesie. No, dobrze! Mówiłem panu o naszych nieszczęściach. Wkrótce przywlokły nas do swego miasta: z tysiąc chat z gałęzi i liści w dużym gaju na brzegu skał. Będzie stąd trzy, cztery mile. Wstrętne bestie obmacały mnie całego... chyba się już nigdy nie domyję. Związały nas — ten, który się mną zajął, robił to z wprawą bosmana. I tak leżeliśmy pod wielkim drzewem z zadartymi nogami, a jedna wielka bestia wartowała przy nas z maczugą w ręku. Mówię „my”, bo chodzi o mnie i profesora Summerlee; stary Challenger siedział na drzewie, zjadał ananasy i dobrze mu się działo. Muszę przyznać, że zdołał dać nam trochę owoców i własnymi rękami rozluźnił nasze więzy. Gdyby go pan widział na drzewie pytlującego w najlepsze ze swym bliźniakiem i śpiewającego dźwięcznym basem: Rozdzwonić się dzwony (każda muzyka wprowadza je w dobry humor), uśmiełby się pan do łez. Ale chyba rozumie pan, że nam nie było do śmiechu. Małpoludy pozwalały Challengerowi na swobodę ruchów, do pewnych gramie oczywiście, dla nas jednak nie miały żadnych względów. Wielką pociechą sprawiała nam myśl, że przynajmniej pan jest wolny i że zaopiekuje się pan naszymi archiwami.

Teraz powiem panu coś, co pana zdziwi. Mówił pan, że widział pan ślady jakichś ludzi: ognie, pułapki i tale dalej. Ale my oglądaliśmy tych ludzi. Małe, biedne, zalęknione stworzenia, a mają się czego lękać. Zdaje się, że władają one jedną stroną wyżyny, tamtą, gdzie pan widział jaskinie, a nad tą tutaj panują małpoludy. Między jednymi i drugimi trwa bezustanna krwawa waśń. Tak mi się przynajmniej zdaje. Wczoraj małpoludy złapały z tuzin ludzi i przywlokły ich do swego miasta. Nigdy w życiu nie słyszał pan takiego wrzasku i jazgotu! Ludzie byli mali, czerwonoskórzy i tak zbici i pokaleczeni, że ledwie się trzymali na nogach. Małpy zaraz zabiły dwóch — jednemu po prostu wyrwały rękę z ramienia... — całkiem po bestialsku. A jednak zuchy z tych ludzi, nawet nie pisnęli. Nam się niedobrze zrobiło. Summerlee zemdłał, nawet Challenger miał dosyć. Chyba sobie poszły, co?

Nastuchiwaliśmy chwilę, ale tylko świergot ptaków przerywał głąchą ciszę lasu. Lord John ciągnął więc dalej:

— Myślę, że to uratowało panu życie, młodzieńcze. Przez tych Indian zapomnieli o panu, bo inaczej wróciliby do obozu i złapały pana jak amena w pacierzu. Oczywiście, tak jak pan mówił, szpiegowali nas z drzewa od samego początku i musiały wiedzieć, że jednego brakuje. Ale teraz myślały tylko o swojej nowej zdobyczy. Tak więc to ja, a nie kupa małp, spadłem panu na głowę dzisiejszego ranka. No, dobrze! Potem czekała nas jeszcze gorsza niespodzianka. Mój Boże, co to za koszmar! Czy pamięta pan ten rozległy gaj zjeżonych bambusów tam w dole, gdzie znaleźliśmy szkielet Amerykanina? Rosną akurat pod miastem małp i na nie zrzuca się jeńców. Gdybyśmy wtedy uważnie przeszukali teren, na pewno znaleźlibyśmy kupę szkieletów. Małpy mają na skałach coś w rodzaju gładkiego placu defilady, a z całego obrzędu robią uroczystą ceremonię. Zmuszały biedaków do skakania w dół po kolei. Zabawa polega na tym, czy ofiara tylko się roztrzaska, czy też nadzieje na bambusy. Kazały nam patrzeć na to, a całe małpie plemię zebrało się na skraju skał. Czterech Indian skoczyło: bambusy weszły w nich jak igła w masło. Cóż więc dziwnego, że znaleźliśmy Amerykanina z bambusami sterczącymi spomiędzy żeber! To było straszne... Ale i fascynujące. Patrzyliśmy jak zaczarowani na skaczących ludzi, choć wiedzieliśmy, że i na nas przyjdzie kolej.

Ale tym razem jakoś się nam upiekło. Małpy zostawiły sześciu Indian na jutro — tak mi się przynajmniej zdaje — ale myślę, że w tym widowisku nam przeznaczyły popisową rolę. Challenger może by ocalał, ale Summerlee i ja byliśmy skazani na śmierć. Małpy porozumiewają się przeważnie gestami, łatwo więc je zrozumieć. Pomyślałem, że trzeba wiać. Zastanowiłem się i wyjaśniłem sobie niejedno. Nasz ratunek zależał tylko ode mnie: Summerlee był do niczego, a po Challengerze niewiele więcej można się było spodziewać. Gdy tylko znaleźli się razem, zaraz zaczęli sobie wymyślać. Nie mogli się pogodzić, czym są te rude diabły, które nas złapały. Jeden mówił, że to jawajski dryopithecus, a drugi — że to phithecantropus. Ja zaś mówię, że takie spory w takiej chwili to szaleństwo i wariactwo. Ale jak powiedziałem, nasunęły mi się dwa ważne spostrzeżenia. Po pierwsze, że te bestie nie potrafią tak dobrze biegać w otwartym terenie jak człowiek. Nogi mają krótkie, kabłąkowane, a cielska ciężkie. Nawet Challenger mógłby najlepszej z nich dać parę jardów for na sto. A pan i ja z łatwością je prześcigniemy. Po drugie — nie znają broni palnej. Chyba nigdy nie rozumieją, w jaki sposób ta, którą postrzeliłem, zarobiła ranę. Jeżeli więc uda nam się dostać do broni — myślałem — będziemy wiedzieli, co dalej robić. Rankiem uwolniłem się z pęt, kopnąłem wartownika w brzuch, aż się przewrócił, i puściłem się co tchu w piersi do obozu. Tam znalazłem pana i strzelby... na tym koniec.

— Ale co z profesorami? — pytałem przerażony.

— Ano, musimy ich wydostać, Nie mogłem uciec z nimi. Challenger siedział na drzewie, a Summerlee nie zdobyłby się na taki wysiłek. Jedynym ratunkiem było dostać strzelbę do rąk i wrócić z odsieczą Oczywiście małpy mogą zgładzić ich od razu przez zemstę. Nie sądzę, by to groziło Challengerowi, ale za życie profesora Summerlee nie ręczę. Tak czy owak, zgładziłyby go. — tego jestem pewien. Moja ucieczka nic nie popsuka. Jednakże honor każe nam ich ratować lub zginąć z nimi. Zrób rachunek sumienia, młodzieńcze, bo dziś przed wieczorem czeka nas wóz albo przewóz!

Starłem się wiernie oddać dynamiczny styl lorda Roxtona: krótkie, treściwe zdania i na

pół żartobliwy, niemal beztroski tom całej opowieści. Ale Roxton był urodzonym wodzem. Im bliższe było niebezpieczeństwo, tym bardziej zuchowaty i żywy był jego głos, zimne oczy nabierały ognia, a don-kichotowskie wąsy jeżyły się w radosnym podnieceniu. Umiłowanie niebezpieczeństwa i każdej dramatycznej sytuacji — tym intensywniejsze, iż ukrywane — porze świadczenie, że ryzykowanie życiem to tylko pewna odmiana sportu, zacięta gra między człowiekiem i Losem, w której śmierć była stawką, czyniły go niezastąpionym towarzyszem w. takiej chwili. Gdyby nie obawa o naszych profesorów, z prawdziwą radością rzuciłbym się z nim w podobną przygodę. Wstawaliśmy już z naszego ukrycia, gdy nagle chwycił mnie za ramię.

— Na Boga! — szepnął. — Idą!

Z miejsca, gdzie leżeliśmy, widać było jakby leśną nawę nakrytą zielonym stropem, w której pnie drzew były ścianami, a gałęzie — dachem. Tędy nadciągały teraz małpoludy. Szły gęsiego, pochylone, na zgiętych nogach, od czasu do czasu podpierając się rękami i rozglądając wkoło. Wydawały się niższe, bo się garbiły, ale musiały mieć co najmniej pięć stóp, ramiona miały długie, piersi potężne. Wiele z nich trzymało kije. Z daleka wyglądały jak szereg bardzo owłosionych i niekształtnych ludzi. Przez sekundę widziałem je bardzo wyraźnie. Potem znikły w krzakach.

— Jeszcze nie teraz — rzekł lord John, który już się przygotował do strzału. — Poczekamy spokojnie, aż skończą poszukiwania. Potem pójdziemy do ich osady i dopiero zalejemy im sadła za skórę. Za godzinę ruszymy.

Otworzyliśmy jedną z naszych puszek i zjedliśmy porządne śniadanie. To wypełniło nam wolny czas. Lord Roxton od poprzedniego ranka nie miał w ustach nic prócz paru owoców, jadł więc za czterech. Potem — nareszcie — z kieszeniami pełnymi naboju, wzięliśmy po strzelbie w każdą rękę i ruszyliśmy na odsiecz profesorom. Przed opuszczeniem kryjówki zaznaczyliśmy sobie jej miejsce w zaroślach i położenie w stosunku do Fortu Challengeera, by w razie potrzeby łatwo nam było trafić z powrotem. Cicho przemknęliśmy zaroślami na brzeg wyżyny, w pobliże naszego dawnego obozu. Tu przystanęliśmy i lord John wtajemniczył mnie z grubsza w swój plan.

— Dopóki jesteśmy w lesie, te świny mają nad nami przewagę — mówił. — Widzą nas, a my ich nie widzimy. W otwartym polu rzecz ma się inaczej. Tam możemy ruszać się szybciej od nich. Trzymajmy się więc jak najdłużej otwartej przestrzeni. Skraj wyżyny jest słabiej zadrzewiony niż środek. A zatem będzie on osią naszego ataku.

Niech pan idzie wolno, rozgląda się uważnie i strzelbę trzyma w pogotowiu. I niech się pan nie da wziąć do niewoli, póki ma pan choć jedną kulę w lufie. Taka jest moja ostatnia rada, paniczku.

Gdy doszliśmy do skraju wyżyny, wychyliłem się zza urwiska i ujrzałem poczciwego czarnego Zambo, który siedział na skale i palił. Wiele dałbym za to, by na niego zawołać i powiedzieć mu, co się z nami dzieje, bałem się jednak, że małpy usłyszą. Las aż się od nich roił, co chwila słyszeliśmy ich szczególny jazgot. Wtedy zapadaliśmy w najbliższe krzaki i leżeliśmy cicho, czekając, aż głosy się oddalą. Dlatego posuwaliśmy się wolno i dopiero po dwóch godzinach takiego marszu z ostrożnych ruchów lorda Johna domyśliłem się, że

musimy być blisko celu. Roxton machnięciem ręki kazał mi leżeć spokojnie, a sam popętnął naprzód. W parę minut później wrócił pałając gorączką czynu.

— Chodź pan — powiedział. — Szybko! W Bogu nadzieja, że jeszcze zdążymy.

Trząsnęłam się z podniecenia, gdy poczołgawszy się za nim i położywszy obok niego, wyjrzałam spoza krzaków na polanę.

Tego widoku nie zapomnę do śmierci... był on tak niewiarogodny i straszny, że wprost nie wiem, jak go panu opisać; nie wiem, jak sam w niego uwierzę po paru latach, jeżeli dożyję chwili, kiedy znów zasiądę w fotelu w „Klubie Dzikich” i słodko leniuchując spojrzę na monotonną solidność Embankment. Wiem, że to wszystko wyda mi się wówczas koszmarnym snem, gorączkowym przywidzeniem. Ale spróbuję za świeżej pamięci opisać to wszystko, a bodaj jeden człowiek na świecie, ten który leżał przy mnie w wilgotnej trawie, będzie mi świadkiem, że nic nie skłamałem.

Przed nami rozpościerała się wielka polana — miała kilkaset jardów szerokości — porośnięta aż po skraj skał zieloną murawą i orlicą. Półkolem otaczały ją drzewa, a między ich konarami piętrzyły się dziwaczne chatki z liści. Najlepiej zrobię przyrównując je do jakiejś ptasiej kolonii, gdzie każda chatka była gniazdem. Małpoludy gęsto obsiadły wejścia do nich i gałęzie. Sądząc z wyglądu, były to kobiety i dzieci. Tworzyły tło obrazu i nie odrywały oczu od sceny, która przejęła nas zgrozą.

Na polanie, tuż przy krawędzi wyżyny, zebrało się ze sto tych kosmatych, rudych stworzeń; wiele było potężnie zbudowanych — wszystkie zaś wyglądały groźnie. Musiały jednakże być zdyscyplinowane, bo żadne nie wysunęło się naprzód. Przed nimi stała grupka Indian — małych, zgrabnych ludzi, których skóra lśniła w jasnym słońcu jak miedź. Wysoki, szczupły biały mężczyzna stał obok nich. Schylił głowę, złożył ręce i całą postawą zdradzał śmiertelny strach. Patrząc na jego kanciastą figurę trudno się było mylić: to był profesor Summerlee.

Wkoło tej grupki przygnębionych jeńców stało kilka małpoludów, które ich pilnowały. Uniemożliwia to to ucieczkę. A na samym przodzie i tuż nad przepaścią widać było dwie postacie, tak dziwne i — w innych okolicznościach — zabawne, że przyjrzałam im się uważniej. Jedną z nich był nasz towarzysz, profesor Challenger. Smętne resztki kurtki zwieszały mu się jeszcze z ramion, ale koszula była w strzępach, tak że długa broda splątała się z czarnymi kudłami na potężnej piersi. Zgubił gdzieś kapelusz i włosy, które mu znacznie odrosły w czasie wyprawy, powiewały w nieładzie na wszystkie strony. Jeden dzień wystarczył, by ten przedstawiciel najwyższej nowoczesnej cywilizacji zamienił się w najokropniejszego południowo-amerykańskiego dzikusa. Przy nim stał jego pierwowzór, król małpoludów. Pod każdym względem był on — jak mówił lord Roxton — wiernym odbiciem profesora, tylko włosy miał rude, nie czarne. Taka sama krzepka, przysadkowata figura, takie same rozrośnięte bary, podane w przód, obwisłe ramiona i zjeżona broda, splątana z włosami na piersi. Tylko w budowie głowy widać było różnicę: ścięte czoło małpoluda i okrągłe skronie ostro kontrastowały z wysokim czołem i okazałą czaszką Europejczyka. Poza tym król małpoludów był groteskową parodią profesora.

Ten obraz, którego opis zajął mi aż tyle czasu, wrył mi się w jednej chwili w pamięci Nie

mieliśmy jednak czasu zastanawiać się nad nim, bo straszny dramat rozgrywał się w naszych oczach. Dwa małpoludy porwały z szeregu jeńców jednego Indianina i zaciągnęły go nad brzeg urwiska. Król dał znak ręką; małpoludy schwyciły Indianina za ramiona i nogi i mocno trzy razy zakołysały nim w powietrzu. Potem potężnym zamachem wyrzuciły go w górę nad przepaść. Biedak wyleciał z taką siłą, że nakreślił łuk w powietrzu, nim zaczął spadać. Gdy znikł z oczu, cały tłum prócz straży rzucił się na skraj wyżyny i na chwilę zapanowała martwa cisza, którą przerwał dziki ryk zachwytu. Małpoludy skakały, wymachiwały długimi, owłosionymi rękami i wyły z radości. Potem cofnęły się i stanęły w szeregu, czekając na następną ofiarę.

Tym razem nadeszła kolej profesora Summerlee. Dwóch wartowników schwyciło go za napięstki i brutalnie wywlokło naprzód. Profesor opierał się, wierzgał długimi, chudymi kończynami i wyglądał jak kurczę wyciągane z klatki. Challenger mówił coś do króla, gorączkowo gestykulując mu przed nosem. Błagał, zaklinał, prosił o życie dla towarzysza. Ale król szorstko odepchnął go i potrząsnął głową. Był to jego ostatni świadomy ruch w życiu. Sztucer lorda Johna wypalił i król jak bezwładna, niekształtna, czerwona masa padł na ziemię.

— Pal w tłuszczę! Pal, chłopcze, pal! — wołał Roxton.

Niezbadane są tajniki duszy ludzkiej. Z natury jestem łagodny i kwilenie zranionego zajęcia wyciska mi łzy z oczu. Ale teraz łaknąłem krwi. Stałem wyprostowany, raz po raz trzaskałem zamkiem sztucera, opróżniałem jeden magazynek po drugim, pokrzykiwałem dziko i wyłem z zachwytu na widok czynionej przez siebie rzezi. Z naszych czterech sztucerów sialiśmy spustoszenie. Powaliliśmy obu strażników trzymających profesora Summerlee, który chwiał się na nogach jak pijany i nie mógł pojąć, że jest wolny. Oszalałe małpoludy biegały w kółko, nie rozumiejąc, skąd i jakim cudem kosi je śmierć. Gestykulowały, piszczały i deptały leżących, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, pozostawiły ziemię usianą rannymi i zabitymi i rzuciły się tłumnie ku drzewom, chroniąc się w gąszczu konarów. Jeńcy, na chwilę pozostawieni sami sobie, stali na środku polany.

Challenger z wrodzoną sobie bystrością od razu zorientował się w sytuacji. Porwał za rękę oszołomionego profesora Summerlee i obaj padem puścili się ku nam. Dwaj strażnicy skoczyli za nimi, ale padli od dwóch kul lorda Johna. Wybiegliśmy aa spotkanie naszym przyjaciółom i każdemu wcisnęliśmy naładowany sztucer do ręki, Summerlee był jednak u kresu sił. Ledwie stał na nogach. Tymczasem, małpoludy otrząsnęły się z panicznego strachu. Biegły w naszą stronę zaroślami, co groziło nam odcięciem odwrotu. We dwóch z Challengerem ciągnęliśmy profesora Summerlee, a lord John ostaniał odwrót, raz po raz strzelając do groźnych głów warczących na nas z zarośli. Potwory jazgocząc deptały nam po piętach ze dwie mile, aż wreszcie, gdy na własnej skórze przekonały się o naszej przewadze i zobaczyły, że nie mogą stawić czoła niezawodnemu sztucerowi lorda Roxtona, zaczęły zostawać w tyle. Kiedyśmy nareszcie dobiegli do obozu i obejrzelisi wstecz, stwierdziliśmy, że jesteśmy zupełnie sami.

Tak nam się przynajmniej zdawało, a jednak byliśmy w błędzie. Ledwie zamknęliśmy kolczastą bramę naszego fortu, uścisnęli sobie ręce i ciężko dysząc padli na ziemię obok źródelka, usłyszeliśmy tupot nóg i delikatne, żałosne wołanie z zewnątrz. Lord Roxton

poskoczył z bronią w rękę i odsunął bramę. Przed nią leżały plackiem na ziemi cztery małe postacie uratowanych od śmierci Indian. Drżeli z obawy przed nami, a jednak błagali nas o ratunek. Jeden z nich wymownym gestem wskazał na lasy wkoło, jakby chciał powiedzieć, że czai się w nich niebezpieczeństwo. Potem podsunął się do Roxtona, objął go za nogi i oparł czoło na jego stopach.

— Na Boga! — zawołał Roxton, w pomieszczeniu szarpiąc koniuszki wąsów. — Co, u licha, z nimi pocniemy? Wstawaj, chłopie, i zdejm twarz z moich butów.

Summerlee siedział na murawie i napychał swą starą głogową fajeczką.

— Musimy ich ratować — powiedział. — Wszystkich nas wyrwał pan śmierci. Słowo daję! To była ładna robota.

— Wspaniała! — krzyknął Challenger. — Wspaniała! Nie tylko my osobiście, ale cały europejski świat nauki winien panu głęboką wdzięczność. Nie waham się powiedzieć, że śmierć profesora Summerlee i moja wyrządziłaby niepowetowaną krzywdę współczesnej zoologii. Doskonale sprawiliście się we dwóch z naszym młodym przyjacielem.

Zwrócił do nas twarz rozpromienioną dobrym, ojcowskim uśmiechem, ale europejski świat nauki mocno by się zdziwił widząc swe wybrane dziecię i nadzieję przyszłości, potargane, z rozwianym włosiem, nagą piersią, siedzące w łachmanach, z puszką konserw między kolanami i kawałkiem zimnej australijskiej baraniny w garści. Indianin podniósł na niego wzrok, pisnął cicho, rozpląszczył się na ziemi i przytulił do nóg Roxtona.

— Nie bój się, dziecino — powiedział lord John głaszcząc jego splątane włosy. — Profesorze Challenger, boją się pana i muszę powiedzieć, że się im nie dziwię. Nic, nic, mój mały, to taki sam człowiek jak my.

— Mój panie! — krzyknął Challenger.

— To jednak pańskie szczęście, że pan tak oryginalnie wygląda. Gdyby pan nie był podobny do króla...

— Lordzie Roxton, pozwala pan sobie za wiele!

— Ale to fakt.

— Proszę zmienić temat. Pańskie uwagi są nietaktowne i niezrozumiałe. Powinniśmy się zastanowić, co robić z tymi Indianami. Najlepiej byłoby odprowadzić ich do domu, gdybyśmy wiedzieli, gdzie mieszkają.

— To nic trudnego — wtrąciłem. — Mieszkają w jaskiniach po drugiej stronie środkowego jeziora.

— Nasz młody przyjaciel wie, gdzie mieszkają. Zdaje się, że jest to dość daleko.

— Dobre dwadzieścia mil — powiedziałem. Summerlee jęknął.

— Nigdy tam nie dojdę. Ale zdaje mi się, że słyszę tropiące nas małpoludy.

Gdy to mówił, z głębi ciemnego lasu doszły nas bełkotliwe głosy. Indianie znów zaczęli skomleć żałośnie.

— Musimy uciekać, i to szybko — rzekł lord John. — Paniczyku, pomoże pan profesorowi Summerlee. Indianie poniosą zapasy. Jazda więc, póki nas nie dojrzały.

W niecałe pół godziny doszliśmy do kryjówki i zaszyliśmy się w krzakach. Przez cały dzień od naszego starego obozu dochodziły nas wzburzone głosy małopoludów, ale nie widzieliśmy żadnego z nich. Zmęczeni — biali i czerwonoskórzy — zasnęliśmy głęboko. Wieczorem, gdy jeszcze drzemałem, ktoś pociągnął mnie za rękaw. Przy mnie klęczał Challenger.

— Panie Malone, prowadzi pan dziennik naszej wyprawy i pewnie chce go pan ogłosić drukiem — powiedział uroczyście.

— Jestem tu tylko w roli reportera — odparłem. — No, tak. Mógł pan słyszeć parę niemądrych uwag lorda Roxtona, który jak gdyby przypisywał rni pewne... pewne podobieństwo...

— Tak, słyszałem.

— Chyba nie potrzebują panu mówić, że ogłoszenie tych insynuacji... jakaś niezręczność w pańskim sprawozdaniu z ostatnich przygód... byłaby bardzo dla mnie przykra.

— Będę się trzymał prawdy.

— Uwagi lorda Johna często są zupełnie fantastyczne. Skłonny jest on przypisać szacunek, jaki prymitywne istoty okazują ludziom wyższym sobie duchem i charakterem, jakimś względem wyssanym z palca. Rozumie pan, o co mi chodzi?

— Rozumiem doskonale.

— Liczę na pańską dyskrecję. — I po długiej pauzie dorzucił: — Król małopoludów był doprawdy nieprzeciętnym stworzeniem... niepospolitym, inteligentnym i przystojnym. Nie uderzyło to pana?

— Był doprawdy niezwykły — odrzekłem. Profesor, znacznie spokojniejszy, położył się i zasnął.

ROZDZIAŁ XIV

TO BYŁY PRAWDZIWE PODBOJE

Przyuszczaliśmy, że małopoludy nic nie wiedzą o naszej kryjówce, niebawem jednak ta pomyłka się wydała. Las był cichy, żaden listek nie drgnął na drzewie, wszędzie panował zupełny spokój, ale z poprzedniego doświadczenia powinniśmy byli wiedzieć, jak cierpliwie i chytrze nasi wrogowie potrafią czatować i wyglądać okazji, Nie wiem, co mnie jeszcze w życiu czeka, ale na pewno nigdy nie będą bliżej śmierci niż tego ranka. Opowiem jednak wszystko po kolei.

Po ciężkich wczorajszych przeżyciach i skąpym posiłku zbudziliśmy się wyczerpani. Summerlee wciąż był tak słaby, że z trudem trzymał się na nogach. Staruszek miał jednak w sobie tę upartą odwagę, która nie pozwala pogodzić się z klęską. Odbyliśmy naradę wojenną i postanowiliśmy zaczekać tu spokojnie godzinę lub dwie, pokrzepić siły śniadaniem, a potem ruszyć wyżyną, okrążyć jezioro i dojść do pieczar, gdzie jak stwierdziłem, mieszkają Indianie. Liczyliśmy, że przyjmą nas przyjaźnie, gdy przemówią za nami ich uratowani współrodacy. Potem, po spełnieniu naszej misji i pełniejszym pognaniu tajemnic Ziemi Maple'a White'a, zajmiemy się całkowicie sprawą zejścia na dół. Nawet Challenger przyznał, że wtedy zadanie nasze zostanie spełnione i naszym pierwszym obowiązkiem

będzie zanieść cywilizowanemu światu wiadomość o tych zadziwiających odkryciach.

Mogliśmy się teraz spokojnie przyjrzeć ocalonym Indianom. Byli to ludzie mali, muskularni, dobrze zbudowani, o gładkich, czarnych włosach, podwiązanych rzemieniem na tyle głowy. Na biodrach nosili skórzane opaski. Twarze mieli bez zarostu i dobroduszne, rysy — regularne. Długie koniuszki uszu zwisały w strzępach i krwawiły. Musiały w nich tkwić jakieś ozdoby, wyrwane przez małpoludy. Indianie mówili ze sobą językiem dla nas niezrozumiałym, jednak bardzo płynnym, a wskazując jeden na drugiego powtarzali słowo Accala. Tak musiało znać się ich plemię. Czasem z twarzą wykrzywioną strachem i nienawiścią grozili pięścią lasom i wykrzykiwali: Doda! Doda! Pewnie była to nazwa ich wrogów.

— Co pan o nich sądzi, profesorze Challenger? — zapytał lord John. — Dla mnie jedno nie ulega wątpliwości: ten mały człowieczek z podgolonym czołem musi być ich wodzem.

Istotnie, ten Indianin trzymał się nieco na uboczu, a jego towarzysze zawsze zwracali się do niego z widocznymi oznakami głębokiego szacunku. Wprawdzie wydawał się najmłodszy, a jednak miał w sobie tyle dumy i śmiałości, że gdy Challenger położył mu łapę na głowie, zerwał się jak koń spięty ostrogą i błysnąwszy czarnymi oczami cofnął się o parę kroków. Potem przyłożył rękę do piersi i z wielką godnością w głosie i postawie powtórzył parę razy słowo Maretas. Profesor wcale się tym nie przejął, schwycił najbliższego Indianina za ramię i postępując się nim zupełnie jak wypreparowanym okazem przystąpił do pogładowego wykładu.

— Sądząc po objętości czaszki i kącice twarzowym czy innych oznakach — zaczął tubalnym głosem — ludzi tych nie możemy zaliczyć do typów pierwotnych. Przeciwnie, musimy postawić ich wyżej od wielu południowo-amerykańskich znanych nam plemion. Niczym nie zdołamy wytłumaczyć, jak podobna rasa mogła rozwinąć się na wyżynie. Tak samo zbyt wielka przepaść dzieli żyjące tu prehistoryczne zwierzęta od małpoludów, abyśmy mogli powiedzieć, że te ostatnie rozwinęły się tu, gdzie żyją obecnie.

— Więc skąd je licho przyniosło? — zapytał lord John,

— To jest pytanie, które bez wątpienia wywoła żywą dyskusję we wszystkich, naukowych kołach Europy i Ameryki — odparł profesor. — Jeśli moje wyjaśnienie jest coś warte — wypiął pierś i wyzywająco rozejrzał się wkoło — powiem, że w tutejszych szczególnych warunkach ewolucja doszła do kręgowców, że dawne zwierzęta zachowały się tu aż do naszego czasu i żyją obok nowych. Dlatego też obok gadów z okresu jurajskiego widzimy tu takie współczesne stworzenia, jak tapir — zwierzę o całkiem szacownej genealogii — wielkie jelenie lub mrówko jady. Dotąd wszystko jest jasne. A teraz w sprawie małpoludów i Indian. Co może myśleć uczone o łeb. obecności na wyżynie? Przypisuje ją tylko inwazji. Być może w Ameryce Południowej żyje gatunek małpy człekokształtnej, która w zamierzczłych czasach dostała się tu i rozwinęła w spotkany przez nas gatunek. Niektóre z nich — w tym miejscu surowo spojrzawszy na mnie — odznaczają się takim wyglądem i budową, że gdyby temu towarzyszyła odpowiednia inteligencja, nie waham się powiedzieć, byłyby ozdobą każdej żyjącej rasy. Co do Indian, nie wątpię, że są nowszymi przybyszami. Z głodu czy też chęci podboju dostali się tutaj, spotkali z dzikimi, zupełnie nie znanymi sobie bestiami i musieli szukać schronienia w jaskiniach, które nam opisał nasz młody przyjaciel. Niewątpliwie

musieli ciężko walczyć o życie z potworami, a zwłaszcza z małpoludami, które uważały ich za intruzów i wydały im bezlitosną wojnę. Prowadziły ją z przemyślnością, jakiej brakło potężniejszym potworom. Dlatego Indian jest stosunkowo mało. Czy dobrze rozwiązałem zagadkę, panowie? A może ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

Profesor Summerlee tak był przybity, że przynajmniej raz w życiu nie wdał się w dysputę, choć gwałtownie potrząsnął głową na znak protestu. Lord John tylko podrapał się po rzadkiej czuprynie i zauważył, że nie może stanąć do walki z przeciwnikiem, któremu nie dorównuje ani wagą, ani klasą. Ja zaś jak zawsze ściągnąłem wszystkich do bardziej realnych i poziomych tematów wzmianką, że jednego Indianina brakuje.

— Poszedł po wodę — wyjaśnił lord Roxton. — Daliśmy mu pustą puszkę po konserwach, i odmaszerował

-- Do starego obozu? — zapytałem.

— Nie, do strumienia. Tam, między drzewa. Nie dalej niż dwieście jardów stąd. Coś za długo siedzi.

— Pójdę po niego — rzekłem: Wziąłem strzelbę i ruszyłem w stronę strumienia, pozwalając moim towarzyszom zająć się skąpym śniadaniem. Może pan uważać, panie McArdle, że lekkomyślnie postąpiłem opuszczając nawet na te parę kroków nasz schron, ale proszę pamiętać, że byliśmy o wiele mi od małego grodu, że — jak nam się zdawało — małpoludy straciły nas z oczu i że w każdym rasie ze strzelbą w ręku mogłem się ich nie bać. Nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo są przebiegłe i silne.

Przed sobą słyszałem szmer strumyka, od którego dzieliły mnie drzewa i gęszcz zarośli. Przedzierałem się przez nie, niewidoczny dla mych towarzyszy, gdy pod jednym z drzew, w krzakach, coś rai zaczerwieniło. Podszedłem bliżej i zmartwiałem. Ujrzałem trupa naszego Indianina. Leżał na boku, nogi miał podkurczone, a głowę tak nienaturalnie wykręconą, jakby patrzył przez ramię. Krzyknąłem ostrzegawczo i pochyliłem się nad ciałem. Mój anioł stróż musiał być przy mnie, bo czy to pod wpływem podświadomego strachu, czy na szelest liści, szybko spojrzałem w górę. Z zielonej gęstwiny zwisającej nad moją głową, wolno wysuwały się dwa długie, muskularne, pokryte rudą sierścią ramiona. Jeszcze chwila i skradające się dłonie zacisnęłyby się na moim gardle. Odskoczyłem szybko, ale one były jeszcze szybsze. Dzięki temu, że uchyliłem się gwałtownie, chybiły gardła, lecz jedna z nich porwała mnie za kark, druga — za twarz. Gdy rękami broniłem gardła, wielka łapa zsunęła się z mej twarzy i schwyciła za napiętki. Zostałem uniesiony w powietrze jak piórko i jakaś potężna siła zaczęła odchyłać mi głowę w tył. Nie mogłem znieść okropnego bólu w kręgach. Omdlewałem, a jednak z całej mocy szarpałem przeciwnika za ręce i wreszcie udało rni się uwolnić brodę z uścisku. Spojrzałem w górę i zobaczyłem okrutną twarz i utkwione w moich, zimne, nieubłagane jasnyniebieskie oczy. W tym strasznym spojrzeniu było coś magnetycznego. Nie mogłem opierać się dłużej. Małpa czując, że słabnę, wyszczerzyła dwa białe kły po obu stronach wstrętnego pyska i mocniej nacisnęła mi brodę, jeszcze bardziej odchyłając w tył głowę. Oczy me zaszyły mgłą, a w uszach cieniutko zadźwięczały srebrne dzwoneczki. Skądś z oddali słabo doleciał mnie huk. wystrzału. Poczutem- jeszcze, jak, padając, uderzam o ziemię i straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, leżałem na wznak na trawie w naszej kryjówce. Ktoś przyniósł wodę ze strumienia i lord John bryzgał mi nią na twarz. Challenger i Summerlee z zatroskanymi minami podpierali mnie z obu stron. Przez chwilę za maskami uczonych ujrzałem przebłysk ludzkiego uczucia. Na szczęście nie odniosłem żadnych obrażeń poza wstrząsem, toteż w pół godziny później siedziałem znów gotów do dalszych czynów mimo obolałej głowy i sztywnego karku.

— Stał pan już jedną nogą w grobie, paniczku — powiedział lord John. — Kiedy przybiegłem na krzyk i zobaczyłem pańską wykręconą głowę i wierzgające nogi, pomyślałem, że o jednego z nas mniej na tym świecie. Ze zdenerwowania chybiłem bestię. Na szczęście puściła pana i znikła jak błyskawica. Na Boga! Chciałbym mieć przy sobie z pięćdziesięciu ludzi z karabinami; Za jednym zamachem zmiotłbym tę przeklętą bandę z powierzchni ziemi i zostawiłbym wyżynę trochę czystszej, niż ją zastaliśmy.

Jasne było teraz, że małpoludy jakimś cudem odnalazły i osaczyły nasze schronienie. We dnie nie mieliśmy się czego obawiać, ale w nocy mogło być źle. Trzeba się było jak najprędzej wynieść z niebezpiecznego sąsiedztwa. Z trzech stron otaczała nas puszcza i tam wpadlibyśmy w zasadzkę. Ale z czwartej — tej która schodziła ku jezioru — rosły tylko krzaki i pojedyncze drzewa i czasem trafiały się polanki. Znałem już tę drogę z mojej samotnej wyprawy i wiedziałem, że prowadziła prosto do pieczar Indian, Rozsądek kazał nam pójść tędy.

Niechętnie porzucaliśmy nasz stary obóz, i to nie tylko dlatego, że żał nam było zapasów, ale przede wszystkim dlatego, że traciliśmy kontakt z Zambo, naszym jedynym łącznikiem z resztą świata. Mieliśmy jednak sporo ładunków i wszystkie sztucery, mogliśmy więc przez jakiś czas nie troszczyć się o jedzenie. Mieliśmy też nadzieję, że wkrótce wrócimy i znów zobaczymy naszego wiernego Murzyna. Obiecał nam przecież, że pozostanie na miejscu — nie wąpiliśmy, że dotrzyma słowa. Wczesnym popołudniem ruszyliśmy w drogę. Młody wódz szedł na czele, ale z oburzeniem odmówił niesienia czegokolwiek. Za nim szło dwóch pozostałych Indian, objuczonych naszymi skąpymi bagażami. My, czterej biali, zamykaliśmy pochód z bronią gotową do strzału. Ledwie ruszyliśmy, gęsty i dotąd cichy las rozbrzmiał głośnym wyciem małpoludów, które albo triumfowały, że się wynosimy, albo wyrażały swą pogardę dla naszego tchórzostwa. Oglądając się za siebie widzieliśmy za każdym razem tylko gęstą, zieloną zastonę drzew, jednakże z przeciągłych wrzasków mogliśmy wywnioskować, jaka masa wrogów czyhała w puszczy. Nikt nas jednak nie gonił i wkrótce weszliśmy na otwarty teren, gdzie znaleźliśmy się poza ich zasięgiem. Idąc ostatni nie mogłem się powstrzymać od śmiechu na widok trzech maszerujących przede mną towarzyszy. Miałże to być wytworny lord Roxton, ten sam, który pamiętnego wieczoru siedział na Albany w swym mieszkaniu usłanym perskimi kobiercami, zawieszonym cennymi obrazami i oświetlonym różowym blaskiem przyćmionych lamp? A czy to ten imponujący profesor, który tak puszył się i nadymał za wielkim biurkiem w swym solidnym gabinecie na Enmore Park? I wreszcie, czyż mógł to być ten surowy, schludny naukowiec, który nagle podniósł się z miejsca na zebraniu Instytutu Zoologii? Żaden z wótczegów, jakich moglibyśmy spotkać na jakiejś polnej ścieżce w hrabstwie Surrey, nie wyglądałby gorzej i nędzniej od tych ludzi. Co prawda tylko od tygodnia bawiliśmy na wyżynie, ale całe nasze

zapasowe odzienie zostało na dole, a te dni mocno dały się nam we znaki. Ja najmniej ucierpiałem, bo nie byłem w rękach małpoludów. Moi przyjaciele zaś pogubili kapelusze i teraz obwiązali sobie głowy chustkami, ubrania wisały na nich w strzępach, a po zarośniętych, brudnych twarzach trudno by ich było poznać. Challenger i Summerlee stąpali ciężko, ja ledwie się wlokłem po rannej przygodzie, a kark, nadwerężony morderczym uściskiem, miałem sztywny jak deska. Byliśmy naprawdę żalonymi rozbitkami i nie dziwiło mnie, że Indianie oglądają się na nas od czasu do czasu ze zdumieniem i przestraczem.

Pod wieczór przyszedliśmy nad brzeg jeziora. A gdy wynurzyliśmy się z zarośli i ujrzeli taflę wody, Indianie krzyknęli uszczęśliwieni i poczęli pokazywać sobie jezioro. Widok rzeczywiście był niezwykły. Po równej gładzi sunęła kil nam od przeciwległego brzegu cała flotylla czóten. Była o parę mil, ale mknęła szybko i wkrótce podpłynęła tak blisko, że wiosłujący dostrzegli nas. Ich radosne wrzaski zabrzmiały jak grzmot, zerwali się na nogi i widzieliśmy, jak szaleńczo wymachują wiosłami i dzidami. Potem rażno zabrali się do dzieła, przemknęli dzielące nas pasmo wody, wyciągnęli czótna na piasek, podbiegli i z okrzykami powitania padli na twarz przed młodym wodzem. Jeden z nich, starszy wiekiem, przybrany w naszyjnik i bransoletki z wielkich szklanych paciorków, z nakrapianą skórą jakiegoś płowego zwierzęcia narzuconą na ramiona, wybiegł naprzód i bardzo czule uściskał młodego Indianina. Po chwili spojrzął ku nam i zadawszy młodzieńcowi parę pytań, z wielką godnością podszedł i uściskał każdego z nas po Ho!e!. Na jego rozkaz całe plemię padło nam do nóg składając głęboki hołd. Osobiście czułem się onieśmielony i zażenowany tym niewolniczym uwielbieniem i widziałem, że równie niezręcznie czuje się lord John i Summerlee, ale Challenger rozkwitł jak kwiat w słońcu.

— To prymitywny lud — powiedział gładząc swą brodę i patrząc na Indian — lecz jego zachowanie wobec wyższych sobie mogłoby posłużyć za przykład niektórym cywilizowanym Europejczykom. Zadziwiająco, jak nieomylny jest instynkt pierwotnego człowieka!

Indianie najwyraźniej wybrali się na wyprawę wojenną, bo każdy z nich uzbrojony był w dzidę — długi bambus zakończony kościanym ostrzem — łuk, strzały i jakąś maczugę lub kamienny topór przywieszony u boku. Posępne, gniewne spojrzenia rzucane na las, z którego przyszedliśmy, i bez ustanku powtarzane słowo Doda mówiły, że szli na ratunek lub szukać pomsty za śmierć młodzieńca, który musiał być synem ich starego wodza. Całe plemię kucnęło wkoło i poczęło się naradzać. My siedliśmy na bazaltowej płycie obok i przyglądaliśmy się tej ceremonii. Najprzód mówiło paru wojowników, potem nasz młody przyjaciel wygłosił płomienne przemówienie, które ilustrował tak wymownymi gestami i mimiką, że rozumieliśmy go, jakbyśmy znali język Indian.

— Po co się cofać? — pytał. — Wcześniej czy później musimy się zdobyć na ten krok. Waszych towarzyszy pomordowano. Co z tego, że ja wróciłem cało? Tamtych zabito. Nikt z nas nie jest bezpieczny. Teraz zebraliśmy się i jesteśmy golowi. Ci dziwni ludzie — wskazał na nas — są naszymi przyjaciółmi. To wielcy wojownicy i tak jak my nienawidzą małpoludów. Władają — tu pokazał na niebo — piorunami i błyskawicami. Czy nadarzy nam się jeszcze kiedy taka okazja? Ruszmy na wroga i albo zgińmy, albo żyjemy bezpiecznie. Jeśli się cofniemy, czy będziemy mogli bez wstydu wrócić do naszych, kobiet? Mali czerwonoskórzy wojownicy chłonęli każde słowo mówcy, a gdy skończył, poczęli wymachiwać prymitywną

bronią i wrzeszczeć z zapątem. Stary wódz zbliżył się, zadał nam parę pytań, pokazał na las. Lord John ruchem ręki kazał mu czekać i zwrócił się do nas.

— No, moi panowie, na co się decydujecie? — powiedział — bo ja mam pewne porachunki z małpoludami i jeżeli skończą się one zagładą tego diabelskiego plemienia, świat nie będzie po nim płakał. Idę z naszymi małymi czerwonoskórymi przyjaciółmi i pomogę im w bijatyce. Co pan na to, paniczku?

— Oczywiście idę z panem.

— A pan, profesorze Challenger?

— Ja wam pomogę.

— A pan, profesorze Summerlee?

— Bardzo oddalamy się od pierwotnego celu naszej wyprawy, lordzie Roxton. Opuszczając moją katedrę w Londynie ani przez chwilę nie sądziłem, że robię to, by poprowadzić czerwonoskórych dzikusów na gromadę małpoludów.

— Tak nisko upadliśmy — uśmiechnął się lord John. — Ale skoro już tak jest, co pan postanawia?

— Uważam to za bardzo nierozsądny czyn — odparł Summerlee, kłótlivy do ostatka — ale jeżeli idziecie wszyscy, jakżebym mógł zostać.

— A więc załatwione — rzekł lord John. Odwrócił się do starego wodza, kiwnął głową i poklepał kolbę swego sztucera. Indianin wśród jeszcze radośniej szych okrzyków swych, ludzi kolejno uściskał nam ręce. Było już za późno na podjęcie kroków wojennych, toteż Indianie rozbili prowizoryczne obozowisko. Na biwaku zadymity i zamigotały liczne ogniska. Paru dzikich, którzy poszli uprzednio w dżunglę, wróciło teraz pędząc przed sobą młodego iguanodona. Tak jak widziane już przez nas zwierzęta, i to miało asfaltową plamę na łopatce. Dopiero kiedy jeden z Indian wystąpił naprzód i z miną właściciela pozwolił je ubić, zrozumieliśmy, że te wielkie stwory są tu czymś w rodzaju bydła domowego i że znaki, które nas tak zadziwiły, były stemplem właściciela. Bezradne, ospałe, roślinożerne, wielkie, ale głupie iguanodony usłuchałyby nawet dziecka. W parę minut Indianie poćwiartowali zwierzę i zawiesili nad ogniskami potężne porcje mięsa wraz z płacami złapanej na oścień ogromnej ryby o gładkiej łusce.

Summerlee położył się na piasku i usnął. My włączyliśmy się trochę po brzegu jeziora, by bliżej poznać dziwy tego kraju. Dwa razy natknęliśmy się na doły z taką samą niebieską gliną jak na Bagnie Pterodaktyli. Były to stare kratery i nie wiem, czemu bardzo interesowały lorda Johna. Challengeera natomiast zaciekały bulgoczące, błotniste gejzery, z których wydobywały się wielkie pękające bąble jakiegoś dziwnego gazu. Profesor wsunął do środka takiego gejzeru pustą trzcinę i cieszył się jak uczeń, kiedy zapaliwszy zapałkę wywołał silny wybuch i błysk ognia u wylotu rury. Ale jeszcze bardziej uradowało go, gdy odwrócony i napełniony gazem skórzany woreczek poszybował w górę.

— Gaz palny i dużo lżejszy od powietrza. Mogę śmiało powiedzieć, że zawiera znaczną ilość wolnego wodoru. Challenger potrafi jeszcze myśleć, mój młody przyjacielu. Pokażę wam, jak genialny umysł umie wykorzystać siły przyrody — puszył się i nadymał mając jakiś cel na oku, ale nie zdradził się żadnym dalszym słowem.

Na brzegu nie widziałem nic, co przewyższałoby cuda wielkiego, gładkiego jeziora przed nami. Gromada ludzi i hałas wystraszył wszystkie zwierzęta. Spokój panował wkoło i tylko parę pterodaktyli fruwało wysoko nad naszymi głowami czekając na resztki mięsa. Zupełnie inaczej było na różowej gładzi wody środkowego jeziora. Tam roiło się od przedziwnych stworzeń. Co chwila w srebrzystej pianie wyskakiwały na powierzchnię i zapadały w głąb wielkie, szare grzbiety i wysokie, kolczaste płetwy. Dalekie ławice usiane były nieznanymi gadami, olbrzymimi żółwiami, dziwacznymi jaszczurami, a raz nawet dostrzegłem między nimi jakieś płaskie stworzenie, podobne do wijącego się, pulsującego życiem dywanika z czarnej, oślizłej skóry, które wolno torowało sobie drogę do jeziora. Tu i tam łabędzim ruchem wynurzały się i nikły głowy jakby węży tnących szybko wodę przed sobą. Wokół szyi tworzył im się kołnierz z piany, a za nimi pozostawał długi wir. Gdy jeden z nich wyszedł kaczym krokiem na piasek o kilkaset jardów od nas, ujrzeliśmy baryłkowane ciało i potężne płetwy za długą, węzową szyją. Challenger i Summerlee, który przyłączył się do nas, wdali się w jedną ze swych naukowych dysput, pełną podziwu i zachwytu.

— Plezjozaur! Słodkowodny plezjozaur! — krzyknął Summerlee. — Że też dożyłem takiego widoku? Drogi profesorze Challenger, jesteśmy najszczęśliwszymi z zoologów, jacy żyli na świecie.

Dopiero wieczorem, gdy ognie naszych dzikich sprzymierzeńców czerwono płonęły w ciemności, udało nam się odciągnąć obu naszych uczonych od fascynujących cudów prehistorycznego jeziora. Nawet po ciemku, leżąc na piasku, słyszeliśmy jeszcze od czasu do czasu sapanie i plusk żyjących w wodzie potężnych zwierząt.

O brzasku obóz zawrzał życiem i w godzinę później wyruszyliśmy na naszą pamiętną wyprawę. Często marzyłem, by zostać korespondentem wojennym, ale nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałem sobie takiej walki, jaką los pozwala mi teraz opisać. Oto moja pierwsza depesza z placu boju:

W nocy z pieczar nadciągnęły świeże posiłki Indian. Wyruszyliśmy więc w sile około pięciuset ludzi. Na przedzie szedł łańcuch zwiadowców, za nim — długim, porośniętym krzakami wzniesieniem — posuwała się aż do skraju lasu zwarta kolumna wojowników. Tu rozsypali się oni w 'długą, beładną linię łuczników i włóczników. Roxton i Challenger stanęli na prawym skrzydle, a Summerlee i ja — na lewym. Uzbrojeni w najnowocześniejszą broń, jaką można dostać na Strandzie i St. James Street, towarzyszyliśmy zbrojnym gromadom ludzi z epoki kamienia.

Niedługo czekaliśmy na naszych przeciwników. Ze skraju lasu buchnął dziki wrzask i nagle chmara małpoludów, zbrojnych w maczugi i kamienie, zaatakowała środek linii Indian. Było to bohaterskie, ale i szaleńcze natarcie, bo wielkie, krzywonogie zwierzęta ruszały się ciężko, a Indianie byli zwinni jak koty. Grozą przejmował widok tych dzikich bestii, które z pianą na pysku i pałającymi oczami miotały się w furii i raz po raz rażone strzałami daremnie próbowały dosięgnąć swych nieuchwytnych wrogów. Jakiś olbrzymi małpolud, rycząc z bólu, z licznymi strzałami tkwiącymi w piersi i bokach, przemknął obok mnie. Z litości postąpiłem mu kulę w łeb i runął jak długi w krzaki aloesu. Był to jedyny strzał, jaki padł dotąd, bo bitwa ważyła się w środku linii i Indianie nie potrzebowali tam naszej pomocy. Nie przypuszczam, aby choć jeden z tych. małpoludów, które rzuciły się na nas w otwartym

polu, uszedł z życiem. W głębi lasu sprawa przybrała gorszy obrót. Z godzinę lub dwie od wejścia w gąszcz walczyliśmy desperacko i w pewnej chwili omal nie zmuszono nas do ucieczki. Małpoludy skakały z drzew na Indian i czasem zabijały swymi olbrzymimi maczugami trzech, czterech czerwonoskórych, zanim zakłuto jednego z nich. Nic nie mogło się ostać sile uderzenia tych bestii. Jedna rozłupała na drzazgi strzelbę profesora Summerlee i zgruchotała mu czaszkę, gdyby któryś Indianin nie przebił jej serca. Inne ciskały na nas z góry kamienie i kloce, a czasem zeskakiwały w dół i walczyły zaciekle, póki nie padły trupem. Raz nasi sprzymierzeńcy zachwiali się pod tym naciskiem i gdyby nie nasze strzelby, wzięliby nogi za pas. Jednakże stary wódz dzielnie zebrał ich znowu i ruszyli do boju z takim zapętem, że małpoludy z kolei zaczęły się cofać. Summerlee był bezbronny, ale ja ledwie nadszedłem ładować sztucer. Z przeciwległego skrzydła dolatywał nas nieustanny grzechot strzelb naszych towarzyszy. Nagle małpoludy załamały się w panicznym strachu. Piszcząc i wyjąc rozpiezchły się na wszystkie strony. Uciekały przez krzaki, a czerwonoskórzy, upojeni zwycięstwem, z dzikim wrzaskiem gonili ustępującego przeciwnika. W tym dniu cała wiekowa nienawiść, cierpienie i męka Indian, wspomnienia zaznanych w ciągu pokoleń krzywd i prześladowań wzięły krwawy odwet. Wreszcie człowiek zatriumfował, a bestie już odtąd na zawsze miały mu podlegać. Małpoludy mimo największego wysiłku ruszały się za wolno, by ujść ruchliwym Indianom. Ze wszystkich stron gęstego lasu dolatywały nas okrzyki podniecenia, ostry brzęk cięciw i głuchoe odgłosy spadających na ziemię olbrzymich ciał.

Szedłem za Indianami, gdy dołączył się do mnie lord John i Challenger.

— Już po zabawie — powiedział lord John. — Myślę, że resztę możemy zostawić Indianom. Im mniej z tych jatek, zobaczymy, tym lepiej będziemy spali.

Oczy Challengeera pały chęcią mordy.

— Mieliliśmy szczęście — krzyczał stąpając jak bojowy kogut — asystować w jednej z tych bitew, które decydują o historii świata. Przyjaciele, cóż znaczy podbój jednego narodu przez drugi! Nic. Bo zawsze wywołuje jednakowy skutek. Ale te zaciekle walki, kiedy w zaraniu wieków ludzie jaskiniowi stawiali czoła dzikim bestiom albo kiedy słonie uznały w człowieku swego pana, to były prawdziwe podboje... prawdziwe zwycięstwa. Dziwnym zrządzeniem losu widzieliśmy, a nawet odegraliśmy decydującą rolę w jednym z takich zmagani. Przyszłość na tej wyżynie należy teraz do człowieka.

Trzeba było mocno wierzyć w cel, ażeby usprawiedliwić aż tak bezwzględne środki. Idąc bowiem lasem co krok napotykaliliśmy trupy małpoludów przeszytych strzałami lub ostrzami dzid. Tu i tam, gdzie osaczona bestia drogo sprzedała życie, leżały stosy straszliwie pomordowanych Indian. Przed nami ciągle rozlegały się wrzaski i wycia towarzyszące pogoni. Małpoludy uciekły do osady. Tu jeszcze próbowały się bronić, ale daremnie, i właśnie przyszliśmy na końcowy akt tragedii. Czerwonoskórzy pędzili ze situ pozostałych przy życiu samców przez polanę nad brzegiem przepaści, tę samą, która dwa dni temu była widownią naszego bohaterskiego czynu. Kiedy nadeszliśmy, wólcownicy natarli półkołem na resztkę wrogów i skończyli z nimi w mgnieniu oka. Ze czterdzieści małpoludów padło na miejscu. Pozostałe, które broniły się i krzyczały przeraźliwie, zepchnięto w przepaść z sześciusetstopowej wysokości wprost na ostre bambusy, tak jak one to niegdyś czyniły z

wrogami. Challenger miał rację! Odtąd człowiek miał na zawsze panować na Ziemi Maple'a White'a. Indianie wybili wszystkie dorosłe samce, a samice i młode wzięli w tyka. Wielowiekowa krwawa rywalizacja się skończyła.

Zwycięstwo Indian przyniosło nam duże korzyści. Mogliśmy znów pójść do naszego obozu, wziąć stamtąd zapasy i porozumieć się z Zambo, który z przerażeniem patrzył z dala na lawinę małych lecących w przepaść.

— Wracajcie, panowie, wracajcie! — wołał, a oczy wyłaziły mu na wierzch z przerażenia. — Diabeł was porwie, jeżeli zostaniecie dłużej.

— To głos rozsądku — z głębokim przekonaniem odezwał się Summerlee. — Dość tych przygód; nie licują one ani z naszymi charakterami, ani z naszą godnością. Profesorze Challenger, biorę pana za słowo. Od tej chwili poświęci się pan tylko jednej myśli — jak nas wydostać z tego straszego kraju i przywrócić cywilizowanemu światu.

ROZDZIAŁ XV

WIDZIELIŚMY WIELKIE CUDA

Robię te notatki z dnia na dzień, ale wierzę, że zanim je skończę, będę mógł napisać, że nareszcie słońce zaświtało nam przez chmury. Siedzimy tutaj, nie wiemy, jak stąd uciec, i bardzo to nas denerwuje. Jednakże świetnie wyobrażam sobie dzień, kiedy będziemy zadowoleni, że wbrew naszej woli widzieliśmy dalsze cuda tej niezwyklej wyżyny i poznaliśmy nowe zwierzęta, które ją zamieszkują.

Triumf Indian i zagłada plemienia małpoludów stały się zwrotnym punktem w naszych losach. Od tej chwili zostaliśmy prawdziwymi panami tego kraju. Indianie lękali się nas i byli nam wdzięczni, bo dzięki niezrozumiałej dla nich mocy pomogliśmy im zwyciężyć odwiecznego wroga. Może woleliby nawet pozbyć się tak potężnych i nieobliczalnych ludzi, ale nie chcieli doradzić nam żadnego sposobu zejścia. Z ich gestów zrozumieliśmy, że kiedyś istniał jakiś tunel, którego dolny wylot odkryliśmy podczas wędrówki po równinie. Tędy niewątpliwie, choć w różnych epokach, dostały się na wyżynę małpoludy i Indianie. Mapie White i jego (towarzysz też przyszedł tą drogą. Ale rok temu na skutek jakiegoś straszliwego trzęsienia ziemi górny wylot tunelu za padł się i znikł. Teraz więc Indianie tylko trzęśli głowami i wzruszali ramionami, gdy za pomocą znaków wyrażaliśmy chęć zejścia na dół. Może nie potrafili, a może i nie chcieli nam pomóc.

Po skończonej walce Indianie przypędzili rozpaczliwie zawodzące niedobitki małpoludów w pobliże jaskiń, gdzie odtąd miały służyć swym panom. Była to jak najbardziej surowa, prymitywna wersja niewoli Żydów w Babilonie czy też Izraelitów w Egipcie. W nocy słyszeliśmy dolatujący zza drzew przeciągły lament, jakby jakiś pierwotny Ezechiel optakiwał dawną wielkość i przywoływał zamierzchną chwałę małpiego grodu. Od dziś małpoludy miały już tylko nosić wodę i rąbać drzewo.

Po dwóch dniach wróciliśmy z naszymi sojusznikami nad jezioro i rozbiliśmy obóz u stóp ich pieczar. Indianie proponowali nam wprowadzić, abyśmy dzielili z nimi jaskinie, ale lord John żadną miarą nie chciał się na to zgodzić. Uważał, że wtedy łatwiej by nas zaskoczyli,

jeśli żywią jakieś podstępne zamiary. Zachowaliśmy więc niezależność i na wszelki wypadek trzymaliśmy broń w pogotowiu, choć nasze wzajemne stosunki układały się przyjaźnie. Często też bawiliśmy w ich pieczarach, które budziły nasz podziw. Nie potrafiliśmy jednak określić, czy były dziełem ludzi, czy przyrody. Leżały na jednym poziomie, wydrążone w warstwie miękkiej skały między pokładem wulkanicznego bazaltu, który służył im za strop, a twardym granitem tworzącym podłogę.

Wyloty jaskiń znajdowały się o osiemdziesiąt stóp nad ziemią, a długie kamienne schody do nich były takie wąskie i strome, że żadne cięższe zwierzę nie mogłoby się po nich wdrapać. W środku pieczar było sucho i ciepło, biegły prostymi korytarzami różnej długości w głąb zbocza, a wiele doskonałych rysunków wykonanych węglem i wyobrażających rozmaite tutejsze zwierzęta zdobiło ich gładkie szare ściany. Gdyby kiedyś życie tu znikło zupełnie, przyszły badacz mógłby z tych rysunków doskonale odtworzyć obraz dziwnej fauny: dinozaurów, iguanodonów i rybo-jaszczurów — niedawnych jeszcze mieszkańców ziemi.

Od chwili kiedy pojęliśmy, że Wielkie iguanodony służą Indianom za bydło i w gruncie rzeczy są tylko chodzącym składem mięsa, myśleliśmy, iż człowiek, nawet ze swą prymitywną bronią, zapanował na wyżynie. Ale szybko przekonaliśmy się, że tak nie było, i że jest tu zaledwie tolerowany. Trzeciego dnia bowiem po zamieszkaniu w pobliżu jaskiń wydarzyła się tragedia. Challenger i Summerlee wybrali się nad jezioro, gdzie mieli pokierować łowieniem wielkich jaszczurów na harpuny. Ja zostałem, z lordem Johnem w obozie, a grupa Indian rozsianych po trawiastym zboczu krzątała się przy swych codziennych zajęciach. Nagle rozległ się przenikliwy alarmujący krzyk i ze stu gardzieli padło jedno słowo stoa. Mężczyźni, kobiety i dzieci uciekały zewsząd w popłochu. W mgnieniu oka schody i wejścia do jaskiń zapętniły się zwartym tłumem spłoszonych ludzi.

Indianie dawali nam z góry rozpaczliwe znaki, byśmy poszli w ich ślady. Chwyciliśmy sztucery i wybiegliśmy zobaczyć, co się stało. Nagle ze skraju lasu wypadło około dwudziestu Indian. Biegli co sił, jakby im śmierć deptała po piętach, a za nimi goniły dwa takie potwory jak ten, który odwiedził nasze pierwsze obozowisko i gonił mnie w czasie mojej samotnej wycieczki. Z wyglądu podobne do olbrzymich ropuch, poruszały się skokami, a cielska miały niewiarygodnie duże, większe od największego słonia. Przedtem widzieliśmy je tylko w nocy, i w nocy też muszą zwykle wychodzić na żer, chyba że się je poruszy z legowiska tak jak teraz. Ujrawszy je stanęliśmy skamieniali, bo ich pokryta brodawkami, spryszczona skóra mieniła się niczym rybia łuska, a gdy biegły, promienie słońca grały w niej wszystkimi kolorami tęczy.

Nie mieliśmy jednak dużo czasu na obserwacje; zwierzęta w jednej chwili dopadły zbiegów i zaczęły siać spustoszenie. Całym ciężarem ciała miażdżyły któregoś z uciekających i nie przystając pędziły za następną ofiarą. Nieszczęśni Indianie krzyczeli ze strachu, ale nie mogli ująć nieubłaganym i tak bardzo ruchliwym prześladowcom. Ginęli przeto jeden po drugim i ocalało ich zaledwie sześciu, nim zdążyliśmy z pomocą. Ale interwencja naszych strzelb nie poskutkowała i tylko o mały włos nie ściągnęła na nas nieszczęścia. Z odległości dwustu jardów opróżniliśmy magazynki sztucerów, wypuszczając w bestie kula po kuli z takim skutkiem, jakbyśmy bombardowali je pigułkami z papieru. Jak

każdy gad były one niewrażliwe na rany. Nie miały mózgu i z nowoczesnej broni trudno było zniszczyć ich ośrodki życia rozłożone wzdłuż kręgosłupa. Toteż hukem wystrzałów udało nam się tylko odciągnąć ich uwagę od Indian, opóźnić pościg i zyskać czas na dopadnięcie schodów. Lecz gdzie nie powiodło się najnowocześniejszym kulom dum-dum, poradziły sobie zatrute strzały Indian. Umoczone w soku rośliny strophantus i zanurzone później w gnijącej padlinie — były śmiertelne. Dla myśliwych takie strzały to kiepska broń, bo leniwie krążąca krew zwierzęcia wolno przenosi jad i zanim zacznie on działać, zwierzę zabije człowieka. Teraz, gdy dwa potwory zapędziły nas pod jaskinie, z każdej szczeliny skalnej posypał się na nie grad świszczących strzał. W minutę nadziano nimi obie bestie, które nie zdradziły jednak żadnych oznak bólu. Z bezsilną wściekłością darty pazurami i ślińczyły schody — jedyną drogę do swych ofiar. Niezdarnie wdrapywały się na parę stopni i znów zsuwały się w dół. Wreszcie jad zaczął działać. Jeden z potworów ryknął głucho, rechetliwie i opuścił spleaszczony łeb na ziemię. Drugi skomląc przeraźliwie począł się kręcić w kółko, w końcu upadł i leżał parę chwil w śmiertelnych drgawkach, póki zupełnie nie zesztyniał. Indianie z okrzykami triumfu tłumnie zbiegli na dół i uradowani, że udało im się powalić dwóch ze swych najgroźniejszych wrogów, rozpoczęli szaleńczy taniec wokół trupów. Tej jeszcze nocy porąbali je na kawałki, nie na pożywienie, bo trucizna nie przestawała działać, lecz po to, by usunąć padlinę i uniknąć zarazy. Olbrzymie serca wielkości poduszek zostały na miejscu i biły wolno, miarowo, pulsując niezależnym i budzącym odrazę życiem. Zamarły dopiero na trzeci dzień.

Kiedys, kiedy będę miał stół wygodniejszy od blaszanej puszeki po konserwach, ołówek i papier lepszy od tego ogryzka i od zniszczonego notesu, którymi się teraz posługuję, opiszę obszerniej Indian Accala, nasz pobyt u nich, widziane cuda i warunki życia na Ziemi Maple'a White'a. Pamięć mnie nie zawiedzie, bo aż do śmierci nie zapomnę ani jednej godziny, ani jednego naszego czynu na wyżynie. Będę je widział tak jasno, jak pierwsze wrażenia dzieciństwa. Wryły się w pamięć tak głęboko, że nie zatrze ich żadne nowe przeżycie. W stosownej chwili opiszę cudowną księżycową noc nad wielkim jeziorem, kiedy młody ichtiozaur — dziwaczne stworzenie, pół foka, pół ryba, z parą oczu nakrytych fiszbinami po obu stronach pyska i trzecim na czubku głowy — zaplątał się w sieć Indian i omal nie wywrócił naszej łodzi, zanim zdołaliśmy wyholować go na brzeg. Tej samej nocy zielony wąż wodny wychynął nagle z sitowia, oplótł i porwał sternika z czołna Challengera. Opowiem też o wielkim nocnym białym stworzeniu — do dziś nie wiemy, czy było to jakieś zwierzę, czy gad — które żyło w ohydnych mokradle na wschód od jeziora i w mroku unosiło się nad nim, świecąc bladym, fosforycznym blaskiem. Indianie tak się go bali, że nie chcieli podejść bliżej, a my, choć widzieliśmy je dwukrotnie w czasie naszych wypraw, nie mogliśmy iść po grząskim bagnie. Przekonaliśmy się tylko, że jest większe od krowy i że czuć je piżmem. Opowiem także o wielkim ptaku, który kiedyś zapędził Challengera do schronu w skałach. Jest o wiele większy od strusia, biega szybko, szyję ma sepią, łeb groźny i przypomina samą śmierć. Dopadł Challengera już na progu jaskini i jednym ciosem okrutnego zakrzywionego dzioba uciął mu obcas u buta tak gładko jak dłutem. Tym razem przynajmniej nowoczesna broń zwyciężyła potężne stworzenie (miało dwanaście stóp od łap do dzioba) — phororahacos, jak stwierdził nasz zdyszany, ale uszczęśliwiony profesor — padło od kuli

lorda Roxtona. Rozpaczliwie bijąc nogami i skrzydłami, zważyło się w obłoku piór, z którego patrzyło w górę dwoje żółtych nieubłaganych oczu. Chciałbym ujrzeć kiedy tę spłaszczoną, złą głowę wiszącą na swoim miejscu wśród innych trofeów na Albany! W końcu napiszę coś niecoś o toxodonie, olbrzymiej dziesięciostopowej świnie morskiej, z ostrymi jak dłuto zębami, którą zabiliśmy, gdy o brzasku piła wodę z jeziora.

Któregoś dnia opowiem to bardziej szczegółowo. A opisując dni pełne przedziwnych wydarzeń, rad zatrzymam się nad wspaniałymi letnimi wieczorami, kiedy leżeliśmy w przyjaznym, koleżeńskim nastroju w wysokiej trawie na skraju lasu, pod głębokim szafirowym niebem, rozkoszując się widokiem dziwacznych ptactwa fruującego nad nami i przyglądając niezwykłym stworzeniom, które — zwabione naszą obecnością — wychodziły z nor. Gałęzie krzaków nad naszymi głowami uginaty się od aromatycznych owoców, a z trawy wyglądały dziwne i piękne kwiaty. Albo też długie księżycowe noce, które spędzaliśmy na połyskującej tafli jeziora, z podziwem patrząc na wielkie koła wzbudzone nagłym ruchem jakichś fantastycznych potworów, zielonkawe ogniki w głębi wody, zadziwiające stworzenia ukryte w ciemności. Moje pióro i myśl zatrzyma się kiedyś dłużej nad tymi scenami.

Może mnie pan jednak zapytać, czemu szukaliśmy nowych wrażeń, na co czekaliśmy, skoro dzień i noc powinniśmy byli szukać sposobu ucieczki. Odpowiem, że wszyscy bez wyjątku łamaliśmy sobie nad tym głowy, niestety, na próżno. Jeden fakt niebawem rzucił się nam w oczy: Indianie nie kiwną palcem, by nam pomóc. Pod każdym innym względem byli naszymi przyjaciółmi — właściwie nawet oddanymi niewolnikami — ale wystarczyła mała wzmianka, że chcemy z ich pomocą sporządzić i przenieść nad skraj przepaści deski, które mogłyby posłużyć za most, albo żebyśmy zażądali skóry czy lian na uplecenie lin, by odmówili nam uprzejmie, lecz stanowczo. Uśmiechali się, mrugali, kiwali głowami i na tym koniec. Nawet stary wódz uporczywie nie chciał nam nic ułatwić. Tylko Maretas smutnie patrzył na nas i gestami wyrażał żal, iż nasze życzenie nie zostaje spełnione. Po ostatecznym triumfie nad małpoludami Indianie uważali nas za nadludzi, którzy noszą zwycięstwo w rurach swej dziwnej broni, i wierzyli, że póki jesteśmy z nimi, szczęście ich nie opuści. Proponowali nam na żony swe czerwonoskóre dziewczęta, dawali oddzielne jaskinie, bylebyśmy tylko wyrzekli się powrotu do kraju i zostali na wyżynie. Choć nie chcieliśmy na to przystać, stosunki jak dotąd były dobre. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że nie wolno się nam zdradzić z naszymi planami z obawy, by nie zatrzymali nas w końcu siłą.

Mimo grożącego spotkania z dinozaurami (co w nocy mogłoby się źle skończyć, bo jak już wspomniałem, są to nocne stworzenia), dwa razy w ciągu ostatnich trzech tygodni odwiedziłem stary obóz. Chciałem zobaczyć Zambo, który nadal trwał na stanowisku pod skałami. Wzrokiem pilnie badałem równinę w nadziei, że gdzieś daleko ujrzę nadchodzącą pomoc, o którą prosiliśmy. Ale usiana kaktusami rozległa płaszczyna była głucha i cicha aż po gąszcz bambusów na horyzoncie.

— Przyjdą, już przyjdą niedługo, massa Malone. Za tydzień Indianie przyniosą sznury i zejdziecie — wesółym tonem wołał do mnie nasz wspaniały Zambo.

Kiedy wracałem z drugiej takiej całonocnej wizyty, spotkała mnie dziwna przygoda. Szedłem znaną sobie drogą i właśnie byłem o milę od Bagna Pterodaktyli, kiedy ujrzałem przed sobą jakieś dziwne zjawisko. Był to człowiek zamknięty w szczelnym kloszu z

wygiętych trzciny. Gdy się zbliżyłem, zdumiałem się jeszcze bardziej, bo poznałem lorda Roxtona. Na mój widok wysunął się spod klosza i podszedł do mnie z uśmiechem, ale z pewnym zakłopotaniem.

— No, no, panicyku — powiedział — któż by przypuszczał, że się spotkamy.

— Co pan tu robi, u licha? — zapytałem.

— Składam wizytę moim przyjaciółom pterodaktylom.

— Po co?

— Ciekawe zwierzęta, nie uważa pan? Ale bardzo nietowarzyskie. Jak pan pamięta — paskudnie wrogie dla obcych. Zrobiłem więc sobie taką klatkę, by mi nie dokuczały za bardzo swymi czułościami.

— Ale czego pan szuka na bagnie?

Spojrzał na mnie pytająco, a jego mina zdradzała wahanie.

— Myśli pan, że tylko uczeni chcą coś wiedzieć? — rzekł wreszcie. — Studiuje zwyczaje tych kochasiów. I na tym musi pan poprzestać.

— Nie chciałem pana dotknąć — powiedziałem. Odzyskał dobry humor i zaśmiał się.

— Nie dotknął mnie pan wcale. Chcę złapać szatańskie pisklę dla Challengeera. To jedno z moich zadań. Nie, dziękuję, obejdę się bez pana. W tej klatce nic mi nie grozi, a pan jest bezbronny. No, na razie... będę w obozie przed wieczorem.

Odwrócił się i poszedł przez las w swoim oryginalnym kloszu.

Jeśli zachowanie lorda Johna było dziwne, jeszcze dziwniej zachowywał się Challengeer. Muszę zdradzić, że miał wielkie wzięcie u indiańskich kobiet. Toteż zawsze nosił przy sobie dużą palmową gałąź, którą opędzał się przed nimi jak przed muchami, gdy stawały się zbyt natarczywe. Najbardziej groteskowy obraz, jaki zachowałem w pamięci, to jego postać — operetkowego sułtana — z tym berłem w ręku, zjeżoną czarną brodą, stąpającego na palcach, ze świtą wielkookich Indianek przybranych w skąpy stój z kory. Summerlee całkowicie zajął się owadami i ptactwem żyjącym na wyżynie. Cały czas (z wyjątkiem częstych chwil, kiedy zarzucał Challengeerowi, że nic nie robi, by nas stąd wydostać) schodził mu na preparowaniu i porządkowaniu okazów.

Challengeer co ranka szedł gdzieś samotnie i czasem wracał ze znaczącą powagą na twarzy jak człowiek, który na własnych barkach dźwiga cały ciężar nowego, doniosłego przedsięwzięcia. Pewnego dnia, z gałęzią w ręku i ze świtą uwielbiających go kobiet, poprowadził nas do swej ukrytej pracowni i wtajemniczył w zamysły.

Pracownią była mała polana pośród palmowego gaju. Bulgotał tu błotnisty gejzerek, jeden z tych, o których już wspominałem. Na jego brzegu leżały porozrzucone rzemienie ze skóry iguanodona i miękki, wielki pęcherz, jak się okazało, oskrobany i wysuszony żołądek jednego z olbrzymich rybo-jaszczurów. Ten pojemny worek był zeszyty tak, że pozostał w nim tylko mały otwór. Challengeer wsadził w niego kilkanaście pustych bambusów, a ich przeciwne końce tkwiły w stożkowatych kanalikach z gliny, gdzie zbierał się gaz wychodzący z gejzerka. Powoli sflaczały pęcherz począł pęcznić i tak rwać w górę, że Challengeer musiał przywiązać go sznurami do pobliskich pni. W pół godziny powstał dość duży balon, który —

sądząc z tego, jak targał i ciągnął za sznury — mógłby podnieść spory ciężar. Challenger, dumny jak ojciec z pierworodnego dziecięcia, uśmiechał się, gładził brodę i cieszył się w milczeniu z tworu swego umysłu. Summerlee pierwszy przerwał ciszę.

— Pan sobie chyba nie wyobraża, że polecimy na tym? — powiedział kwaśno.

— Drogi profesorze, dam panu taki dowód potęgi tego balonu, że się pan nie zawaha powierzyć mu swego życia.

— Niech pan to sobie wybije z głowy — stanowczo odparł Summerlee. — Za nic na świecie nie popełnię podobnego szaleństwa. Lordzie Johnie, myślę, że pan nie poprze tego wariackiego pomysłu.

— Diabelnie sprytne sztuka — odrzekł Roxton. — Chciałbym zobaczyć, jak poleci.

— Zobacz pan — rzekł Challenger. — Od kilkunastu dni suszę sobie głowę nad problemem ucieczki z wyżyny. Przekonaliśmy się już, że nie zdołamy zejść ze skał, a tunelu, który prowadził na dół, już nie ma. Nie możemy też przerzucić mostu na samotną skalę. W jakież więc sposób sprowadzę was, moi panowie? Parę dni temu powiedziałem naszemu młodemu przyjacielowi, że z gejzera wydostaje się wolny wodór. O! jak zrodził się pomysł balonu. Oczywiście początkowo nie wiedziałem, skąd wziąć powłokę, ale widok pojemnych wnętrzości tych gadów nasunął mi rozwiązanie. Patrzcie teraz na moje dzieło!

Wsunął jedną rękę za strzepy marynarki, a drugą wskazywał dumnie przed siebie.

Tymczasem balon wydał się gazem, spęczniał i niespokojnie targał się na uwięzi.

— Istne szaleństwo — warknął Summerlee, Lord John był zachwycony pomysłem.

— Zuch stary — szepnął mi do ucha. Potem głośniejszym głosem zwrócił się do Challengeera. — A co z gondolą?

— O gondoli pomyślę później. Już wiem, jak ją wykonam i przymocuję. Teraz pokażę panom tylko, że balon uniesie każdego z nas.

— Chyba wszystkich nas?

— Nie. Obmyśliłem sobie, że kolejno każdy opuści się na nim jak na spadochronie, a pozostali wciągną balon za pomocą urządzenia, które łatwo wykonam. Jeśli balon uniesie jednego z nas i gładko z nim opadnie, trudno wymagać więcej. A teraz pokażę panom, że to potrafi.

Przydźwigał spory bazaltowy głaz, który można było pośrodku obwiązać liną. Była to nasza stara lina pozostała po wdrapaniu się na samotną skalę. Miała ze sto stóp długości i była bardzo mocna, choć cienka. Challenger przygotował już z rzemieni coś w rodzaju kołnierza, z którego zwisały luźne paski. Ten kołnierz nałożył na kopułę balonu, a wolne końce zebrał w dole, tak że waga głazu, rozkładała się na całej obszernej powierzchni balonu. Potem przymocował głaz do rzemieni, a linę trzykrotnie owinął sobie koto ręki.

— Teraz pokażę panom — powiedział, zawczasu rozkoszując się swym triumfem — siłę nośną mego balonu.

Z tymi słowami przeciął nożem utrzymujące balon sznury.

Nigdy jeszcze nasza wyprawa nie była narażona na tak kompletną zagładę. Balon wyprysnął w górę z przerażającą szybkością. W mgnieniu oka Challenger uleciał za nim. W

ostatniej chwili, już w powietrzu, chwyciłem go wpół i poczułem, że ziemia ucieka mi spod nóg. Lord John chciał przytrzymać mnie za stopy, ale i on stracił grunt pod sobą. Przez chwilę widziałem w wyobraźni całą naszą czwórkę unoszącą się jak sznur parówek nad odkrytą przez nas ziemią. Ale na szczęście lina miała granice wytrzymałości, których najwyraźniej zabrakło piekielnemu balonowi. Pękła z trzaskiem i oplatani jej zwojami spadliśmy na ziemię. Kiedy udało nam się wstać, ujrzelśmy wysoko na błękitnie nieba czarną plamkę: to bazaltowy głaz szybował po niebiosach.

— Wspaniale! — krzyczał nieustraszony Challenger rozcierając nadwreżone ramię. — Bardzo udana próba. Nie przewidywałem aż takiego sukcesu. Obiecuję panom, że za tydzień będziecie mieli drugi balon, i możecie liczyć, że zupełnie bezpiecznie, a nawet wygodnie odbędziemy nim pierwszy etap naszej powrotnej drogi.

Dotąd opisywałem nasze przygody na gorąco, kończę zaś to sprawozdanie w dawnym obozie na równinie, gdzie Zambo tak długo na nas czekał. Wszystkie trudności i niebezpieczeństwa jak ciężki sen pozostały na rozległym szczycie czerwonych skał spiętrzanych nad naszymi głowami. Zeszliśmy szczęśliwie, choć w najbardziej niespodziewany sposób, i nic już nam teraz nie grozi. Za sześć tygodni, a najdalej za dwa miesiące, będziemy w Londynie i być może list ten tylko nieznacznie nas wyprzedzi. Już teraz całym sercem i duszą rwiemy się do rodzinnego miasta, w którym mamy wszystko, co nam drogie.

Zmiana w naszym losie zaszła tego samego wieczoru, kiedy wydarzyła się omal że nie tragiczna w skutkach przygoda ze skleconym przez Challengego balonem. Pisałem, już panu, że jedyną osobą sprzyjającą choć trochę naszym zamiarom powrotu był młody wódz. On tylko nie chciał zatrzymywać nas wbrew naszej woli. Tyle powiedział nam wymownym językiem gestów. Otóż wspomnianego wieczoru zeszedł o zmroku do naszego obozu i dał mi (mnie darzył zawsze większą sympatią niż innych, pewno dlatego, że byliśmy niemal jednolatkami) mały zwitek kory. Potem z powagą wskazał na rząd pieczar w górze, przyłożył znacząco palec do ust i wrócił do Indian.

Przy blasku ogniska poczęliśmy wspólnie badać zwitek kory. Wielkości jednej stopy kwadratowej, pokryty był wewnątrz szeregiem zagadkowych znaków. Podaję je niżej:

Na białej powierzchni znaki nakreślone węglem odcinały się wyraźnie i na pierwszy rzut oka przypominały nuty.

— Nie wiem, co one znaczą, ale gotów jestem przysiąc, że mają dla nas wielką wagę — powiedziałem. — Zresztą wyczytałem to z jego twarzy.

— Chyba że jest nieokrzesanym kawalarzem — rzekł Summerlee. — Skłonność do żartów jest najelementarniejszą cechą pierwotnego człowieka.

— To jakiś rodzaj pisma — powiedział Challenger.

— Wygląda na gazetowy rebus konkursowy — zauważył lord John wyciągając szyję, by lepiej dojrzeć rysunek.

Nagle porwał kawałek kory.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Mam! To nasz młody przyjaciel miał rację. Spójrzcie! Ile znaków widzicie? Osiemnaście. Zastanówcie się, panowie: na zboczu nad nami mamy

osiemnaście wylotów pieczar.

— Wskazał na nie dając mi korę — wtrąciłem.

— To wszystko wyjaśnia. Oto mapa pieczar. Osiemnaście w jednym szeregu, niektóre długie, niektóre krótkie, jedne proste, inne rozgałęzione. To mapa! A tu widzimy krzyżyk. Po co tu jest? Po to, by zaznaczyć najdłuższą jaskinię.

— Taką, która przechodzi na wylot! — krzyknąłem.

— Myślę, że nasz młody przyjaciel rozwiązał zagadkę — rzekł Challenger. — Gdyby ta pieczara nie przechodziła na wylot, człowiek, który nam dobrze życzy, nie zwracałby na nią naszej uwagi. Ale jeśli istotnie przecina górę, pozostanie nam do zejścia najwyżej sto stóp.

— Sto stóp — jęknął Summerlee.

— Nasza lina jest dłuższa — powiedziałem. — Na pewno uda nam się spuścić po niej.

— A co z Indianami w pieczarze? — niepokoił się Summerlee.

— W tych pieczarach nie ona Indian — wyjaśniłem. — To są składy. Chodźmy zaraz zbadać teren!

— Na wyżynie było dużo smolistego drzewa — jak mówili nasi uczeni, z gatunku araukarii — którego Indianie używali na pochodnie. Każdy z nas chwycił wiązkę takich szczap i zarośniętymi zielskimi stopniami ruszyliśmy w górę do jaskini wskazanej na rysunku. Jak przypuszczałem, nie było w niej nikogo prócz olbrzymich nietoperzy, które krążyły niespokojnie nad naszymi głowami. Szliśmy po omacku w ciemności, nie chcąc budzić uwagi Indian, i dopiero po paru zakrętach i wejściu, w głąb pieczary zapaliliśmy pochodnie. Byliśmy w przyjemnym suchym tunelu o gładkich, szarych ścianach, pokrytych rysunkami. Nad sobą mieliśmy tukowaty strop, a pod nogami biały, błyszczący piasek. Szliśmy prędko, niecierpliwiąc się, aż w końcu z jękiem rozczarowania musieliśmy stanąć: przed nami wznosił się gładki skalny mur, tak zwarty, że nawet mysz by się przez niego nie przedostała. Tędy nie było wyjścia.

Gorzko zawiedzeni, nie odrywaliśmy oczu od tej niespodziewanej przeszkody. Tym razem, zatrzymała nas nie jakaś zaporą po wstrząsie wulkanicznym, jak to było w zawalonym tunelu. Ta ściana podobna była do bocznych. Mieliśmy do czynienia z odwiecznym ślepym zaułkiem.

— Nie martwcie się, przyjaciele — rzekł nieugięty Challenger. — Pamiętajcie, że obiecałem wam sporządzić nowy balon.

Summerlee coś burknął pod nosem.

— Może to nie ta pieczara? — zauważyłem.

— Nie ma mowy o pomyłce, paniczku — rzekł lord John wskazując palcem na mapę. — Siedemnasta od prawej a druga od lewej strony. To ta.

Spojrzałem na znak, który mi pokazał, i krzyknąłem z radości.

— Wiem! Wiem! Chodźcie, chodźcie! Pobiegłem z powrotem, świecąc sobie pochodnią.

— Tu — powiedziałem podnosząc z ziemi zapałkę — zapaliliśmy pochodnie.

— Tak.

— Nasza pieczara ma być rozwidlona. Po ciemku minęliśmy rozwidlenie. Wracając

powinniśmy ujrzeć po prawej ręce dłuższy tunel.

Miałem rację. Nie przeszliśmy nawet trzydziestu jardów, gdy dostrzegliśmy wielki, czarny otwór ziejący w ścianie. Znaleźliśmy się teraz w jeszcze szerszym korytarzu. Gnani niecierpliwością, przebiegliśmy kilkaset jardów. I nagle w smolistoczarnym sklepieniu przed nami zamigotało jakieś ciemnoczerwone światło. Patrzyliśmy zdziwieni. Nieruchoma, błyszcząca smuga przecinała korytarz i zagradała nam przejście. Pośpieszyliśmy ku niej. W zupełnej ciszy jarzyła się zimnym, spokojnym blaskiem i niby jasna kurtyna zamykała drogę. Posrebrzyła ściany pieczary i rozłociła piasek pod naszymi nogami. A gdy podeszliśmy bliżej, dojrzeliliśmy jakiś świetlisty krag.

— Na Boga! To księżyc! — zawołał lord John. — Wydostaliśmy się, panowie!

Istotnie był to księżyc w pełni, który świecił prosto w otwór jaskini. Szczelina była w gruncie rzeczy mała, nie większa od okna, ale wystarczała naszym celom. Wysunąwszy się na zewnątrz, zobaczyliśmy, że zejście nie było trudne i że równina leżała niezbyt daleko pod nami. Nic dziwnego, że z dołu nie zauważyliśmy wylotu korytarza, bo skały nad nim nawisły, a wejście tędy wydawało się tak trudne, że zniechęcało do bliższego badania. Sprawdziwszy, czy nasza lina sięgnie do ziemi, wróciliśmy uradowani do obozu, by się przygotować do jutrzejszej wieczornej ucieczki.

Uwinęliśmy się z tym szybko i w tajemnicy, bo nawet w ostatniej chwili Indianie mogli nas zatrzymać. Wszystkie zapasy postanowiliśmy zostawić na wyżynie i zabrać tylko strzelby i naboje. Jednakże Challenger miał jakieś nieporęczne pakunki, których za nic nie chciał porzucić. Zwłaszcza jeden z nich, o którym nie chcę tu mówić, bardzo dał się nam we znaki. Dzień mijał wolno, ale kiedy słońce zaszło, byliśmy gotowi do drogi. W pocie czoła wwindowaliśmy nasze rzeczy po schodach, a potem rzuciliśmy ostatnie, długie spojrzenie na ten dziwny świat, który jak się obawiam, wkrótce straci swój romantyczny urok i stanie się łupem myśliwych i awanturników. Dla nas jednakże na zawsze będzie on światem czarów i baśni, krajem bohaterskiej przygody, gdzie wycierpieliśmy dużo i dużo się nauczyli — naszym krajem, jak odtąd czule będziemy go nazywać. Na lewo rząd pieczar świecił w ciemności jasnymi, wesółymi ogniskami. Ze stoku pod nami dobiegały śmiechy i śpiewy Indian. W oddali majaczyła ciemna linia lasu, a pośrodku połyskiwały w mroku wody wielkiego jeziora, ojczyzny przedziwnych potworów. Nawet teraz głuche rżenie — zew tajemniczego zwierzęcia — rozdarło ciszę. Był to prawdziwy głos pożegnalny Ziemi Maple'a White'a. Wreszcie weszliśmy do pieczary, która miała nas doprowadzić do domu.

W dwie godziny później wraz z całym naszym dobytkiem i bagażami znaleźliśmy się u stóp skal. Przeprawa poszła gładko, tylko pakunki Challenge'a sprawiły nam kłopot. Pozostawiając wszystko u podnóża wyżyny, ruszyliśmy do obozu naszego Zambo. Gdy wczesnym rankiem doszliśmy na miejsce, zdumiał nas widok wielu ognisk zamiast jednego. To nadciągnęła pomoc. Składała się z dwudziestu Indian znad rzeki, którzy przynieśli dragi, liny i wszystko, co potrzeba dla przerzucenia pomostu nad przepaścią.

Jutro, ruszając w powrotną drogę nad Amazonkę, nie będziemy przynajmniej mieli kłopotu z dźwiganiem pakunków.

Tak więc w pokorze ducha dziękując Bogu kończę swoje sprawozdanie. Widzieliśmy

wielkie cuda. Nasze dusze oczyściły się w ciężkich przeżyciach. Wracamy dojrzałsi i lepsi. Możliwe, że zatrzymamy się w Para dla koniecznych zakupów. W takim razie ten list mnie wyprzedzi. Jeśli nie — jednocześnie z nim staniemy w Londynie. Tak czy owak, spodziewam się, szanowny panie McArdle, niebawem uścisnąć pańską dłoń.

ROZDZIAŁ XVI POCHÓD! POCHÓD!

W imieniu własnym i moich, towarzyszy chciałbym tu wyrazić głęboką wdzięczność wszystkim naszym przyjaciółom znad Amazonki za ich wyjątkową życzliwość i gościnność okazaną nam w drodze powrotnej. Szczególnie chciałbym podziękować signorowi Penalosa i innym przedstawicielom władz brazylijskich, którzy wszystkimi siłami ułatwiali nam podróż. Dziękuję też signorowi Pereira z Para za to, że przewidział, jak opłakanie musimy wyglądać, i przygotował dla nas nowe ubrania, dzięki czemu znów możemy się pokazać w cywilizowanym świecie. Przykro mi, że tym wszystkim ludziom musieliśmy za ich dobroć i życzliwość odplacić kłamstwem. Nie mieliśmy jednak wyboru i uprzedzam ich, że tracą czas i pieniądze, jeśli spróbują ruszyć na wyżynę naszym śladem. We wszystkich, bowiem opowiadaniach operowaliśmy zmyślonymi nazwami i jestem pewien, że nikt z naszych następców na podstawie choćby najwnikliwszej analizy tych danych nie podejrze do nieznanego świata nawet na tysiąc mil.

Wydawało nam się, że zaciekawienie, jakie budziliśmy w drodze powrotnej przez Amerykę Południową, miało charakter czysto lokalny, i zapewniam naszych, przyjaciół w Anglii, iż wielkie poruszenie wywołane w całej Europie samymi tylko pogłóskami o naszych przygodach sprawiło nam wielką niespodziankę. Dopiero na pokładzie «Ivernii», już tylko o pięćset mil od Southampton, z powodzi napływających z agencji i gazet radiodepesz, w których oferowano nam zawrotne honoraria za chociażby krótkie sprawozdania z wyprawy, przekonaliśmy się, jak bardzo interesuje się nami nie tylko świat nauki, ale i szeroka publiczność. Uzgodniliśmy jednak między sobą, że nie podamy prasie nic konkretnego przed złożeniem sprawozdania członkom Instytutu Zoologii. Byliśmy ich wysłannikami i im też przede wszystkim winniśmy przedstawić wyniki naszych badań. Toteż stanowczo odmówiliśmy jakichkolwiek informacji dziennikarzom, których pełno było w Southampton. W efekcie uwaga wszystkich skupiła się na zebraniu Instytutu zwołanym na wieczór siódmego listopada. Okazało się jednak, że sala Instytutu, w której zrodził się pomysł wyprawy, będzie tym razem za mała. Dlatego zgromadzono się w Queen's Hall na Regent Street. Teraz wiadomo już, że nawet Albert Hall nie pomieściłby wszystkich ciekawych.

Zebranie miało się odbyć następnego wieczoru po naszym powrocie. Pierwszy bowiem poświęciliśmy najpilniejszym sprawom osobistym. O moich wolę na razie nie wspominać. Może, gdy przestaną być takie żywe, zdołam o nich pomyśleć i nawet mówić z mniejszym bólem. Na początku tej opowieści zdradziłem czytelnikom, jakie były motywy mojego czynu i co było moim natchnieniem. Należałoby więc zakończyć i ten wątek opowieści. Zrobię to pewno później. W każdym razie tak się złożyło, że brałem udział w niezwyklej przygodzie i mogę być tylko wdzięczny przyczynie, która mnie do tego pchnęła.

A teraz wracam do ostatniego, kulminacyjnego momentu naszych przeżyć. Łamałem sobie głowę, jak najlepiej go opisać, gdy wypadkiem spojrziałem na numer mojej własnej gazety z ósmego listopada z pełnym i doskonałym sprawozdaniem mego kolegi po piórze i przyjaciela – Macdona. Może najrozsądniej zrobię przytaczając słowo w słowo jego artykuł, tytuły i wszystko? Muszę przyznać, że gazeta szeroko potraktowała ten temat ze względu na fakt wystąpienia z naukowcami własnego korespondenta, ale i inne wielkie dzienniki podały nie mniej szczegółów. A więc głos ma mój przyjaciel Mac:

NOWY ŚWIAT!

Wielkie zebranie w Queen's Hall!

Wrzawa i hałasy! Niezwykłe wydarzenie!

Ca to było? Nocny tumult na Regent Street!

(Od naszego wystannika)

Ubiegłej nocy w większej sali Queen's Hall odbyło się niecierpliwie oczekiwane zebranie Instytutu Zoologii, poświęcone sprawozdaniu członków delegacji wyсланey w zeszłym roku do Ameryki Południowej po to, by na miejscu sprawdzić twierdzenie profesora Challengeera o ciągłym istnieniu prehistorycznych zwierząt na tym kontynencie, i trzeba przyznać, że to posiedzenie zapisze się złotymi zgłoskami w dziejach nauki, bo było tak sensacyjne i niezwykła, że nikt z obecnych nie zapomni go do końca życia.

(Och, kolego po fachu, co za potwornie długie wstępne zdanie!).

Teoretycznie zaproszenia wydano tylko członkom Instytutu i ich przyjaciołom, ale to określenie jest dość elastyczne, toteż na długo przed początkiem zebrania wyznaczonym na godzinę ósmą sala była wypchana po brzegi. Szerokie rzesze publiczności, niesłusznie rozgoryczonej tym, że nie pozwolono jej wejść na salę, przypuściły szturm do drzwi o trzy kwadranse na ósmą. Poprzedziło go długotrwałe zamieszanie, podczas którego poturbowano wiele osób. Inspektorowi Scoble z oddziału H przypadkowo złamano nogę. Po tym niedopuszczalnym ataku publiczność zappełniła wszystkie przejścia i wdarta się nawet na miejsca zarezerwowane dla prasy. Ogółem z pięć tysięcy ludzi czekało na przybycie podróżników. Kiedy wreszcie weszli, zajęli miejsca na trybunie, gdzie zasiedli już najwybitniejsi uczeni nie tylko z Anglii, lecz z Francji i z Niemiec. Szwecja była również reprezentowana w osobie profesora Sergiusa, słynnego zoologa z uniwersytetu w Upsali. Wejście czterech bohaterów wieczoru wywołało wybuch entuzjazmu. Wszyscy zerwali się z krzesel, a głośnym i radosnym okrzykiem nie było końca. Baczny obserwator mógł jednak zauważyć, że wśród publiczności panuje pewien rozdźwięk, i wywnioskować, że zebranie zapowiada się burzliwie. Ale z pewnością nikt nie przewidział, jak niezwykły obrót przybierze.

Nie będę się zatrzymywał nad opisem czterech podróżników. Ich fotografie podają od pewnego czasu wszystkie dzienniki. Trzeba jednak powiedzieć, że niezbyt znaczą na nich rzekome trudy. Broda profesora Challengeera jest może bardziej zwichrzona, rysy profesora Summerlee bardziej ascetyczne, lord Roxton jeszcze trochę szczuplejszy, a wszyscy trzej o wiele więcej opaleni niż przed odjazdem, jednakże zdrowie wydaje się im dopisywać. Przedstawiciel naszej gazety, dobrze znany ogółowi atleta i cieszący się

międzynarodowym rozgłosem gracz drużyny rugby, E. D. Malone, jest w doskonałej kondycji. Gdy patrzył na zebrany tłum, pogodny uśmiech rozjaśniał jego szlachetne, choć prostoduszne oblicze. (Poczekaj, Mac, niech cię dopadną w jakim kącie!)

Kiedy wreszcie zapanował spokój i wszyscy usiedli po owacjach na cześć podróżników, wstał przewodniczący, ksiązę Durham, i zwrócił się do publiczności. „Nie będę zabierał czasu tak licznemu zebraniu — powiedział — i opóźniał ucztę duchowej, jaka państwa czeka. Nie będę też uprzedzał tego, co ma oświadczyć profesor Summerlee, rzecznik wyłonionego komitetu, ale ogólnie wiadomo, że wyprawa zakończyła się wielkim sukcesem (brawa). Najwidoczniej epoka przygód romantycznych nie minęła. Istnieje jeszcze teren, na którym najsmielszą fantazję pisarza potwierdzają badania naukowca. Chciałbym tylko dodać na zakończenie, że szczerze się cieszę — i pod tym, względem niewątpliwie wyrażam opinię zebranych. — iż wszyscy podróżnicy wrócili cało i zdrowo z bardzo niebezpiecznej wyprawy, bo każde nieszczęście, jakie by ich spotkało, byłoby niepowetowaną stratą dla nauk przyrodniczych”. (Długie oklaski, do których — jak zauważono — przyłączył się profesor Challenger.)

Powstanie profesora Summerlee powitano nowym wybuchem entuzjazmu, a przemówienie przerywano mu wciąż brawami. Jego słów nie przytaczam w całości na łamach naszego pisma, bo szczegółowe sprawozdanie z wyprawy będzie się ukazywało w dodatku do naszej gazety. Wyjdzie ono spod pióra naszego specjalnego wystannika. Ograniczamy się więc do ogólników. Profesor Summerlee zaczął od przypomnienia zebranych, jak zrodziła się myśl wyprawy. W najgorętszych słowach wyraził pochwałę swemu przyjacielowi, profesorowi Challengerowi, i przeprosił go za okazywany mu brak zaufania, albowiem musi przyznać, że profesor Challenger mówił prawdę. Potem przystąpił do opisu wypadków, starannie zachowując w tajemnicy te wiadomości, które pozwoliłyby umiejscowić niezwykłą wyżynę. Z grubsza opowiedział o wędrownicy od Amazonki aż do podnóża skał. Następnie porwał słuchaczy barwnym obrazem trudności towarzyszących dostaniu się na ich szczyt. Wreszcie odmalował powodzenie, jakie uwieńczyło te desperackie wysiłki i za które, niestety, dwaj wierni Metysi zapłacili życiem.

(To zadziwiające przedstawienie sprawy należy przypisać faktowi, że Summerlee wolał nie poruszać na zebraniu tak drażliwej kwestii).

Zawiódłszy zebranych na wyżynę i odciąwszy ich od świata po zawaleniu się mostu, profesor ukazał im wszystkie okropności i atrakcyjne strony tej zadziwiającej krainy. O osobistych przygodach ledwie napomknął, ale podkreślił olbrzymie znaczenie plonu, jaki zebrała Nauka dzięki obserwacji niezwykłych potworów, ptaków, owadów, roślin. W ciągu paru tygodni zdobyto bardzo bogate zbiory: czterdzieści sześć odmian żuków i dziewięćdziesiąt cztery — motyli. Jednakże zainteresowanie słuchaczy skupiło się na wielkich zwierzętach, zwłaszcza na tych, które uważano za dawno wymarłe. Profesor wymienił ich wiele, ale nie wątpił, że znajdzie się jeszcze więcej po dokładnym zbadaniu wyżyny, Wiąż z towarzyszami widział sporo potworów, przeważnie z daleka, zupełnie nie podobnych do zwierząt znanych teraz nauce. Te z czasem zostaną odpowiednio sklasyfikowane i zbadane. Wspomniał o wężu, którego zrzucona skóra była purpurowa i miała pięćdziesiąt jedną stopę, o jakimś białym stworze, zapewne ssaku, fosforycznie

świecącym w ciemności, o wielkiej czarnej ćmie, którą Indianie uważają za bardzo jadowitą. Pomijając nowe formy życia, świat ten obfituje w dobrze znane prehistoryczne stworzenia z wczesnego okresu jurajskiego. Wśród nich wymienił olbrzymiego i groteskowego stegozaura, którego pan Malone widział u wodopoju, a awanturniczy Amerykanin — odkrywca wyżyny — narysował w swym szkicowniku. Profesor Summerlee opisał też wygląd iguanodona i pterodaktyla — pierwsze dwa dziwy ujrzone przez podróżników. Potem przeraził zebranych opowiadaniem o okropnym drapieżnym dinozaurze, zwierzęciu, które nieraz atakowało członków wyprawy i które bez wątpienia jest najokrutniejsze ze wszystkich widzianych przez nich zwierząt. Czas jakiś zatrzymał się na opisie ptaka phororahacoa i wielkiego łosia, wciąż jeszcze zamieszkującego wyżynę. Ale największe zaciekawienie publiczności obudziły dopiero tajemnice środkowego jeziora. Słuchając, jak profesor beznamiętnym, rzeczowym tonem mówił o olbrzymich trójjokich rybo-jaszczurach czy wielkich wodnych wężach żyjących w tym zaczarowanym jeziorze, niejednen ze słuchaczy musiał się uszczypnąć, by się przekonać, że nie śni. Wreszcie profesor przeszedł do Indian i niezwykłych małpoludów, które można uważać za zewolucjonowany typ pithecanthropusa jawańskiego, a tym samym za gatunek najbardziej zbliżony do hipotetycznej istoty, tak zwanego „brakującego ogniwa”. Wreszcie wzbudził wesółść audytorium opowiadaniem o niezwykłym i niebezpiecznym aeronautycznym wynalazku profesora Challengeera i zakończył swe pamiętne sprawozdanie relacją, w jaki sposób podróżnicy zdołali wreszcie wrócić do cywilizowanego świata.

Można się było spodziewać, że na tym zebraniu się skończy i że teraz na wniosek profesora Sergiusa z uniwersytetu w Uppsali zebrani złożą prelegentowi podziękowania i gratulacje. Ale wkrótce okazało się, iż wszystko tak gładko nie przejdzie. Już w czasie sprawozdania profesora Summerlee dały się zauważyć tendencje opozycjonistyczne. Teraz zaś ze środkowych miejsc podniósł się doktor James Illingworth z Edynburga i poprosił o głos w sprawie poprawki do ewentualnej rezolucji.

Przewodniczący: — Jeśli zdaniem pana jest konieczna, proszę bardzo.

— Tak, uważam poprawką za konieczną.

— A więc udzielani panu głosu.

Profesor Summerlee zerwawszy się z miejsca: — Chciałbym wyjaśnić, że doktor Illingworth jest moim osobistym wrogiem od czasu naszego sporu na łamach „Kwartalnika Naukowego” na temat prawdziwego charakteru bathybiusa.

Przewodniczący: — Nie mogę brać pod uwagę pobudek osobistych. Doktorze, pan ma głos.

Zaciekli stronnicy podróżników w pierwszej chwili prawie zupełnie zagłuszyli doktora Illingwortha. Próbowali nawet przemocą posadzić go na miejsce. Ale dzięki wielkiej sile fizycznej i doniosłemu głosowi Illingworth zapanował nad tumultem i dokończył przemówienia. Od pierwszej chwili było jasne, że ma zwolenników na sali, choć byli w mniejszości. Większość obecnych zachowywała czujną neutralność.

Doktor Illingworth zaczął od słów pochwały dla naukowych zasług profesorów Challengeera i Summerlee. Wyraził żal, że jego wystąpienie przypisano względem osobistym, gdy tymczasem kieruje nim tylko chęć poznania prawdy naukowej. W gruncie rzeczy zajmuje

zasadniczo takie samo stanowisko jak profesor Summerlee na ostatnim zebraniu. Wtedy profesor Challenger złożył pewne oświadczenie, które jego kolega zakwestionował. Teraz ten kolega mówi to samo, co wówczas Challenger, i chce, by mu wierzono. Czy to słuszne? (okrzyki: „tak!” „nie!”, nie milknący gwar, w czasie którego wyraźnie słychać w loży prasowej, jak profesor Challenger prosi przewodniczącego, by mu pozwolił wyrzucić za drzwi doktora Illingwortha). Rok temu jeden człowiek coś twierdził. Teraz czterech ludzi opowiada jeszcze bardziej zadziwiające historie. Czy w sprawach tak wielkiej wagi a zarazem tak nieprawdopodobnych to wystarcza? Znamy wypadki całkiem świeżej daty, kiedy zbyt pochopnie wierzono bajkom podróżników o nieznanym krainach. Czy Londyński Instytut Zoologii chce popełnić taki sam błąd? Trzeba przyznać, że uczestnicy wyprawy to ludzie nieposzlakowanego charakteru. Ale natura ludzka jest dość skomplikowana. Chęć sławy może nawet profesora sprowadzić na manowce. Ludzie jak ćmy lgną do blasku. Ci, co polują na grubego zwierzka, pragną zakasować swych konkurentów, a dziennikarze wszędzie szukają sensacji, nawet kosztem prawdy. Każdy z członków ekspedycji jest osobiście zainteresowany w rozdmuchaniu jej wyników („hańba!”, „hańba!”). Doktor Illingworth nie chce nikogo urazić {„ale pan to robi!”} lecz zadziwiające opowiadanie poparto słabymi dowodami. Do czego się one sprowadzają? Do paru fotografii. Czy teraz, kiedy na każdym polu uprawia się najrozmaitsze machinacje, możemy uznać fotografię za wystarczający dowód? A co więcej? Opowiadanie o ucieczce i spuszczeniu się po linie, co nie pozwoliło zabrać większych okazów. Świetnie pomyślane, ale nie przekonujące. Lord Roxton przywiózł jakoby czaszkę phororahacosa. Chciałbym ją zobaczyć.

Lord Roxton: — Czy ten pan zarzuca mi kłamstwo? (wrzawa).

Przewodniczący: — Cisza! Cisza, panowie! Doktorze Illingworth, niech pan się streszcza i sformułuje swój wniosek.

Doktor Illingworth: — Miałbym jeszcze coś do powiedzenia, ale podporządkuję się pańskiemu życzeniu. Stawiam wniosek, aby zebranie podziękowało profesorowi Summerlee za nadzwyczaj ciekawy referat, ale żeby uważało całą historię za „nie dowiedzioną” i by wyłoniło większą i możliwie jeszcze bardziej wiarygodną komisję do zbadania tej sprawy.

Trudno opisać zamieszanie, jakie powstało po tych słowach. Większość zebranych głośnym krzykiem i wołaniem: „Nie zgadzamy się!”, „Za drzwi z nim!”, „Niech cofnie!” wyraziła swe oburzenie na takie oczernianie podróżników. Z drugiej strony oponenti — a trzeba przyznać, że było ich sporo — popierali wniosek krzycząc: „Cisza! „Spokój!”, „Każdy ma prawo głosu!”. W tylnych rzędach wybuchła bójka. Studenci medycyny, których było tam pełno, zaczęli okładać się nawzajem. Tylko obecność licznie zgromadzonych pań zapobiegła jeszcze większemu zamieszaniu. Nagle wrzawa na chwilę przycichła, a potem zapanował zupełny spokój. Profesor Challenger stał na podium. Już sam jego wygląd i sposób bycia onieśmiela, a gdy do tego podniósł rękę, zebrani siedli i nadstawili uszu, pełni oczekiwania.

— Wielu zebranych — zaczął Challenger — zapewne pamięta, że moje ostatnie wystąpienie tu spotkało się z równie głupim i nieokrzesanym przyjęciem. Wtedy rej wodził profesor Summerlee i choć teraz przejrzał i przyznał się do błędu, nie można mu tego zapomnieć. Dziś mój przedmówca pozwolił sobie na jeszcze gorszą zniewagę i choć upokarza mnie niżanie się do intelektualnego poziomu tego pana, spróbuję to zrobić, by

rozproszyc wątpliwości, jakie mógł zasieć w umysłach słuchaczy (śmiechy i wrzawa). Nie potrzebuję chyba przypominać, że choć dziś głos zabrał profesor Summerlee jako przewodniczący wyłonio nego przez zebranie komitetu, ja byłem jednakże motorem całej wyprawy i mnie przede wszystkim trzeba przypisać pomysły jej wynik. Bezpiecznie doprowadziłem tych trzech panów na miejsce i dowiodłem im prawdy moich słów. Spodziewaliśmy się, że gdy wrócimy i złożymy wspólne oświadczenie, nie znajdzie się taki głupiec, który je zakwestionuje. Jednakże, nauczony poprzednim doświadczeniem, przywiozłem dowód, który przekona każdego zdrowo myślącego człowieka. Profesor Summerlee już wspomniął, że w czasie napadu na obóz małopoludy uszkodziły nasze aparaty fotograficzne i zniszczyły większość klisz. (Żarciki, śmiechy i krzyki: „gadaj zdrów!” z tylnych rzędów). Wspomniatem o małopoludach i nie mogę powstrzymać się od uwagi, że te krzyki żywo przypominają mi przygodę z tamtymi ciekawymi zwierzętami (śmiechy). Mimo zniszczenia tylu nieocenionych klisz zostało ich jednak wiele, by przekonać niedowiarków o istnieniu prehistorycznego życia na wyżynie. Czy zarzuca nam ktoś oszustwo, podrobienie tych zdjęć? (Głos: „tak” i wielkie zamieszanie zakończone wyrzuceniem z sali paru osób). Kasety otworzono w obecności ekspertów. Jakież jeszcze dowody możemy złożyć? W warunkach naszej ucieczki nie mogliśmy zabrać większej ilości bagaży, ale uratowaliśmy zbiory profesora Summerlee, które zawierają zupełnie nowe gatunki motyli i żuków. Czy to nie dowód? (Liczne głosy: „nie!”). Kto powiedział „nie”?

Doktor Illingworth (wstając): — Uważamy, że taką kolekcję można było zebrać w jakimś innym miejscu, niekoniecznie na prehistorycznej wyżynie (brawa).

Profesor Challenger: — Wypada nam schylić głowę przed pańskim autorytetem, mój panie, choć dodam, że pańskie nazwisko jest mało znane w świecie nauki. Pomijam więc zdjęcia i kolekcje. Pozostają jeszcze przywiezione przez nas dokładne i wszechstronne wiadomości, które rzucają światło na pewne, dotąd zupełnie nieznanne zagadnienia, jak na przykład stadne zwyczaje pterodaktyli (głos: „bujda!” i wrzawa). Powtarzam, że na zwyczaje pterodaktyli możemy rzucić zupełnie nowe światło. Mogę pokazać państwu obrazek tego stworzenia zrobiony z natury, który przekona...

Doktor Illingworth: — Żaden obrazek nas nie przekona.

Profesor Challenger: — Chciałby pan zobaczyć żywe stworzenie?

Doktor Illingworth: — Oczywiście.

Profesor Challenger: — I to by pana przekonało?

Doktor Illingworth (śmiejąc się): — Może pan być pewien.

Wtedy wydarzyła się największa sensacja tego wieczoru. Tak dramatyczna, jakiej nie znało żadne jeszcze naukowe zebranie. Profesor Challenger podniósł rękę i na ten znak nasz kolega E. D. Malone wstał i znikł za kotarą. Po chwili ukazał się znowu w towarzystwie olbrzymiego Murzyna. We dwóch dźwigali dużą kwadratową skrzynię. Musiała być ciężka, bo szli wolno, aż wreszcie postawili ją przed krzesłem profesora. Na sali było cicho jak makiem zasiał. Wszyscy wpatrywali się w skrzynię. Profesor Challenger odsunął wieko i nie odrywając oczu od jej wnętrza, parę razy pstryknął palcami. Z łoży prasowej słyszeliśmy, jak pieszczotliwym głosem mówił: „Chodź, chodź, Kochasiu!” Po chwili z drapaniem i

chrzęstem wyłoniło się ze skrzyni wstrętne, straszne stworzenie i przysiadło na jej brzegu. Wywołało tak wielkie zdumienie, że skamieniała z wrażenia publiczność nawet nie spostrzegła, jak przewodniczący, książę Durham, zleciał nagle z estrady i wpadł do miejsca dla orkiestry. Łeb stworzenia przypominał najokropniejszą chimere zrodzoną kiedykolwiek w fantazji średniowiecznego artysty. Był zły, drapieżny, z parą małych czerwonych oczu świecących jak dwa rozżarzone węgielki. W długiej, dzikiej, rozchylonej paszczy lśniły dwa rzędy ostrych zębów. Zwierzę siedziało ze złożonymi ramionami spowitymi w coś na kształt spłowiałego popielatego szala. Wyglądało jak wcielenie diabła z bajek słyszanych w dzieciństwie. Wśród zebranych powstało zamieszanie: ktoś pisnął przeraźliwie, dwie panie w przednich rzędach zemdlały i osunęły się z krzesel, a kilka osób z prezydium chciało pójść w ślady przewodniczącego. Zdawało się, że wybuchnie ogólna panika. Profesor Challenger podniósł rękę chcąc uspokoić zebranych, ale ten ruch spłoszył zwierzę. Dziwny szal wokół ramion rozwinął się niespodziewanie w parę błoniastych skrzydeł. Profesor Challenger usiłował pochwycić uciekającego za nogę, ale się spóźnił. Ptak poderwał się ze skrzyni i powoli, z suchym chrzęstem błoniastych dziesięciostopowych skrzydeł zaczął wolno kołować nad zebranymi. Dokuczliwy zapach zgnilizny wypełnił salę. Krzyki ludzi na galerii, których przeraziła bliskość okrutnych oczu i straszliwego dzioba, doprowadziły potwora do szału. Fruwał coraz szybciej, tłukł się o ściany i kandelabry i wpadał w coraz większe przerażenie. „Okno! Na miłość boską, zamknijcie okno!” — krzyczał profesor skacząc jak opętany po estradzie i wymachując rękami. Ogarnął go śmiertelny strach, bo czuł, co się święci. Niestety, było już za późno! W chwilę potem stwór, tłukąc się o ścianę jak ćma o szkło lampy, napotkał otwarte okno, przecisnął przez nie swe wstrętne cielsko i znikł. Profesor Challenger zakrył twarz rękami i opadł na krzesło, a zebrani westchnęli z ulgą, widząc, że wszystko skończyło się szczęśliwie. A potem... jakże opisać, co się działo potem, gdy cała ślepa wiara większości i pełna reakcja nawróconej mniejszości audytorium złączyły się w jedną falę entuzjazmu, która przetoczyła się od tylnych rzędów aż do estrady i rosnąc w biegu, zalała podium i uniosła na swym grzbiecie czterech bohaterów! (Niech cię Pan Bóg kocha, Mac!) Niedawną nieufność wyrównano teraz z nadwyżką. Wszyscy zerwali się z miejsc, krzyczeli, gestykulowali, nie mogli ustać spokojnie. Rozwrzeszczany tłum otoczył czterech podróżników. „W górę ich! W górę!” — wołano. W mgnieniu oka wzięto naszych bohaterów na ramiona. Na próżno próbowali się wyrwać. Trzymano ich wysoko na znak hołdu, a tłum był tak gęsty, że nie mogliby nawet upaść. „Na Regent Street!” — krzyczano. Ciżba zawirowała i potok ludzki, unosząc czterech podróżników na ramionach, wolno popłynął do wyjścia. Na ulicy czekał nas niezwykle widok. Zebrało się tam przynajmniej ze sto tysięcy osób. Tłum, głowa przy głowie, stał od Hotelu Langham aż po Oxford Circus. Gdy w jasnym świetle lampy ujrzano naszych podróżników wysoko nad ludzkimi głowami, powitano ich wybuchem radości: „Pochód! Sformować pochód!” — wołano. Zwartą kolumną przez całą szerokość ulicy tłum popłynął po Regent Street, Pali Mali, St. James Street i Piccadilly. Zahamowano ruch kołowy, i doszło do starć z policją i kierowcami taksówek. Dopiero po północy tłum zwolnił bohaterów przed drzwiami mieszkania lorda Roxtona na Albany i rozszedł się po odśpiewaniu: To są dzielne zuchy i Boże, strzeż Króla. Tak zakończył się jeden z najbardziej niezwykłych wieczorów, jakiego Londyn nie pamięta już od dłuższego czasu.

Tyle mówi mój przyjaciel Macdona i choć pisze stylem zbyt kwiecistym, nie mijają się właściwie z prawdą. Główne wydarzenie tego wieczoru było oczywiście zupełną niespodzianką dla zebranych, ale nie dla nas. Czytelnik zapewne, pamięta, jak spotkałem lorda Johna, kiedy w swej klatce szedł upolować „szatańskie pisklę” dla profesora Challengera. Wspomniałem też o kłopotach, których przysporzył nam bagaż profesora w czasie ucieczki z wyżyny. A gdybym dokładnie opisywał naszą drogę powrotną, musiałbym napomknąć o trudnościach, jakie sprawił nam apetyt naszego wstrętnego towarzysza, którego trzeba było karmić zgniłymi rybami. Milczałem, bo profesor Challenger bardzo sobie życzył, aby żadna wzmianka o naszym nieodpartym argumencie nie przedostała się do wiadomości publicznej, zanim nie nadejdzie konieczność przekonania niedowiarków.

A teraz parę słów o losie londyńskiego pterodaktyla. Nie wiemy o nim nic pewnego. Dwie kobiety z przerażeniem mówiły, że widziały go na dachu Queen's Hall, siedzącego jak posąg szatana. Nazajutrz przeczytaliśmy w gazetach wieczornych, że szeregowy Miles, z pułku gwardii Coldstream, porzucił samowolnie swój posterunek przy Marlborough House i stanął za to przed sądem wojskowym. Sąd nie dał wiary jego słowom, że rzucił karabin i uciekł, gdy spojrzawszy nagle w górę, ujrzał diabła na tle księżyca. A przecież może to mieć związek z pterodaktyłem. Ostatnia informacja, jaką mogę przytoczyć, pochodzi z dziennika okrętowego parowca «Friesland» Linii Holendersko-Amerykańskiej. Zanotowano w nim, że o godzinie dziewiątej rano (nazajutrz po zebraniu w Instytucie), kiedy statek odszedł już dziesięć mil od portu i miał go z prawej burty, ujrzano coś lecącego nadzwyczaj szybko na południowy zachód. Był to jakiś stwór pośredni między skrzydlatym kozłem a wielkim nietoperzem. Jeżeli to ostatni europejski pterodaktyl poszedł za głosem instynktu i poleciał w rodzinne strony, musiał zginąć gdzieś na rozległych obszarach Atlantyku.

A Gladys — och, moja Gladys! Gladys tajemniczego jeziora, teraz znów przezwanego Środkowym, nigdy przeze mnie nie zyska nieśmiertelności. Czyż nie dostrzegałem w niej nigdy egoizmu? Czyż nawet wtedy, gdy z dumą usłuchałem jej rozkazu, nie czułem, jak mało warta jest miłość, która naraża kochankę na zgubę lub śmiertelne niebezpieczeństwo? Czyż w moich najtajniejszych myślach po tylekroć odpychanych i uporczywie powracających, nie dostrzegałem za piękną twarzą bliźniaczych uczuć samolubstwa i przewrotności? Czy Gladys kochała się w bohaterstwie i rozgłosie ze szlachetnych pobudek, czy też dla sławy, którą tanim kosztem, bez trudu i poświęcenia, mogła zdobyć? A może te refleksje to mądrość, co przychodzi po szkodzie? W każdym razie spotkało mnie straszne rozczarowanie. Była chwila, kiedy zwątpiłem o wszystkim. Ale gdy piszę te słowa po tygodniu i ważnej rozmowie z lordem Roxtonem, myślą, że może lepiej się stało.

W paru słowach opowiem, co zaszło. W Southampton nie czekał mnie ani żaden list, ani depeza. Toteż z wielkim niepokojem stanąłem o dziesiątej wieczór w dzień przyjazdu przed małą willą w Sireatham. Czy Gladys żyje, czy umarła? Gdzie podziały się moje sny i marzenia o rozwartych ramionach, uśmiechniętej twarzyczce i słowach uznania dla człowieka, który ryzykował życiem dla zaspokojenia czczego kaprysu? Zeszedłem już z obłoków i stąpałem po ziemi. A jednak mogłem raz jeszcze wznieść się pod obłoki. Przebiegłem ścieżkę, niecierpliwie zapukałem do drzwi, usłyszałem głos Gladys, minąłem zdumioną służącą i wpadłem do saloniku. Gladys siedziała w przyćmionym świetle lampy na

kanapce przy fortepianie. W trzech susach byłem przy niej i trzymałem obie jej ręce w moich.

— Gladys! — zawołałem. — Gladys!

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Zauważyłem, że się trochę zmieniła przez ten czas. Wyraz jej oczu, twarde spojrzenie skierowane w górę, zarys ust — były obce. Wyrwała ręce z mego uścisku.

— Nie rozumiem — powiedziała.

— Gladys — powtórzyłem. — Co się stało? Przecież jesteś moją Gladys. Moją dawną matką Gladys Hungerton.

— Nie — powiedziała. — Nazywam się Gladys Potts. Pozwoli pan, to mój mąż.

Jakże głupie jest życie! Machinalnie skłoniłem się i uścisnąłem rękę niskiemu, rudawemu jegomościowi, skulonemu w głębokim fotelu, ongi zarezerwowanym wyłącznie dla mnie. Kłanialiśmy się sobie i szczyrzyliśmy zęby w uśmiechu.

— Mieszkamy na razie u ojca. Nasz dom jeszcze nie jest gotowy — wyjaśniła Gladys.

— Ach, tak — powiedziałem.

— Nie dostał pan więc mego listu w Para?

— Nie, nie dostałem żadnego listu.

— Jaka szkoda! Wiedziałyby pan wszystko.

— Wiem wszystko — odparłem.

— Powiedziałam Williamowi o panu — podjęła Gladys. — Nie mamy przed sobą tajemnic. Bardzo mi przykro. Ale gdyby pan mnie szczerze kochał, nie pojechałby pan na drugi koniec świata i nie zostawił mnie samej. Nie gniewa się pan, prawda?

— Nie — powiedziałem. — Chyba już sobie pójdę.

— A może się pan czegoś napije — odezwał się mały człowieczek i dodał poufale. — To się zdarza. I będzie się zdarzać, chyba że zapanuje poligamia, ale dla kobiet, rozumie pan?

Roześmiał się idiotycznie, a ja poszedłem do drzwi. Byłem już za progiem, kiedy strzeliła mi fantastyczna myśl do głowy. Wróciłem do mego szczęśliwego rywala, który z niepokojem spoglądał na guzik dzwonka.

— Odpowie mi pan na jedno pytanie? — powiedziałem.

— Owszem, jeśli potrafię — odparł.

— Jak pan to zrobił? Czy odnalazł pan ukryty skarb, odkrył biegun, a może był pan piratem lub przefrunął kanał La Manche? Gdzie kryje się czar romantyczności? Jak pan ją zdobył?

Patrzył na mnie z beznadziejnym wyrazem na tępej, dobrodusznej twarzyczce.

— To są sprawy bardzo osobiste — odrzekł.

— Dobrze, a więc jeszcze jedno pytanie! — krzyknąłem. — Czym pan jest? Z zawodu?

— Jestem dependentem w kancelarii adwokackiej. Drugim zastępcą u Johnsona i Merivale'a, Chancery Lane 41.

— Dobranoc — powiedziałem i odszedłem w ciemność, jak odchodzi niepokieszony bohater ze złamanym sercem, a gorycz, wściekłość i szyderstwo kipiły we mnie niczym woda w garnku.

Jeszcze jedna scena — i kończę. Wczoraj wieczorem zebraliśmy się na kolacji u lorda Roxtona, a potem, pałac, w przyjacielskim nastroju omawialiśmy przeżyte przygody. Ze zdziwieniem patrzyłem na znane mi twarze i postacie w tak odmiennych warunkach: na Challengeera z nieodstępnym uśmiechem pobłażania na ustach, przymrużonymi oczami, wyzywającym spojrzeniem, zaczepnie zjeżoną brodą, wypiętą piersią, puszącego się i sapiącego, gdy wykładał profesorowi Summerlee którąś ze swych teorii; na profesora Summerlee z krótką fajeczką między wąską linią wąsów i koźlą bródką, na jego wymizerowaną twarz w zaciekłym sporze zadartą do góry i wreszcie na surowe, orle oblicze naszego gospodarza, jego zimne, niebieskawe jak lodowiec oczy, na których dnie czają się zawsze niespokojne i figlarne iskierki. To jest ostatni obraz mych towarzyszy, jaki unoszę w pamięci.

Po kolacji w swoim sanktuarium — pokoju zalany różowym światłem i ozdobionym licznymi trofeami — lord Roxton oznajmił nam pewną nowinę. Z kredensiku wyjął stare pudełko po cygarach i położył je przed sobą na stole.

— Może — zaczął — należało panom o tym wcześniej powiedzieć, ale wolałem się upewnić. Nie ma nic gorszego od płonnych nadziei. Lecz tym razem to fakt, nie nadzieja. Pewnie panowie pamiętacie ten dzień, kiedy znaleźliśmy łęgowisko pterodaktyli na bagnie. Coś w topografii tego miejsca zwróciło moją uwagę. Panowie, zdaje się, nic nie zauważyli. Był to krater wulkanu zapętniony niebieską gliną.

Profesorowie skinęli głowami.

— Tylko raz w życiu i tylko w jednym miejscu widziałem niebieską glinę w kraterze wulkanu. Było to na terenie wielkiej kopalni diamentów De Beers w Kimberley. Jak się to panom podoba? Nabitem sobie głowę diamentami. Skleciłem klatkę dla obrony przed tymi śmierdzącymi ptaszyskami i z motyką w ręku owocnie spędziłem dzionek. Patrzcie, co wykopałem.

Otworzył pudełko, odwrócił je dnem do góry i wysypał na stół ze trzydzieści nie oszlifowanych kamieni różnej wielkości, od ziarnka grochu do kasztana.

— Może panowie myślą, że powinienem, był od razu zdradzić tajemnicę. Oczywiście, powinienem być, ale wiedziałem, że z diamentami jest różnie. Wielkie czy małe, jeśli nie są czystej wody, mogą nie mieć wartości. Przywiozłem je zatem do Anglii i zaraz pierwszego dnia oddałem jeden do oszlifowania i oceny jubilerowi Spodkowi. Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i z jego głębi wy dostał piękny, grający wszystkimi kolorami brylant, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem.

— Oto wynik — mówił dalej. — Jubiler ocenia te kamienie na dwieście tysięcy funtów co najmniej. Rzecz prosta, podzielimy się tą sumą. Inaczej być nie może. A więc, co pan zrobi ze swoimi pięćdziesięcioma tysiącami, profesorze Challenger?

— Jeśli pan obstaje przy swej wspaniałomyślnej propozycji, założę prywatne muzeum, o którym od dawna marzę.

— A pan, profesorze Summerlee?

— Porzucę profesurę i zajmę się ostateczną klasyfikacją skamieniałości kredowych.

— Ja zaś swoje pieniądze zużyję — powiedział lord Roxton — na wyekwipowanie porządnej wyprawy, bo raz jeszcze chcę rzucić okiem na kochaną starą wyżynę. A pan, paniczku, na pewno wyda wszystko na ożenek.

— Jeszcze nie teraz — powiedziałem uśmiechając się żałośnie. — Chętnie wyruszyłbym z panem, jeśli to panu dogadza.

Lord Roxton nie odpowiedział; ponad stołem podał mi opaloną dłoń.

